

Wadim Szefner

Dziewczyna nad urwiskiem

Czyli

Wspomnienia Kowrygina

Przekład Ryszarda Wilczyńska

Data wydania polskiego 1985

(Dziewuszka u obrywa ili zapiski Kowrygina)

PRZEDMOWA DO 338 JUBILEUSZOWEGO WYDANIA

Książka ta ukazała się w druku po raz pierwszy siedemdziesiąt pięć lat temu, w roku 2231, i odtąd miała 337 wydań w samym tylko języku rosyjskim. Została przetłumaczona na wszystkie języki świata i dziś znana jest szerokiemu ogółowi mieszkańców naszej Zjednoczonej Planety, a także naszym rodakom na Marsie i Wenus.

W ciągu siedemdziesięciu pięciu lat o Dziewczynie nad urwiskiem napisano tyle artykułów, opracowań i rozpraw naukowych, że samo ich wymienienie zajęłoby dziewięć ogromnych tomów.

Wypuszczając w świat to jubileuszowe wydanie, pragniemy pokrótce przypomnieć Czytelnikom historię powstania *Wspomnień Kowrygina* i wyjaśnić, dlaczego każde nowe pokolenie czyta tę książkę z niesłabnącym zainteresowaniem.

Swojej nieustającej popularności Dziewczyna nad urwiskiem - trzeba to stwierdzić - nie zawdzięcza literackim osiągnięciom Autora, toteż nie należy w niej szukać ani uogólniających myśli, ani szerokich, epickich obrazów epoki. Wszystko bowiem to, co wykracza poza określony krąg tematu powieści, po prostu Autora nie interesuje. Zresztą nawet nie sprostaby takiemu zadaniu - nie był przecież z zawodu pisarzem. Matwiej Kowrygin (2102-2231), autor *Dziewczyny nad urwiskiem*, pracując nad swoją książką nie zamierzał sięgać po literackie laury. Z wykształcenia historyk 5 literatury XX wieku - oczekiwał sławy, lub chociaż rozgłosu, raczej z tytułu swych kompilacyjnych prac historycznoliterackich, których wydał wystarczająco dużo i które za jego życia, niestety, nie cieszyły się popularnością, a dziś - są już zupełnie zapomniane. Tymczasem ta nieduża książeczka, wydana po śmierci Autora, przyniosła mu sławę i sława ta, jak widzimy, nie gaśnie z upływem czasu. Dzieje się tak dlatego, że Kowrygin opowiada w powieści o Andrieju Swietoczewie, a każde słowo o tym wybitnym uczonym jest drogie Ludzkości. Przypominamy jeszcze raz: *Wspomnienia Kowrygina* to utwór wąskokierunkowy. Autora niewiele interesuje obyczajowe i naukowe tło wydarzeń. O technice swoich czasów wspomina tylko wtedy, kiedy styka się z nią bezpośrednio, osobiście i kiedy od niej jest zależny los jego przyjaciół. Czasami w toku wydarzeń opisuje bardzo szczegółowo niektóre ówczesne agregaty, lecz w tych opisach odczuwa się nie tylko głęboką obojętność w stosunku do techniki, ale i niezrozumienie graniczące wręcz z ignoranctwem w tej dziedzinie. O Kosmosie, o lotach człowieka w przestrzeń - nawet nie napomyka, zupełnie jakby, żył w

epoce geocentryzmu, zaś wielki naukowy sens odkrycia, jakiego dokonał jego przyjaciel, Andriej Swietoczew, pojał dopiero u schyłku życia, i to w sposób wybitnie uitylitarny.

Wąskokierunkowość utworu uwydatnia się także w sposobie ukazania postaci Andrieja Swietoczewa, mianowicie - poza środowiskiem, tylko i wyłącznie w osobistych kontaktach z Autorem. Nie wspomina więc Kowrygin ani o współpracownikach naukowych Swietoczewa, ani o jego profesorach i poprzednikach myśli twórczej. Gdyby zawierzyć Kowryginowi, można by odnieść wrażenie, że Swietoczew wszystko robił sam, a przecież w rzeczy samej był on w otoczeniu ludzi jednakowo myślących, spośród których wielu podówczas miało ogromne osiągnięcia naukowe (Iwannikow, Lemer, Karadżaran, Kielau).

Stylistyka powieści jest archaiczna, niewspółczesna. Specjalizując się w dziedzinie literaturoznawstwa XX wieku, Autor, nie znalazłszy swojego własnego sposobu wypowiedzi artystycznej, naśladuje dwudziestowiecznych pisarzy, w dodatku pisarzy nie najwyższej klasy. Do wspomnianych niedociągnięć utworu należy dodać jeszcze jedno. Kiedy Kowrygin opisuje swoje młode lata, mówi o sobie jak o starszym, solidnym, doświadczonym człowieku. Cóż, trzeba pamiętać, że książkę tę Kowrygin napisał u schyłku swoich dni.

Do autora *Dziewczyny nad urwiskiem*, Matwieja Kowrygina, badacze i krytycy mają różny stosunek. Jednym się on podoba, dla innych jest wręcz antypatyczny. Kowrygin - to postać kontrowersyjna. Na równi ze szczerą dobrocią, odwagą osobistą i gotowością przyjścia każdemu z pomocą cechuje go drobiazgowa pedanteria, gderliwość, brak krytycznego spojrzenia na samego siebie, graniczący z samolubstwem.

“Opowieść miernoty o geniuszu”, “Mozart i Salieri XXII wieku” - tak określają niektórzy krytycy tę książkę, zapominając że to właśnie Kowryginowi zawdzięczamy najpełniejszy opis życia Andrieja Swietoczewa. Trzeba pamiętać, że Kowrygin był przyjacielem jednego spośród większych geniuszy myśli technicznej i jak potrafił, tak nam o nim opowiedział. Bądźmy więc mu za to wdzięczni.

Z uwagi na to, że wiele pojęć, nazw, agregatów, przyrządów i mechanizmów, które wymienia Autor, dawno już się zestarzało, poszło w niepamięć, zostało zastąpionych nowymi i młode pokolenie nic o nich nie wie, pozwoliliśmy sobie na opatrzenie tekstu przypisami, które wyjaśniają ich historyczne znaczenie.

Z głębokim poważaniem –

Redakcja Rosyjska

Wydawnictwa “Planeta”

2306 r.

1. WPROWADZENIE

“...Dziewczyna stała nad urwiskiem, na brzegu rzeki. Było to jesienią, kiedy padają długotrwałe deszcze, kiedy rozmiękła nadbrzeżna glina utrwala ślady stóp. Dziewczyna stała nad urwiskiem i z zadumą patrzyła na jesienną rzekę, po której płynęły żółte liście.

Nie opodal przechodził młodzieniec i zobaczył dziewczynę stojącą nad urwiskiem, i pokochał ją od pierwszego spojrzenia - tak przecież powinno być w bajkach.

Młodzieniec mieszkał w pobliżu i gdy dziewczyna wezwała samolot i odleciała do wielkiego miasta, obiecawszy wrócić na wiosnę, młodzieniec pozostał sam w domku nad brzegiem rzeki i czekał na jej powrót. Czemu tu mieszkał samotnie i kim był - nie pytajcie, przecież to jest bajka.

Młodzieniec codziennie przychodził nad urwisko, gdzie kiedyś stała dziewczyna. Wydeptał w glinie wąską ścieżkę biegnącą obok jej śladów. Nie nadeptywał na nie i za każdym razem wydawało mu się, że dziewczyna niewidzialnie idzie razem z nim i razem z nim stoi i patrzy na jesienną rzekę, po której płyną żółte liście.

A potem spadły tak wielkie deszcze, że ślady pantofelków dziewczyny zaczęły się napelniać wodą i teraz odbijało się w nich niebo późnej jesieni. A potem chwycił mróz i ślady zlodowaciały.

Pewnego razu młodzieniec wyciął jeden ślad i przyniósł go do swej izdebki. Położył na stole, a gdy się ocknął rankiem, zobaczył roztajały lód. I zdumiał się wielce, i zmarkotniał. Nie śmiecie się, w bajkach ludzie dziwią się najprostszym rzeczom.

Zasmucił się tedy młodzieniec i pomyślał: Siady mej ukochanej zasługują na uwiecznienie. Lecz lód nie jest wieczny. Nie jest wieczny i metal, bo zjada go rdza, nie jest wieczne szkło, bo daje się stłuc. Nie jest wieczny i kamień, bo pęka od mrozu i żaru. Muszę znaleźć taki materiał, który da się uformować i któremu nie będzie zagrażał ni ogień, ni mróz, ni czas.

I nadszedł taki dzień, kiedy stworzył substancję, która zastąpiła nam kamień i metal, szkło i masę plastyczną, drewno i beton, papier i len. Stworzył Wszechmateriał, który się nazywa akwalid. Z tego materiału ludzie zaczęli budować miasta na ziemi i pod wodą, maszyny i wszelkie przedmioty. I to już nie jest bajką, bo żyjemy w tym świecie.

Oto dokąd zawiiodły ślady stóp dziewczyny, która stała nad urwiskiem pewnego jesiennego dnia, kiedy po rzece płynęły żółte liście.

Ale razu jednego dziewczyna, na którą czekał młodzieniec...” itd., itd.

Ty sam, drogi mój Czytelniku, znasz z lat dzieciennych tę sentymentalną historię - przecież uczą jej nawet w szkole! Stworzona przez wolnego Poetę i poświęcona Andriejowi Swietoczewowi i Ninie Astachowej ta półlegenda-półbajka jest uważana nie wiadomo czemu za bardzo poetycką i wzruszającą i być może niektórzy naiwni ludzie są skłonni pomyśleć, że tą właśnie drogą osiągnęliśmy cywilizację akwalidową.

Rzeczywiście dziewczyna stała nad brzegiem. A wszystko poza tym było inaczej, inaczej... Wszystko wymyślił wolny Twórca.

Jakże więc było naprawdę? - spytasz, mój, szanowny Czytelniku.

Zaraz rozpocznę swoją opowieść i dowiesz się, od czego się wszystko zaczęło, co doprowadziło Andrieja Swietoczewa do jego odkrycia, jak i gdzie spotkał Ninę Astachową. I jeszcze dowiesz się wielu innych rzeczy.

Przeżyłem swój MIDŻ *[* MIDZ (Minimum Indywidualnej Długości Życia) - norma długości życia zagwarantowana każdemu mieszkańcowi planety przez medycynę i społeczeństwo. W opisywanej przez Autora epoce MIDŻ równał się liczbie 110 lat, faktycznie jednak średnia długości życia już wtedy była znacznie wyższa.] z nadwyżką, życie moje biegnie ku schyłkowi i bliski już jest dzień, kiedy popiół mój, jak zwiewny obłok opadnie z Białej Wieży na kwiaty rosnące u jej podnóża. Ale jeszcze zdążę Ci przekazać historię o Ninie Astachowej i Andrieju Swietoczewie, którego byłem przyjacielem, i o sobie, gdyż w pewnym okresie moje życie było mocno związane z losami tych dwojga.

2. ZDARZENIE NA LENINGRADZKIEJ POCZCIE

Muszę się cofnąć do dawnych, dawnych czasów. Moja opowieść bowiem zaczyna się w dniu, w którym zniesiono pieniądze. Wszyscyście o nim czytali, a ja go pamiętam i wiem, że w książkach jest bardzo ubarwiony. W istocie nic szczególnego wtedy nie zaszło. Proces umierania pieniądza trwał już od dawna. Pieniądze nie zginęły nagle, po prostu odeszły cicho jak człowiek który przeżył swój MIDŻ z nadwyżką. W ostatnich czasach istnienia pieniądza znaczenie jego było raczej statystyczne, nie przedstawiał bowiem żadnej wartości. Jeśli brakowało banknotów pieniężnych na zakup jakiejś potrzebnej rzeczy, można było wyrwać ze swego notatnika kartkę i napisać na niej "15 kopiejek" lub "3 ruble", albo "20 rubli" i płacić sprzedawcy bądź INDOR-owi *.[* INDOR (Inteligentny, Niezawodny, Dobrotliwie Obsługujący Robot) - stary agregat, spełniający funkcję sprzedawcy. Dawno już zaniechano jego produkcji.] Albo można było poprosić o pieniądze przygodnego przechodnia, który dawał potrzebną sumę i nawet nie pytał o adres, tylko szedł dalej swoją drogą.

W dniu kasacji pieniądza na uniwersytecie naszym odbyło się małe zebranie w auli, a potem wszyscy udali się do swoich zajęć. Pamiętam, że wracając z zebrania do budynku, w którym mieścił się wydział filologiczny, byłem w towarzystwie Niny Astachowej i rozmawialiśmy nie o zniesieniu pieniędzy, lecz o Antologii zapomnianych poetów XX wieku, nad którą wtedy pracowałem. Nina, podówczas słuchaczka drugiego roku, była przydzielona mnie, aspirantowi, do pomocy w zbieraniu materiału do tej antologii. Była to dziewczyna bardzo sumienna, wiele czasu spędzała w bibliotekach i archiwach, wyszukując wiersze i wszelkie wiadomości o zapomnianych poetach XX wieku, lecz nie podobała mi się w niej pewna niesforność, przekora i nadmierna samodzielność. Na przykład Nina nalegała, żeby do antologii włączyć wiersze niejakiego Wadima Szefnera (1915-1984?), a ja byłem temu przeciwny. Nie przypadły mi do gustu nuty tęsknego smutku i refleksyjność w jego poezji. Woląłem wiersze rzeńskie, dźwięczne, gdzie wszystko było jasne i proste. Uważałem, że właśnie tacy poeci powinni wejść do mojej Antologii, żeby czytelnik miał prawidłowe wyobrażenie o poezji XX wieku. Nina natomiast wciąż nalegała na umieszczenie tego Szefnera - zainteresował ją. No i gorączkowała się i nawet złościła przy tym. W żaden sposób nie mogła pojąć, że wykonuję pracę naukową, a nauka wymaga surowego obiektywizmu i bezstronności. Ogólnie jednak Nina mi się podobała. Często pływaliśmy razem jachtem pod pełnymi żaglami - Nina bardzo lubiła morze. Niekiedy braliśmy taksolot i lecieliśmy gdzie bądź za miasto. Tam spacerowaliśmy alejami. Lubilem z nią przebywać, choć peszyło mnie trochę jej usposobienie. Bywała czasami wesoła, roześmiana, to znów nagle stawała się

milcząca i zamyślona. Niekiedy twarz jej przybierała wyraz jakiegoś oczekiwania, jakby już-już miało się stać coś niezwykłego, jakiś cud.

- Nino, o czym teraz myślisz? - spytałem któregoś razu, kiedy szliśmy podmiejską aleją.

- Ach, sama nie wiem, o czym... Wiesz, wydaje mi się czasem, że w moim życiu zdarzy się coś bardzo, bardzo dobrego. Że spotka mnie jakaś radość.

- Pewnie masz na myśli to, że niedługo skończę Antologię, i kiedy wyjdzie ona z druku, twoje nazwisko będzie wymienione w przedmowie jako nazwisko mego pomocnika - powiedziałem. - To rzeczywiście wielka radość. I zasłużona!

- Ach, zupełnie o czym innym mówisz - zaprzeczyła niecierpliwie. - Sama nie wiem, jakiego szczęścia czekam...

Zdziwiły mnie jej słowa i nawet zasmuciły. Jak można oczekiwać szczęścia, nie wiedząc jakiego? Gdzie tu logika?

- Powinnaś rozwijać w sobie naukowy sposób myślenia - poradziłem. - Nie przeżyłaś nawet ćwierci swego MIDŻ-u. Przed tobą długie życie, naukowe i osobiste. Wyjdiesz kiedyś za mąż, mąż twój, być może, będzie uczonym, twój poziom intelektualny nie powinien ustępować jego poziomowi. Czy pomyślałaś kiedy o tym?

Ale Nina sprawiała wrażenie, że nie rozumie moich słów. Nic nie odpowiedziała, tylko podskoczyła, zerwała ze zwisającej gałązki liść i zaczęła patrzeć przez niego na słońce.

- Dziś słońce jest zielone! - obwieściła. - To zabawne!

Nie próbowałem jej przekonywać, że słońce dziś jest takie jak zawsze, najzwyczajsze i wcale nie zielone. Po prostu gubiłem się, kiedy mówiła takie dziwne rzeczy.

Niemniej jednak Nina mi się podobała. Tylko nie myślcie, że była taką piękną, jaką dziś ją wyobrażają malarze czy rzeźbiarze. Nie, piękną bym jej nie nazwał. To była zgrabna, smukła i ruchliwa dziewczyna, miała bardzo lekki chód, twarz wyrazistą i pociągającą, miłą, ale nie było w niej tej urody, jaką jej dziś przypisują.

Powrócę jednak do dnia kasacji pieniądza.

Jak już mówiłem, po zebraniu w auli poszliśmy z Niną do wydziału filologicznego. Nina udała się na wykład, a ja zasiadłem w bibliotece i długo pracowałem nad swoją Antologią, a potem poszedłem do stołówki uniwersyteckiej. Kiedy zbliżył się do mnie SATIAS *,[* SATIAS (Stołówkowy Automat, Taktowny, Inteligentny Aranżer Sytości) - prymitywny agregat początku XXTI w., w rodzaju dawnego kelnera.] jak zwykle zamówiłem zupełną, syntetyczną wątróbkę i kompot. Zjadłszy, z przyzwyczajenia skinąłem na

SATIAS-a, żeby się rozliczyć, i już miałem wsunąć monetę w otwór na jego plastikowej piersi, gdy nagle ujrzałem, że otwór jest zaklejony papierem.

- Obiad bezpłatny, obiad bezpłatny - dobrotliwie powiedział SATIAS.

Nie mówi się "obiad bezpłatny", lecz "obiady wydaje się bezpłatnie" - poprawiłem go.

- Proszę wezwać do mnie SASOF-a *.[* SASOF (Stołówkowy Agregat Spełniający Organizacyjne Funkcje) - agregat XXII w., wykonywał tę pracę, co dawniej kierownik stołówki.]

Wkrótce do mego stolika podszedł ciężki SASOF. Powiedziałem mu, żeby skorygował fonozapis u podlegających mu SATIAS-ów, bo wyrażają się niepoprawnie. Wstyd, przecież to uniwersytet, centrum kultury!

- Jestem oburzony. Zdenerwowany. Zastosuję odpowiednie środki odrzekł SASOF.

- Czy są jeszcze uwagi?

- Niestety, są. Podano mi przypaloną wątróbkę. Czyżbyście sądzili, że jeśli teraz wszystko jest bezpłatne, to można karmić ludzi przypaloną wątróbką?

- Jestem oburzony. Zdenerwowany. Zastosuję odpowiednie środki - odrzekł SASOF.

- Czy są jeszcze uwagi?

- Nie. Proszę odejść.

Po obiedzie poszedłem na nabrzeże w kierunku Pierwszej Linii. Nabrzeże wyglądało prawie jak zwykle, tylko statki były przystrojone flagami, a u granitowego zejścia tłoczyło się mnóstwo dziewczynek i chłopców. Dzieci zatrzymywały przechodniów i prosiły o pieniądze. Otrzymawszy je, zbiegały po stopniach w dół i wrzucały monety do wody. Z papierowych banknotów robiły małe łódeczki i puszczały je na fale. W szkołach, ze względu na kasację pieniądza, zajęcia były odwołane, co według mnie chyba nie sprzyjało wzmocnieniu dyscypliny.

Kiedy skręciłem ku Pierwszej Linii, zobaczyłem Człopijwina *.[* Człopijwin (Człowiek Pijący Wino) - medyczny i częściowo obyczajowy termin XXI-XXII ww. Krótko mówiąc - alkoholik. Termin ten nie dotyczy ludzi pijących umiarkowanie wina gronowe. Jak wiadomo, takie wina pija się i dziś.] Lekkim płasem i coś tam podśpiewując szedł po plastikowych płytkach jezdni, utrudniając ruch elmobili, które z szacunkiem go wymijały. Ludzie trochę z zaciekawieniem, a trochę ze zdziwieniem, niektórzy z lękiem, popatrywali na niego. Sam nawet zatrzymałem się na chwilę, żeby popatrzeć na ten rzadki okaz, ostatni bowiem raz widziałem Człopijwina w dzieciństwie, kiedy miałem dziewięć lat. Postąłem trochę, w nadziei, że Człopijwin zacznie bluzgać przekleństwami i uda mi się zanotować jakieś nie znane mi wulgarne słówko. Ale Człopijwin tylko śpiewał. Poszedłem więc dalej

niecو zmartwiony, że nie udało mi się napełnić mego STAW-u, nad którym pracowałem. Muszę tu wyjaśnić, że od dwunastego roku życia zacząłem układać słownik, który nazwałem STAW-em (Słownik tematyczny archaicznych wyrazów). Mój STAW składał się z czterech rozdziałów: 1. Przekleństwa i wyzwiska, 2. Terminologia złodziejska, 3. Terminologia myśliwska, 4. Terminologia wojenna. Drugi, trzeci i czwarty rozdział mogłem uzupełniać szperając w starych książkach, w archiwach i bibliotekach, natomiast pierwszy - rósł bardzo opornie, gdyż przekleństwa i wyzwiska dawno już na Ziemi wyszły z użycia, a źródeł pisanych nie było. Musiałem zbierać ziarnko po ziarnku i praca w tym dziale posuwała się wolno.

Na Wielkim Prospekcie aż się roilo od ludzi. Tutaj czuło się święto. Z otwartych okien i balkonów sfruwały papierowe pieniądze i szybując kładły się pod nogi przechodniów. Mijając Kasę Oszczędności, zająrzałem do środka. Tłoczno tam było od dzieci. Śmiały się i skakały, obrzucały się wyjętymi z paczek banknotami. Całą podłogę pokrywały papierki. Od czasu do czasu dzieci podbiegały do biurka, a siedzące za nim WIDMO [*WIDMO (Wieloooperacyjna Idealnie Działająca Maszyna Obliczeniowa) - agregat zlikwidowany po kasacji pieniądza. Dziś jest zabytkiem muzealnym.] wydawało wciąż nowe paczki.

Na rogu Wielkiego Prospektu i Szóstej Linii spotkałem swego przyjaciela, Andrieja Swietoczewa. Tak, tak, tego samego Swietoczewa, którego imię znane jest dziś każdemu człowiekowi na Ziemi. Ale wtedy jeszcze niczym się nie wślawił, pośród uczonych jednak był już znany.

Znałem Andrieja z lat dziecinnych - mieszkaliśmy w tym samym domu i chodziliśmy razem do szkoły. Potem nasze drogi się rozeszły. Andriej zawsze interesował się techniką i został przyjęty na Akademię Wyższych Nauk Ścisłych, ja natomiast rozpocząłem studia filologiczne na uniwersytecie. I choć mogliśmy pozostać w domu, gdyż nasi rodzice mieszkali w Leningradzie, ulokowaliśmy się w akademikach, bo tak wygodniej było się uczyć. Nadal jednak żyliśmy w przyjaźni i często widywaliśmy się.

Ze szkolnych lat pozostała w nas pasja kolekcjonowania znaczków pocztowych, i to także nas zbliżało. Podczas spotkań przechwalaliśmy się swoimi zbiorami, rozprawialiśmy o życiu w ogóle, o swoich planach i nadziejach. A plany mieliśmy bardzo różne.

W ostatnich miesiącach mój przyjaciel bywał ponury i milczący. Pewnego razu, kiedy odwiedziłem go w akademiku, przyznał się, że postanowił dokonać pewnego bardzo ważnego odkrycia, ale rzecz mu się nie klei. Miota się od jednego doświadczenia do drugiego - wszystko na nic. Współczułem mu wtedy i po przyjacielsku doradziłem, żeby się zabrał do mniej skomplikowanych zadań i nie dążył do celów nieosiągalnych. Przecież nieosiągalne jest

nieosiągalnym, a niemożliwe - niemożliwym. Należy zakreślić sobie bliższe cele i posuwać się stopień po stopniu w górę.

Andriej jednak nie zadowolili się moją przyjazną radą i wskazał na obraz wiszący nad biurkiem w jego pracowni. Obraz przedstawiał Heraklesa goniącego łanię kerynejską, Herakles biegł po śnieżnych szczytach górskich.

- Widzisz, jak biegnie? - powiedział Andriej. - Po najwyższych szczytach, a tych wierzchołków i skał, które leżą niżej, nawet nie dotyka stopą, tylko je przeskakuje. Dlatego dopędził łanię.

- Mógł jej nie doścignąć - wtrąciłem rezolutnie. - Mógł spaść i rozbić się o skały. No a poza tym Herakles to półbóg, a ty jesteś zwykłym śmiertelnikiem.

- A to już inna sprawa - odparł sucho Andriej i sprowadził rozmowę na temat znaczków.

Tego dnia opuściłem go z wrażeniem, że w swoich dociekaniach naukowych obrał fałszywą drogę i nie chce jej zmienić ze zwykłego uporu. Było mi go nawet żal. Już dawno mi się wydawało, że drepce w miejscu, podczas gdy ja krok za krokiem nieugięcie idę naprzód. Moja Antologia zapomnianych poetów XX wieku i komentarze do niej były bliskie realizacji i już pomyślałem o następnej pracy: Pisarze fantastyki XX wieku w świetle współczesnych poglądów etycznych. Oprócz tego nieustannie pracowałem nad swoim STAW-em. Jak już wspomniałem, była to mozolna praca. Za każdym obelżywym wyrazem do pierwszego rozdziału musiałem dosłownie biegać z wywieszonym językiem, jak to się dawniej mówiło. Sprawa komplikowała się i z tego powodu, że swojej pomocnicy, Niny Astachowej, chroniąc jej dziewczęcą wstydlivość, do tej roboty wciągać nie mogłem. Na ogół jednak, wolno i skutecznie, posuwałem się do przodu, podczas gdy Andriej tkwił w miejscu, postawiwszy sobie niewykonalne, tak mi się przynajmniej wtedy zdawało, zadanie.

Powrócę jednak do opisywanego dnia. No więc spotkałem Andrieja na rogu Wielkiego Prospektu i Szóstej Linii. Znowu był nachmurzony.

- Dokąd tak się spieszysz? - spytałem.

- Na pocztę - odrzekł ponuro. - Przecież wiesz, że wszystkie znaczki wycofano. Dotąd chociaż w zbieraniu znaczków mi szło, a teraz i znaczki skasowali.

- Skasowali? - zdziwiłem się. - Jak to? A nasze kolekcje?

- Widocznie źle zrozumiałeś komunikat o kasacji. Powiedziano w nim, że kasuje się pieniądze i wszystkie znaki opłaty. A znaczki przecież są nimi.

- Rzeczywiście - zorientowałem się. - Skoro nie ma pieniędzy, to i znaczki wychodzą z użycia. I jak tu teraz być filatelistą?

- Nijak - burknął Andriej. - Jedziemy na pocztę.

Ruchem ręki wezwał przejeżdżający taksoemobil i wsiedliśmy do niego.

- Proszę do Urzędu Poczтового - powiedziałem AKTOR-owi *.[* AKTOR (Automatyczny Kierowca Transportu Osobowego, Rozsądny) - stary agregat z końca XXJ i początku XXII w. Dawno zastąpiony innym.]

- Zrozumiano. Wiozę do Urzędu Poczтового. Opłata skasowana - wyrecytował AKTOR pochyliwszy nad przyrządami sterowniczymi metalową głowę z trojgiem oczu. Czwarte oko, wielka soczewka z tyłu głowy, patrzyło na nas wnikliwie.

- Pojedziemy z przeskokiem - powiedział Andriej. - Spieszno nam.

- Uprzedzam o niebezpieczeństwie - rzekł AKTOR. - Na trasie do Urzędu Poczтового jest dziś duży ruch. Przeskok może być ryzykowny.

- Eee - machnął ręką Andriej. - Wielka mi rzecz ryzyko!

- Jazda z rozmową? - zapytał AKTOR. - Za rozmowę dodatek skasowany.

- Może być z rozmową - powiedziałem.

- Na krótko przed wami wiozłem do Urzędu Poczowego siwego starca mniej więcej w wieku MIDŹ plus czterdzieści lat. Wyglądał na bardzo zmartwionego. Na klapie kurtki miał znaczek Humanisty. Staruszek był bardzo zły.

- Nie przeklinał czasem? - spytałem z nadzieją.

- Nie. Miał tylko zmartwioną minę.

- Nie znudziło wam się to gadanie? - ze złością powiedział Andriej. - Nie rozumiem, co za przyjemność rozmawiać z mechanizmem!

Zamilkliśmy.

Do Urzędu Poczowego było daleko, znajdował się w nowym centrum miasta, które przesunęło się w kierunku miejscowości Puszkino. Ruch uliczny był w tych godzinach bardzo duży. Kiedy przed nami za sznurem pojazdów zarysowywał się prześwit, nasz AKTOR uruchamiając w elmobilu podskrzydła i przelatując nad sunącymi maszynami, zajmując przed nimi wolne miejsce. W końcu znaleźliśmy się przed pocztą - niewielkim dwudziestopiętrowym budynkiem pośrodku placu. Na placu rojno było od młodzieży szkolnej, dorosłych i starców. Niektórzy przyszli z albumami do znaczków i z Przewodnikiem filatelisty. Wszyscy wyglądali na niezadowolonych. Patrzyli na' gigantyczny teleekran wmontowany w ścianę Urzędu Poczowego.

Obaj z Andriejem także zaczęliśmy patrzeć na ekran i niebawem zobaczyliśmy Moskwę. Plac przed moskiewską pocztą, jak tu, był pełen filatelistów. Potem ukazało się na ekranie Buenos Aires. Była tam już noc. Ciżba filatelistów stała z pochodniami. Niektórzy

trzymali jakieś piszczałki i dmuchali w nie. Potem ukazała się poczta w Rzymie. Tysiące filatelistów siedziało wprost na jezdni, wstrzymując ruch pojazdów. Potem Rzym znikł i ukazała się maleńka miścina gdzieś w strefie Czarnego Łądu. Tu przed budynkiem poczty stała młodzież szkolna i dorośli z transparentami. Napis na jednym z nich głosił: “Urzednicy pocztowi! Znaczkę są ludziom potrzebne!” Wreszcie ekran zgasł. Po chwili pojawił się spiker i powiedział:

“W Genewie nieprzerwanie obraduje Wszechświatowa Rada Pocztowa. Problem znaczków będzie rozwiązany w najbliższym czasie. Łączymy się z Genewą”.

- Idziemy do Urzędu - powiedział Andriej i zaczął się przepychać do wejścia.

Poszedłem za nim wsłuchując się pilnie w rozmowy ludzi, z nadzieją że usłyszę jakieś przekleństwa i dorzucę do swego STAW-u nowe słówko. Niestety, nikt nie przeklinał, choć wszyscy byli oburzeni.

W Urzędzie był tłok, ale mniejszy, niż się spodziewałem. Podeszliśmy do okienka, gdzie jeszcze wczoraj sprzedawano znaczki. Teraz wisiało tu ogłoszenie: “W związku z kasacją pieniędzy znaczki zostały wycofane. Listy wysyła się bezpłatnie.” Dziewczyna w okienku cierpliwie tłumaczyła jakiemuś staruszkowi w wieku chyba ze dwu MIDŻ-ów, że skoro pieniądze wycofano, to znaczków nie trzeba naklejać i że list dojdzie do adresata bezpłatnie. U uszu dziewczyny chybotwały kolczyki. Były bardzo proste: dwie metalowe kuleczki na cieniutkich łańcuszkach, ale od razu rzucały się w oczy, gdyż w naszych czasach ozdoby przy uszach zupełnie wyszły z mody. Dziewczyna, owszem, ładna i w kolczykach było jej do twarzy.

- Zbieranie znaczków stało się tradycją historyczną - powiedział Andriej podszedłszy do okienka - i nie wy pocztowcy będziecie o nich decydować.

- Znaczkę są wycofane nie przez urzędników pocztowych, lecz przez Czas - skromnie zaprotestowała dziewczyna z kolczykami. - Zbieranie znaczków jest niepotrzebnym wymysłem, to przeżytek.

- Skoro ludzie interesują się filatelistyką, to znaczy, że znaczki muszą być! - głośno i gniewnie powiedział Andriej.

- Jest pan śmieszny z tymi swoimi znaczkami - westchnąwszy odparła dziewczyna.

- A pani jest głupia z tym nowoczesnym poglądem na znaczki i z tymi swoimi przedpotopowymi kolczykami! - krzyknął Andriej.

- Jest pani prawdziwą wiedźmą!

Dziewczyna z lękiem i urazą spojrzała na Andrieja.

- Za dużo sobie pozwalasz - rzekłem do przyjaciela. - Rzuciłeś wyzwiskiem. Wstyd mi za ciebie!

- Proszę mi wybaczyć - Andriej zwrócił się do dziewczyny w okienku. - Jeszcze nigdy mi się coś podobnego nie zdarzyło. Przepraszam, że panią obraziłem.

- Wybaczam panu, jest pan dziś po prostu czymś bardzo zdenerwowany. A co to takiego wiedźma?

- Nie wiem - odparł Andriej. - Tak mówił mój pradziadek do mojej prababki, kiedy był zły.

- Wiedźmami w dawnych, bardzo dawnych czasach nazywano istoty mityczne, później słowo wiedźma, utraciwszy pierwotne znaczenie, przechowało się w języku ludowym jako obraźliwe, używane w stosunku do kłótliwych, złośliwych i nie cieszących się przyjemnym wyglądem kobiet. Mogę panią zapewnić, że w niczym pani ich nie przypomina, i pod tym względem mój przyjaciel się omylił.

- A to nawet ciekawe! - zawołała dziewczyna z kolczykami. - I skąd pan to wszystko wie?

- Wiem nie tylko to, lecz wiele więcej - odparłem ze skromnym uśmiechem. Po czym wyjaśniłem, że *Słownik tematyczny archaicznych wyrazów*, nazywany w skrócie STAW-em, zawiera bardzo dużo pojęć i zwrotów. W końcu powiedziałem, kim jestem i jak się nazywam. Dziewczyna słuchała z zaciekawieniem i również powiedziała parę słów o sobie. Na imię miała Nadia. A później Nadia została moją żoną, ale teraz nie o tym chciałem mówić.

Kiedy opuściliśmy z przyjacielem Urząd Pocztowy, na gigantycznym teleekranie pojawił się właśnie spiker i oznajmił, co następuje:

1. Wszechświatowa Rada Pocztowa uważa kolekcjonowanie znaczków za przeżytek nie przynoszący Człowiekowi żadnych korzyści.

2. Wszechświatowa Rada Pocztowa uważa kolekcjonowanie znaczków za przeżytek nie przynoszący Człowiekowi żadnej szkody.

3. Jeżeli filateliści chcą, żeby znaczki pocztowe istniały, niech więc istnieją, ale nie jako znaki opłaty.

4. W związku z powyższym każdy Człowiek ma prawo drukować swoje własne znaczki. Służyć ma temu typografia i pozostałe techniki drukarskie.

5. Każdy Człowiek w ciągu swego życia ma prawo wydać trzy rodzaje znaczków w ogólnym nakładzie 1 000 000 egzemplarzy.

- No widzisz - powiedziałem do Andrieja - wszystko się skończyło dobrze. I trzeba to było obrażać dziewczynę? Używać zupełnie nie pasującego do niej określenia "wiedźma"! Skrzywdziłeś Człowieka. Musisz to odpokutować.

- Sam to wiem - odparł Andriej. - Zachowałem się niegodnie. I to wcale nie z powodu wycofania znaczków, lecz dlatego, że mi się nie wiedzie. Jakiś czas myślałem, że jestem bliski wielkiego odkrycia, a teraz mi się zdaje, że idę fałszywym tropem.

- W naszych czasach nie może być wielkich odkryć - zauważyłem. - W naszych czasach możliwe jest tylko udoskonalanie.

Andriej odpowiedział milczeniem i wydało mi się, że wewnętrznie zgadza się ze mną, ale nie przyznaje się do tego uniesiony fałszywą ambicją.

Mylłem się jednak. W Andrieju zawsze było coś nieodgadnionego. A przecież znałem go od dzieciństwa.

3. DZIECIŃSTWO

W najwcześniejszym dzieciństwie mieszkałem z rodzicami w domu przy Jedenastej Linii na Wyspie Wasiljewskiej. Ojciec mój wykładał literaturę w szkole zwanej dwunastolatką, matka była projektantką w fabryce damskich ozdób. Produkowano tam obrączki, pierścionki i wszelkie inne świecidełka z oczyszczonego chemicznie żelaza (złoto dawno już wtedy wyszło z mody), a także pierścienie i diademy inkrustowane marsjańskimi kamykami. W fabryce tej moja matka zaprzyjaźniła się z Anną Swietoczewą, matką Andrieja. Potem zaprzyjaźnili się także nasi ojcowie i w rezultacie osiedliśmy w jednym wspólnym mieszkaniu w Porcie, w domu nad samym morzem. W okresie tym rozpoczął się proces tak zwanej wtórnej komunalizacji mieszkań. Wielu ludzi podówczas, nim proces się ten rozpoczął, musiało mieszkać w wielkich lokalach kwaterunkowych. Ponieważ los łączył ich przypadkowo, a byli częstokroć odmiennych charakterów, różnych środowisk i zainteresowań, wynikały między nimi w takim wspólnym mieszkaniu kłótnie i wrogość. Tymczasem tempo budownictwa mieszkaniowego wciąż rosło, więc nastał rok, kiedy każdy, kto chciał, mógł zająć mniejsze samodzielne mieszkanie. Minał jakiś czas i poszczególne osoby, a nawet całe rodziny, zaprzyjaźnione ze sobą, zaczęły zajmować wspólnie jeden lokal, lecz już w nowych warunkach, w warunkach wzajemnej życzliwości. Zjawisko to zostało wzięte pod uwagę i znowu część nowego budownictwa przeznaczono na większe mieszkania. Ludzie w takich lokalach mieszkali jak jedna wielka rodzina, dając pieniądze do wspólnego garnka niezależnie od wysokości zarobków. Dziś proces ten trwa nadal, a że skasowano pieniądze, wszystko stało się o wiele prostsze.

Dom, który zajęliśmy wspólnie ze Swietoczewami, zamieniwszy się z jakąś wielką rodziną, był stary, zbudowany z cegły. W porównaniu z nowymi, betonowymi domami, stojącymi obok, wydawał się staroświecki. W naszym domu we wszystkich drzwiach wychodzących na klatkę schodową były nawet zamki, i mnie się podobała ta staroświeckość. Drzwi oczywiście już nie zamykano na klucz, klucze dawno się pogubiły lub przekazano je na złom, ale ta pozostałość starych wyposażań przydawała mieszkaniom tajemniczości.

Rodziny nasze żyły w przyjaźni. Ojciec Andrieja, Siergiej Jekatierynowicz Swietoczew, był wesołym, dobrodusznym człowiekiem. Pracował w fabryce papieru i był ze swego zawodu dumny. "Wszystko upływa, zmienia się, a przemysł papierniczy wciąż jest! - mawiał. - Bez nas nie da się żyć". Czyż mógł przypuszczać, że jego syn dokona tak wielkiego odkrycia, iż nawet papier nie będzie potrzebny?

Nam z Andriejem rodzice przydzielili jeden duży pokój dziecienny, a łóżka nasze stały obok siebie. Mieszkanie nie było wielkie, ale miłe. Lecz któż z Was, drodzy Czytelnicy, nie widział go! Przecież dom ten jest chroniony w stanie nienaruszalnym - ku czci Andrieja Swietoczewa, i wszystko tam jest takie jak dawniej. Tylko pokrycie podłogi dwa razy do roku jest zmieniane, a to dlatego, że wydeptują je niezliczeni wycieczkowicze ze wszystkich kontynentów naszego globu. Odwiedzającym ów dom-muzeum, mieszkanko to wydaje się dziś skromne, lecz mnie w dzieciństwie wydawało się bardzo duże. W tamtych czasach jeszcze nie było takiego dostatku mieszkalnej przestrzeni, jak dziś i norma - pokój na osobę, - była w pełni przestrzegana. To teraz, kiedy w ciągu doby wznosi się gigantyczne budowle z akwahdu, możecie, jeśli zaświta wam w głowie taka niedorzeczna myśl, zamówić sobie własny pałac i choć w Urzędzie Budownictwa Mieszkaniowego wszyscy będą zdumieni waszym dziwactwem, zamówienie spełnią i w ciągu dnia przeprowadzicie się do własnego pałacu, ale po tygodniu uciekniecie stamtąd z nudy.

Wróćmy jednak do Andrieja. No więc mieszkaliśmy z nim w jednym domu, chodziliśmy do tego samego przedszkola, a potem razem wstąpiliśmy do dwunastolatki. Żyliśmy w przyjaźni, powierzałyśmy sobie swoje sekrety i plany na przyszłość, pomagaliśmy w nauce. Ja byłem niezły z języka ojczystego, Andriej był mocny w matematyce. Jednak żadnych cech genialności w owym czasie Andriej nie przejawiał. Był zwyczajnym chłopakiem, jak każdy inny. W pierwszym okresie szkolnym uczył się na ogół średnio, zeszyty prowadził gorzej niż ja, toteż nierzadko stawiano mnie jemu za wzór.

Muszę nadmienić, że choć przyjaźniliśmy się z Andriejem, niektóre cechy jego charakteru nie podobały mi się. Wydawało mi się, że Andriej zawsze czegoś nie dopowiada, jakby się bał, że nie potrafię go zrozumieć. Bolała mnie również jego skłonność do samotności i milczenia. Mógł przesiedzieć godzinę i dwie bez ruchu, patrząc w jeden punkt i rozmyślając o czymś. Na moje pytania w takich chwilach odpowiadał nie na temat, i to mnie naprawdę złościło.

Lubił też brodzić samotnie nad brzegiem zatoki, po plaży. Jesienią na plaży było pusto i kiedy wracaliśmy ze szkoły, ja waliłem od razu do domu, a Andriej czasem, nie wiedząc czemu, biegł na tę pustą plażę, gdzie nie było nic ciekawego. Któregoś razu, pamiętam, wróciłem bez Andrieja do domu, a tu jego matka wysyła mnie po niego. "Przecież dziś jego urodziny, czyżby zapomniał?" - powiedziała. Poszedłem więc na brzeg. Dnia tego było pochmurno i wilgotno. Padał kapuśniaczek. Woda stała nieruchomo, tylko igielki deszczu cicho wklwwały się w nią i znikwały. Andriej stał w mżawce nad samym brzegiem. Nie patrzył w dal, tylko pod nogi, na wodę.

- Że też masz chęć sterczeć tu na plaży - powiedziałem. - Przecież to nie lato. Chodź do domu, mama cię woła. Zapomniałeś, że dzisiaj skończyłeś dziesięć lat? I o czym to tak rozmyślasz?

- Myślę o wodzie - odrzekł. - Woda jest dziwna, prawda? Do niczego na świecie niepodobna.

- I cóż niezwykłego widzisz w wodzie? zdziwiłem się. - Woda to woda.

- Nie, woda jest tajemnicza - uparcie powtarzał Andriej. - Jest cieczą, a jak się po niej uderzy pałką, to aż ręka boli, taka jest sprężysta. A gdyby zrobić wodę całkiem twardą?

- Nastanie zima, woda zamieni się w lód i będzie twarda - rzekłem.

- Nie chodzi o lód - odparł jakby z urazą. Milcząc poszliśmy do domu. Matka objęła Andrieja i podarowała mu paczuszkę ze znaczkami pocztowymi, a moja mama dała mu *Przewodnik filatelisty*.

- Huraaa! Nikaraguuuu! - krzyknął mój przyjaciel obejrzawszy znaczki. Podskoczył z radości i zaczął biegać po wszystkich pokojach wrzeszcząc: "Nikaragua! Nikaragua!" Kiedy przebiegał koło tapczana, podstawiłem mu nogę i Andriej upadł na poduszki. Ja też rzuciłem się na tapczan i zaczęliśmy się zmagać, a potem złapaliśmy wałki i tłukliśmy się, ile wlezie, oczywiście dla zabawy.

- Bij zwierzaka! - krzyczałem i wymachiwałem wałkiem od tapczana.

- Bij portrecistę! - wrzeszczał Andriej spuszczając mi na głowę drugi wałek.

"Portrecistami" w naszym kółku filatelistów nazywano tych, którzy zbierali znaczki z wizerunkami sławnych ludzi. Ja właśnie należałem do "portrecistów", Andriej natomiast do "zwierzaków", bo zbierał znaczki wyobrażające różne zwierzęta. Lubił szczególnie kolorowe, egzotyczne zwierzęta. Gust miał niewybredny, podobały mu się najbardziej jaskrawe w kolorach, wręcz, ordynarne znaczki, przedstawiające jakieś pstre ptaki. Zbiory swe bardzo cenił, ale jeśli któreś z dzieci poprosiło go choćby o najbardziej kolorowy znaczek - dał go. Sam rzadko kiedy zwracał się do kogokolwiek z prośbą i dlatego niektórzy uważali go za zarozumialca. Ale zarozumialcem to on nie był, tylko był po prostu opanowany i z latami to opanowanie rozwijało się w nim.

Z latami rosła w nim także skłonność do abstrakcyjnego rozumowania. Jego roztrząsania na ten czy ów temat, muszę się przyznać, przyprawiały mnie o nudę.

Raz, a byliśmy wtedy w czwartej klasie, miała się odbyć wycieczka szkolna do starego soboru św. Izaaka, właściwie to mieliśmy zwiedzić jego kolumnadę. Tego dnia na płaskim dachu naszej szkoły wylądował nieduży aerolot, szybko wsiedliśmy do niego i poleciliśmy do katedry. Zatrzymawszy się w powietrzu przy górnej kolumnadzie, aerolot wysunął pochyły

trap i cała klasa zeszła wraz z nauczycielem do stóp kolumn. Ze szczytu soboru widzieliśmy całe miasto i Nową z jej czternastoma mostami, i "Aurorę" stojącą na wieczystej przystani, i zalew, i statki na nim.

- Ach, jak pięknie! - powiedziałem do Andrieja. - Prawda?

- Bardzo! - zgodził się. - Tylko wszystko dokoła zbudowane z różnych materiałów. Z kamienia, żelaza, cegły, betonu, sztucznego tworzywa, szkła...

- Czy to źle? - zdziwiłem się. - Tak powinno być. Jedno się robi z tego, drugie z czegoś innego. Tak było i tak będzie.

- Wszystko trzeba robić z tego samego - rzekł w zamyśleniu Andriej. - I domy, i statki, i samochody, i rakiety, i buty, i meble. Wszystko!

- Ee, bzdury gadasz - zauważyłem. Bardzo dużo robi się z plastyku.

- Ale nie wszystko. Trzeba stworzyć taki plastyk, z którego można by zrobić każdą rzecz.

- Nie wymądrzaj się! - rozłościłem się. - Jesteśmy uczniami i nie marny po co myśleć o tym, co nie może się spełnić.

Po tych słowach Andriej się obraził i długo ze mną nie rozmawiał na ten temat. Wkrótce zaczął przynosić do domu wszelkie możliwe książki naukowe, w których przede wszystkim pisano o wodzie. A gdyśmy przeszli do następnej klasy, każdy wieczór spędzał w Otwartym Laboratorium, takie laboratoria i dziś znajdują się w każdej szkole.

W laboratorium tym było mnóstwo wszelakich urządzeń i przyrządów do doświadczeń, i Andriej krzątał się wśród nich zapominając nawet o jedzeniu. Choć to się wydaje dziwne, ani jego rodzice, ani moi nie wyrażali w tym względzie żadnych sprzeciwów. Kiedy napomykałem, że Andriejowi to zupełnie niepotrzebne i tylko szkodzi jego zdrowiu i ogólnym postępom w nauce, łagodnie mi odpowiadali, że ja po prostu pewnych rzeczy jeszcze nie rozumiem. A przecież stosownie do swego wieku byłem całkiem niegłupi i postępy w nauce miałem dobre. Jeśli chodzi o Andrieja, to im dalej, tym większe miał osiągnięcia w dziedzinie przedmiotów ścisłych, podczas gdy w pozostałych - rozwijał się średnio. Niektóre lekcje w ogóle opuszczał z powodu swoich doświadczeń w laboratorium, i wprost niepojęte - nauczyciele mu to wybacжали. Tak więc na lekcjach wychowania fizycznego bywał bardzo rzadko, a na nauce pływania w szkolnym basenie - prawie wcale. I pomyśleć, że w ogóle nie nauczył się pływać!

Mimo wszakże niektórych dziwactw Andriej był dobrym kolegą. Czasem sprzeczaaliśmy się, ale prawie nigdyśmy się ze sobą nie kłócili. Raz tylko Andriej wybuchnął z powodu głupstwa i nawet mnie obraził. A było to tak. Uczyliśmy się w siódmej klasie teorii

Einsteina i ja nie wszystko rozumiałem, więc uciekłem się w domu do pomocy NEO-na*.[* NEO - Niezawodny Elektroniczny Objasniacz] Wiem, że dziś tych agregatów się nie stosuje, są uważane za niepedagogiczne i dawno zaniechano ich produkcji, lecz w moich szkolnych latach uczniowie korzystali z ich pomocy. Andriej do NEO-na odnosił się lekceważąco i nawet dał mu ordynarne przydomki Łopatolog. No więc w domu włożyłem podręcznik w otwór agregatu, włączyłem kontakt i mechaniczne palce zaczęły kartkować strony. NEO czytał na głos i objaśniał wizualnie na ekranie. Tłumaczył w sposób uproszczony i zrozumiały. Nagle Andriej, który do tej pory siedział cicho za swoim stołem i patrzył beczynnie w jeden punkt, powiedział gniewnie:

- Wyłącz wreszcie tego nieszczęsnego Łopatologa! Czyżbyś nie rozumiał takich prostych rzeczy?

- Andriej! Jesteś ordynarny! - zawołałem. - Ten agregat nazywa się NEO i wcale nie jest łopatologiem.

- Że też ktoś wymyśla tym agregatom takie nazwy! - burknął. - Też mi NEO!

- Nazwy wszystkim agregatom wymyśla Ochotnicza Komisja Specjalna, złożona z Poetów - odparłem. - Obrażając agregat, obrażasz także Poetów, którzy bezpłatnie się trudzą, by dać nazwy mechanizmom. A ponieważ korzystam z pomocy NEO-na, obrażasz i mnie.

- Daruj, wcale cię nie chciałem obrazić - rzekł Andriej. - Daj mi książkę, wyjaśnię ci ten rozdział.

I zaczął mi tłumaczyć sens teorii, ale tłumaczenia jego były jakieś dziwne, wręcz paradoksalne i zupełnie dla mnie niepojęte. Powiedziałem mu o tym, a on szczerze się zdziwił.

- To przecież takie proste! Książka ta wpadła mi w ręce, kiedy byliśmy w drugiej klasie i pamiętam, że nie znalazłem w niej nic niejasnego.

- Ty nie znalazłeś, ale ja znalazłem! - odpowiedziałem i znów włączyłem NEO-na.

Ta różnica zdań nie naruszyła naszej przyjaźni, toteż gdyśmy skończyli po szesnaście lat i otrzymaliśmy prawo do korzystania ze Wzmocnionych Stacji Przekazywania Myśli, obaj wzięliśmy wspólną falę i zostaliśmy sobowtórami * [* Przekazywanie myśli w tamtych czasach mogło się odbywać między dwoma abonentami według schematu A-B:B-A. Praca Wzmocnionych Stacji zużywała dużo energii, toteż korzystanie z niej zalecano jedynie w wyjątkowych przypadkach, z braku innych środków łączności.] w wymianie myśli. Niebawem stało się to bardzo przydatne - moja pomoc była potrzebna Andriejowi.

A było to tak. Wczesną wiosną nasi rodzice wzięli urlop i polecili na Madagaskar. Przed odjazdem oczywiście dali nam mnóstwo rad i wskazówek. Andriej, korzystając z

nieobecności rodziców, do późnej nocy przesiadywał w Otwartym Laboratorium. Chodził tam sam i robił doświadczenia z wodą, na której punkcie dostał zupełnego bzika, jak to się dawniej mówiło. Okazało się później, że te doświadczenia wcale nie były bezpieczne i DRAKON *[* DRAKON (Doświadczony Robotnik Automatyczny, Kontrolujący Osoby Niedoświadczone) - stary mechanizm, dziś zastąpiony bardziej precyzyjnym] nieraz robił Andriejowi uwagi, a nawet wyłączał prąd w laboratorium, żeby przerwać te doświadczenia. Toteż Andriej znenawidził Bogu ducha winnego DRAKON-a i dał mu brzydkie przydomki Dryblas.

Raz Andriej został w laboratorium dłużej niż zwykle, ale nie martwiłem się o niego, gdyż byłem pewny, że skoro pracuje w obecności dyżurnego DRAKON-a, nic mu nie zagraża, i poszedłem spokojny do łóżka. Już zasypiałem, gdy nagle usłyszałem sygnał myśli Andrieja.

- Co się stało? - spytałem.

- Stan zagrożenia - nadawał Andriej - przyjdź do laboratorium. Stop.

Natychmiast się ubrałem i wybiegłem na ulicę. U wyjścia z bramy zatrzymał mnie PIWAK *[* PIWAK (Pracujący Idealnie Wieloczynnościowy Agregat Komunalny) - mechanizm z XXI-XXII ww., wykonywał tę pracę, co dawniej dozorca domu.]

- Jesteś zdenerwowany. Są jakieś polecenia?

- Poleceń nie ma - odparłem i pogałem samoświetlającą się jezdnią z masy plastycznej wprost do szkoły. Ulica była pusta, tylko przy bulwarze gdzieś siedziały zakochane parki. Wtem z przeciwka napatoczył się HONORAT *[* HONORAT (Hałaśliwy, Optymistyczny, Niosący Ojcom Radość Agregat Towarzyski) - stary mechanizm ustnej łączności, dziś zastąpiony innym.] W plastikowej ręce niósł bukiet różowych kwiatów, a na czole płonęła mu różowa lampka. Kolor różowy oznaczał, że urodziła się dziewczynka - HONORAT niósł tę wiadomość ojcu. O mało nie zwałem go z nóg, tak się spieszyłem.

Dobiegłem do szkoły. Na placu przed nią w ciągu dnia zawsze wisiała statua Nike z Samo-traki. Głowa jej była odtworzona drogą dokładnych cybernetycznych obliczeń i cała statua, a właściwie jej kopia, wyglądała tak, jak ją stworzył rzeźbiarz. Była odlana w nierdzewnym metalu i dzięki elektromagnesom wisiała w powietrzu nad niewysokim postumentem, jakby wykonywała lot. Na noc elektromagnesy wyłączały się i statua płynnie opuszczała się na postument. A rano, kiedy promień słońca dotknął urządzenia włączającego, Nike lekko unosiła się w górę i kontynuowała swój codzienny lot. W okresie mojej młodości wiele było takich wiszących w powietrzu statuet. Dziś już niestety zrezygnowano z elektromagnesów uważając, że to w złym guście, i na powrót wprowadzono zwykłe

pedestały. A szkoda! Czy nie nazbyt gorliwie współcześni przekreślają twórcze osiągnięcia przodków?

W oknach wielkiego budynku, gdzie się mieściło laboratorium, paliło się światło. Wszedłem do pracowni technicznej. Tu pośród mnóstwa przyrządów i maszyn ujrzałem Andrieja. Siedział na plastikowym taborecie, a po ramieniu ściekała mu krew. Nad nim niezgrabnie pochylał się DRAKON i udzielał jakichś medycznych rad. Andriej był bardzo blady. Rzuciłem się do apteczki, wyciągnąłem niezbędne medykamenty i przystąpiłem do opatrunku. Andriej miał ranę na plecach i stracił dużo krwi. Rana była nieduża, ale dość głęboka. Polałem ją balsamem uniwersalnym i zabandażowałem, a potem wezwałem telefonicznie lekarza.

- Co się tu działo? - r spytałem, kiedy czekaliśmy na pomoc.

- Niewielkie przeliczenie się - odrzekł Andriej. - Myślałem, że będzie zupełnie inny efekt. Rozumiesz? Chciałem widzieć, jak zareaguje woda na pewne szczególne warunki. Oziębilem ją pod ciśnieniem i wlałem w rozpaloną złotą rurę. Myślałem, że różnica temperatur...

- A tyś co tu robił?! - przerwałem Andriejowi zwracając się do DRAKON-a. - Przecież pełnisz dyżur i powinieneś przerwać niebezpieczne doświadczenie!

- Doświadczenie bezpieczne - beznamiętnie odrzekł DRAKON. - Doświadczenie potrzebne, konieczne, bezpieczne.

- Jakże bezpieczne, kiedy zraniło Człowieka? - rozzłościłem się. - Spójrz tylko, co się tu dzieje!

Rzeczywiście, na podłodze leżały jakieś potłuczone tarcze zegarowe, kawałki szkła organicznego, odłamki metalu, pęknięta, złamana pokręcona złota rura o dość grubych ściankach.

- Dryblas jest niewinny - odezwał się Andriej. - Jeśli ktoś tu zawinił, to tylko ja. Udowodniłem Dryblasowi, że doświadczenie jest bezpieczne.

- To znaczy, żeś go oszukał! Chociaż to nie Człowiek, tylko mechanizm, faktem jest, że popełniłeś oszustwo, a oszukując mechanizm, oszukujesz Społeczeństwo!

- Nie oszukałem go, tylko przekonałem. I wniosłem poprawki do jego schematu elektronicznego. Nawet pomagał mi w wykonywaniu doświadczenia.

- Doświadczenie usprawiedliwione, uzasadnione, konieczne, bezpieczne, konstruktywne, obiektywne - głucho zaterkotał DRAKON.

- Eee, z tobą dyskutować, to jakby przelewać z pustego w próżne - zniecierpliwilem się.

- Przelewać? Nowe doświadczenie? - ożywił się DRAKON.

- Żadnych doświadczeń więcej nie będzie! - powiedziałem. - Lepiej tu posprzątaj.

DRAKON pochylił się nad lukiem przewodu śmieciowego wyciągnął ze swej nogi plastikową łopatkę i śmiesznymi, jakby tanecznymi ruchami zaczął zbierać i zrzucać wszelkie okruchy i odłamki. Strąciwszy resztki powyginanej rury zatrzasnął klapę luku.

- Gotowe! - powiedział. - Można się wyłączyć?

- Tak - odparłem. - Zawiadam Ludzi, że jesteś niesprawny. Niech cię zmienią.

Tymczasem nadszedł lekarz.

Rana Andrieja szybko się zagoiła i została po niej tylko mała blizna. Najdziwniejsze, że za swoje sprawki Andriej w zasadzie nie poniósł żadnej kary. Odsunięto go tylko na krótki czas od doświadczeń, a potem znów się do nich zabrał.

Czego jak czego, ale uporu to mu nie brakowało.

4. Z MŁODOŚCI

Razu pewnego jesienią szliśmy z Andriejem brzegiem zatoki. Gdy zrównaliśmy się z przystanią dla łodzi, Andriej powiedział:

- Weźmy łódkę. Dawno nie pływałem.

Wzięliśmy szalupę i powiosłowaliśmy na zatokę. Mijały nas jachty, motorówki spacerowe, a na morzu widać było wolno płynące statki pasażerskie, towarowe i ogromne żaglowce. Żaglowce były piękne. Zupełnie jak na starych sztychach. Tylko nie miały dowódcy. Żagle obsługiwał specjalny mechanizm kierowany przez KAPITAN-a *.[* KAPITAN (Konceptyjny Antyawaryjny Pierwszorzędny Intelktualno-Techniczny Agregat Nawigacyjny) - dość dokładny, jak na swoje czasy mechanizm dowodzący, dziś bardzo zmodernizowany.] Żaglowcami tym: przewożono nieterminowe ładunki, toteż zastosowanie ich było w pełni uzasadnione. Co prawda czasami, z powodu niezwykle skomplikowanej budowy mechanizmu dowodzącego, z niektórymi takimi żaglowcami zdarzały się nieprawdopodobne rzeczy. Nagle zaczynały błąkać się po morzach omijając wszystkie porty. Takie błądzące żaglowce były niebezpieczne dla żeglugi i starano się je wytropić i unieszkodliwić, co wcale nie było proste. W mechanizmach KAPITAN-ów bowiem wytwarzał się efekt sprzeciwu i korzystały one z każdej okazji, by ująć ścigającym.

Wiosłowaliśmy wciąż dalej od brzegu. Nagle dwupokładowy statek atomowy przepłynął obok nas, wznosząc ogromną falę. Andriej zamarudził z - wiosłami - wiosłował źle - ale na szczęście zdążyłem skierować dziób szalupy na falę. Zatrzęsło nami, przez burzę przelała się woda, jednak wszystko skończyło się pomyślnie.

- Mogło być gorzej - powiedziałem. - Niewiele brakowało, a ocknęlibyśmy się w wodzie, a ty przecież do dziś nie nauczyłeś się pływać. Jakie to dziwne. Studiujesz wodę, robisz z nią doświadczenia, a pływać nie potrafisz. Może zamierzasz w przyszłości ujarzmić burze i sztormy?

- Nie, burze i sztormy pozostaną. Woda jednak, według mego przekonania, z biegiem czasu stanie się służebnicą człowieka. I czas ten, być może, nie jest tak odległy.

Nic nie odrzekłem. Wiedziałem nie od dziś, że Woda to idee fixe Andrieja a i nie chciałem z nim dyskutować. To było daremne.

- Do takiego wniosku można dojść nie tylko drogą badawczą, naukową. Sama logika życia świadczy o tym - kontynuował Andriej. - Człowiek ma przyjaciół wiernych i wypróbowanych. Są to: metal, kamień, drewno, szkło, tworzywo sztuczne. Ale ludzkość się

rozwija, potrzebny jej nowy potężny sprzymierzeniec. Takiego na razie nie ma. Ma za to wroga - wodę. Woda to nieprzyjazny żywioł, woda jest antystabilna.

- Woda to jest woda i nic z niej nie zrobisz - wtrąciłem słówko.

- Kiedy człowiek podporządkuje sobie silnego i niebezpiecznego wroga, to właśnie ten silny i niebezpieczny wróg stanie się jego najwierniejszym przyjacielem. Człowiekowi jest potrzebny wielki, nowy, wierny przyjaciel. Kiedy człowiek ujarzmi wodę, stanie się prawdziwym władcą Planety.

Pleć, pleciugo, byle długo - powiedziałem wysłuchawszy go do końca.

- Co znów za pleciuga? zdziwił się Andriej.

- To takie stare porzekadło. Nie będę ci tłumaczył.

Wtedy już całkiem serio interesowałem się historią literatury i folklorem XX wieku. Miałem w tej dziedzinie nawet osiągnięcia. W starych księgach wyszukiwałem dawne przysłowia, porzekadła, dowcipy i wpisywałem je do specjalnego zeszytu. Prócz tego studiowałem poetów XX wieku, z nadzieją, że napiszę o nich rozprawę historyczno-badawczą. Jednocześnie pracowałem nad moim ukochanym dziecięciem, *Słownikiem tematycznym archaicznych wyrazów*.

Klasy jedenasta i dwunasta były w naszej szkole sprofilowane i po ukończeniu dziesiątej wstąpiłem do klasy humanistycznej, Andriej natomiast do technicznej. Jak dawniej wychodziliśmy do szkoły razem, ale po powrocie rozstawaliśmy się do końca dnia. Przyjaciółmi jednak pozostaliśmy nadal. Bywaliśmy razem w teatrze i kinie, w czasie letnich wakacji podróżowaliśmy wspólnie po Ameryce, Australii i Szwecji. Najmocniej wszakże przetrwały w mej pamięci nasze spacerunki po rodzinnym mieście. Wędrowaliśmy po starych ulicach, które zachowały swój dawny wygląd z XX wieku, i po Nowym Mieście, gdzie wspinały się w górę wielkie budowle. Wydawały mi się wtedy bardzo wysokie - przecież budownictwa akwolidowego podówczas jeszcze nia znano.

Przechodząc kiedyś koło jakiegoś gmachu zauważyłem napis u wejścia: "OWIDIUSZ - Określacz Wszechstronny, Idealnie Dokładny, Intelktualnych, Umysłowych Sprawności i Zdolności".

Dawno już miałem ochotę sprawdzić swoje możliwości intelektualne, w które mino wrodzonej skromności nie wątpiłem. Toteż żartobliwie zaproponowałem Andriejowi:

- Wejdźmy tu i przekonajmy się, ile stopni wyciągają nasze mózgi.

- Dobrze, jeśli chcesz - zgodził się. - Tylko że nie bardzo ufam dokładności agregata.

- Może się boisz, że któryś z nas okaże się potencjalnym idiotą? - powiedziałem złośliwie.

- Wszystko możliwe - odrzekł Andriej. - Czasem wydaje mi się, że jestem okropnym głupcem...

Weszliśmy do gmachu i wkrótce zaprowadzili nas, każdego osobno, do pomieszczenia zapelnionego jakimiś przyrządami. Asystent posadził mnie na podnośnym fotelu, włożył na głowę hełm z czarnej masy plastycznej, z mnóstwem biegnących od niego przewodów.

- Proszę skupić myśli na tym, co pana najbardziej interesuje i najczęściej absorbuje - powiedział Asystent.

Zacząłem myśleć o swoim ukochanym STAW-ie, i niebawem na przyrządach pojawiły się strzałki i zabłyśły lampki. Asystent podszedł do ekranu, spojrzął i wyłączył całą aparaturę.

- Skończone. Ma pan tendencję do systematyki.

- A ile wypadło stopni?

- Cztery. Całkiem nieźle.

- Jak to? Tylko cztery? - zmartwiłem się. - I to w systemie dziesięciostopniowym?

- Cztery stopnie to niezły wynik - zaproponował Asystent. - Wielu ludziom OWIDIUSZ daje dużo mniej, a pracują w dziedzinie nauki, sztuki i literatury i wcale nie czują się głupimi. Reżyserzy i scenarzyści często otrzymują jedynki, a przecież krytycy oglądają ich filmy i chwala je.

- Pańskie słowa jeszcze bardziej utwierdzają mnie w przekonaniu, że agregat jest niedokładny. Jeśli reżyser stworzy film, a krytyk napisze recenzję, to już dowodzi, że OWIDIUSZ omylił się dając im jedynkę.

- To niczego nie dowodzi - zaprotestował Asystent. - Można być głupim naukowcem i mądrym robotnikiem, i - Czy pański OWIDIUSZ daje w ogóle komukolwiek wysokie oceny? - zaciekawilem się. - Czy zdarzają się ósemki, dziewiątki, dziesiątki?

- Dziesięciu stopni OWIDIUSZ od dnia swego istnienia nikomu jeszcze nie przyznał. Dziesięć stopni to stan genialności. A geniusze nieczęsto się rodzą. Dziewięć stopni to już przedsiónek genialności... Zna pan historię Nilsa Indeströma?

- Znam Teorię Nieosiągalności. Przerabialiśmy ją w ósmej klasie. Czyżby pan sądził, że skoro OWIDIUSZ dał mi czwórkę, to jestem na tyle tępą, że nie znam TN Indeströma?

- Nikt w to nie wątpi, że zna pan TN - uspokoił mnie Asystent. - Chcę tylko przypomnieć historię życia jej twórcy. Trzydzieści lat temu w małym miasteczku szwedzkim, Ul-trafiordzie, w fabryce sieci, pracował przy obsłudze warsztatów młody robotnik. Miał minimalne ziemskie wykształcenie: dwunastolatka o profilu technicznym. W wolnym od pracy czasie młody Nils uczęszczał na kursy teoretyczne z fizyki ogólnej i czytał książki o

teorii kwantowej, kosmografii i wytrzymałości materiałów. Prócz tego potrafił w pamięci robić błyskawicznie tak skomplikowane obliczenia, że zapędził w kozi róg maszynę cybernetyczną średniej klasy. Przygotował się na wyższe studia, lecz wyróżniając się ogromną skromnością, ociągał się ze złożeniem podania o przyjęcie. Raz koledzy, znając jego niezwykle zdolności i niezmierną skromność, zaprowadzili go niemal siłą do OWIDIUSZ-a. OWIDIUSZ przyznał mu dziesięć stopni. Niebawem Nils został przyjęty na drugi rok Akademii Wyższych Nauk Ścisłych. Po dwu latach Nils stworzył Teorię Nieosiągalności. Pomniki ku jego czci stoją we wszystkich miastach świata.

- To wszystko wiem - odrzekłem. - Ale zawsze wydawało mi się dziwne, że buduje się pomniki twórcy negującego prawa.

- Mądrość może być także negująca powiedział Asystent. - Tym bardziej że TN, mimo całej swojej negacji, odgrywa rolę dodatnią, pozytywną. Przestrzega ludzkość przed daremnymi próbami przedarcia się do Dalekich Gwiazd. Indeström uratował wiele istnień ludzkich, tak więc na pomnik zasłużył.

Wyszedłem do sali przyjęć i czekałem na Andrieja. Nie wiem, czemu utknął na tak długo w pomieszczeniu badawczym. Siedziałem nieomal godzinę. W końcu ukazał się w towarzystwie Asystenta i jeszcze jakichś dwóch starszych panów o profesorskim wyglądzie.

- Chodźmy powiedział do mnie. Wreszcie się skończyło to badanie.

Pożegnaliśmy pracowników stacji badawczej. Wydało mi się, że Andrieja żegnają oni z nadmiernym szacunkiem, nieproporcjonalnym do jego młodego wieku. Jeden z profesorów odprowadził go nawet do wyjścia.

- Czemu cię tak długo badali? - spytałem.

- Dawali mi dodatkowe testy, wypełniałem ankiety. Zamęczyli mnie do cna. I nie wiem, po co nawiązali kontakt z naszą szkołą. I jeszcze dzwonili do Wszechświatowej Akademii Nauk.

- Chyba ten ich OWIDIUSZ jest niepewny, dlatego muszą mieć dodatkowe informacje - powiedziałem, żeby jakoś pocieszyć Andrieja.

- Mnie ten OWIDIUSZ przyznał tylko cztery stopnie, to przecież jawna omyłka!

- Tak, to bardzo niedokładny agregat - zgodził się Andriej. - Ocenił mnie na dziesięć stopni. To oczywiście, że na to nie zasługuję. Czuję się niekiedy bezmózgim szczeniakiem.

Kiedy skończyliśmy szkołę, wstąpiłem na wydział filologiczny Uniwersytetu w Leningradzie, a Andrieja przyjęto na Akademię Wyższych Nauk Ścisłych od razu na trzeci rok. Mieszkaliśmy teraz w oddzielnych akademikach, ale jak mówiłem, widywaliśmy się

często.

5. ZASŁUŻONA KARA

Powracam do tego, od czego zacząłem swą opowieść.

W kilka dni po owym “buncie filatelistycznym” Andriej przyszedł do mnie z wizytą. Wyglądał na smutnego.

- Co się stało? Mów! - spytałem. - Znow nieudane doświadczenie? Czas ci przywyknąć do niepowodzeń. W niepomysłnych sytuacjach powinieneś się czuć jak ryba w wodzie.

- Nie, tym razem nieprzyjemność jest innego rodzaju - odrzekł Andriej puszczał mimo uszu moja złośliwość, nie doceniwszy w niej ukrytej dwuznaczności. - Wiesz, na zebraniu ogólnym opowiedziałem o swoim postępku, no, o tym, że zwymyślałem dziewczynę...

- Brakowało tego, żebyś to przemilczał! Człowiek ukrywający zło kłamie... I cóż postanowiono na zebraniu?

- Postanowiono ukarać mnie polowaniem. Muszę pojechać do Rezerwatu Łuskiego i upolować zająca. Namnożyło się ich tam bez liku i niszczą pobliskie sady.

- Niemiała sprawa - zachmurzyłem się. Ale to kara zasłużona. Jak można było powiedzieć dziewczynie, że jest wiedźmą?! - Nie poleciałbyś ze mną tam, do rezerwatu? - spytał Andriej. - Smutno robić taka wyprawę samemu. Zadanie oczywiście wykonam własnoręcznie.

Przypomniało mi się wtedy, jak to pewien student opowiadał, że dozorca tego rezerwatu, wiekowy już starzec, zna stary folklor, dawne zaklęcia, porzekadła i obelżywe słowa. Może uda mi się w końcu napełnić mój STAW? - pomyślałem i zgodziłem się towarzyszyć Andriejowi. Bardzo się ucieszył.

Natychmiast po jego wyjściu oświadczyłem Ninie, że jutro odlatuję na dzień, dwa, i poprosiłem, żeby nie przerywała pracy nad zbieraniem materiału do Antologii. Dowiedziawszy się wszakże, że udaję się do rezerwatu, Nina uparła się lecieć ze mną.

- Chcesz koniecznie widzieć, jak się zabija zwierzę? - zdziwiłem się. - Tego się po tobie nie spodziewałem!

- Ależ nie, coś ty! - obruszyła się. - Chcę tylko trochę pobyc wśród przyrody. I znowu popatrzeć na żywe zwierzęta.

- A to co innego - powiedziałem. - Wobec tego jutro rano wpadnę po ciebie.

W głębi duszy byłem rad, że Nina postanowiła jechać ze mną do rezerwatu. Stwierdziłem bowiem, że tu nie chodzi jej o przyrodę, tylko o mnie. Może oczekuje ode mnie jakichś wyznań... I dlatego jest gotowa wybrać się na polowanie.

Polowania już dawno przestały być dla ludzi przyjemnością, wręcz przeciwnie, stały się niemiłym obowiązkiem, który należało spełniać wtedy, gdy w rezerwach namnożyło się zbyt dużo zwierząt. Od czasu zaprzestania wojen na Ziemi i wszelkich zniszczeń, i odkąd nastąpiła równość socjalna, upodobania ludzi złagodniały i całkiem zanikła przestępczość. Zaprzestawszy okrucieństwa wobec siebie, ludzie zmienili także stosunek do zwierząt. Jeszcze na długo przed moim urodzeniem ustanowiono wszechświatowe prawo, zabraniające doświadczeń na zwierzętach. Zastępowały je teraz w pełni modele bioelektroniczne. Trzymanie zwierząt w niewoli, w tak zwanych ogrodach zoologicznych, uznano za okrutne, i wszystkie takie ogrody uległy likwidacji. Nikogo to nie oburzyło, gdyż punktualność i szybkość środków lokomocji pozwalała każdemu obejrzeć zwierzęta w miejscach ich obecnego pobytu, w rezerwach. Człowiek już nie potrzebował polować ani dla zdobycia mięsa czy skóry, ani też dla futer. Futra zwierzęce dawno już zastąpiono syntetykami. Syntetyczne futra są o wiele cieplejsze i ładniejsze niż naturalne. Tak więc ekonomiczne pobudki do polowań po prostu umarły, a zresztą polowania raziły człowieka pod względem moralnym, jak zresztą wszelka przemoc i zabijanie. Pamiętam, że kiedy w szkole przerabialiśmy dawnych klasyków, zawsze ze zdziwieniem czytaliśmy pięknie opisane sceny myśliwskie. Wydawało nam się czymś niepojętym owo lubowanie się w okrucieństwie.

Nazajutrz poszedłem do Niny. Mieszkała nie w akademiku, lecz w domu, razem z matką. Ojciec Niny zginął w czasie ekspedycji podwodnej i choć się to zdarzyło już dawno, matka Niny sprawiała wrażenie, jakby to było dopiero wczoraj. W domu ich jednak panowała miła atmosfera i lubiłem tam bywać. Tego ranka Nina i jej matka powitały mnie jak zawsze serdecznie. Ranek ten dobrze mi się wrył w pamięć, ponieważ tego właśnie dnia w moim życiu i Niny zaczęły się wielkie zmiany.

- Musicie się dobrze najeść przed drogą - powiedziała matka Niny. - W stołówce uniwersyteckiej jecie to, co wam zaproponuje SASOF. M fantazją to on nie grzeszy. Sama programuję naszego ADONIS-a *[* ADONIS (Agregat Domowy, Ofiarny, Niezastąpiony Intymny Sługa) - stary mechanizm kuchenny, dawno już zastąpiony bardziej precyzyjnym.] i ma on już niemałe doświadczenie.

- O, z przyjemnością skosztuję domowego jedzenia - zgodziłem się. - Proszę łaskawie zamówić u ADONIS-a dwie syntetyczne bitki baranie, jeśli można.

- Niechże więc pan sam “zapracuje” na te swoje bitki - zaśmiała się matka Niny. - Proszę zaprogramować agregat. Chodźmy do kuchni, nauczę pana. Gdyby się pan kiedykolwiek ożenił, umiejętność taka zawsze się przyda.

Kiedy znaleźliśmy się w kuchni, ADONIS wyszedł z niszy i wyciągnął ku nam coś w kształcie metalowej dłoni, na której widniała klawiatura z mnóstwem cyferek, liter i znaków.

- Oto baranina dla pana - rzekła matka Niny naciskając na jakieś cyferki. - A oto bitki cielejące dla Niny. To takie proste!

ADONIS opuścił rękę i zastygł w oczekującej pozycji.

- Czy to bezpiecznie lecieć na polowanie? - spytała matka Niny. - Boję się o córkę. Jest taka nieostrożna, wykapany ojciec...

- Proszę się nie obawiać, nie zabrałbym jej ze sobą, gdyby to było niebezpieczne - odrzekłem miękko.

- Tak, tak, ma pan słuszość. Kiedy Nina jest z panem, nie boję się. Jest pan człowiekiem opanowanym, rozważnym...

- Tego wymaga ode mnie mój zawód - odparłem skromnie.

- Chciałabym - zwierzyła mi się - żeby mąż Niny miał bezpieczną pracę, w rodzaju pańskiej... No, ale opuścimy kuchnię, bo nie damy ADONIS-owi pracować.

Wyszliśmy tedy, a ADONIS zabrał się do roboty. Nie mógł realizować programu przy ludziach, jako że był zaopatrzone w urządzenie dające efekt wstydlivosti. W ciągu minionych stuleci tak dokuczycie kobietom babranie się w kuchni, gotowanie obiadów, mycie naczyń, że dziś uważa się tę pracę za nieestetyczną i dlatego w obecności ludzi ADONIS nie wykonywał zadań, żeby nie psuć im nastroju. Jeśli ktokolwiek wszedł do kuchni, przerywał pracę oczekując ewentualnego rozkazu. Otrzymałszy go stał dopóty beczynnym, dopóki nie został sam. Wtedy dopiero kontynuował program.

No więc powróciliśmy z matką Niny do pokoju. Nina podjęła rozmowę na temat *Antologii zapomnianych poetów XX wieku* i włączenia do niej wierszy Wadima Szefnera.

- A co to był za człowiek, ten Poeta? - spytała matka Niny. - Nie był przypadkiem Człopijwinem?

- Tego dokładnie powiedzieć nie mogę - odrzekłem. - Człopalmachem *[* Człopalmach (Człowiek Pałacy Machorkę) - medyczny termin tych czasów.] to był na pewno, w poezji swojej tu i ówdzie napomyka o paleniu papierosów. Ale całkiem możliwe, że był także Człopijwinem. Po poetach XX wieku wszystkiego się można było spodziewać.

- Ludzi należy oceniać według ich zalet, a nie wad - oświadczyła nagle Nina.

- To nie jest naukowe podejście - zaprotestowałem. - Dla mnie i moich prac naukowych istotne jest nie tylko to, co Twórca napisał, ale także, jakie prowadził życie.

- Racja! - zawołała matka Niny. - Proszę powiedzieć, czy Swietoczew, z którym pan jedzie na polowanie, to człowiek zrównoważony? No bo o kimś, kogo tak srogo ukarano, można różnie myśleć...

- Andriej to dobry kolega - uspokoiłem ją. - Jeszcze nigdy nikogo nie nabrał... prócz siebie samego.

- Nie obawiaj się, mamó - wtrąciła nagle Nina. - Chociaż nigdy tego Andrieja nie widziałam, doskonale go sobie wyobrażam na podstawie opowiadań Matwieja. To według mnie dobry człowiek, tylko z gatunku pechowców. Wciąż czegoś szuka i wciąż spotyka go zawód, Żal mi go nie wiem czemu...

Tak, to niezły człowiek - dodałem. - Gwiazd to on nie dosięgnie i prochu też nie wymyśli, ale przecież to mu nie wadzi być dobrym człowiekiem i moim przyjacielem.

6. W DRODZE DO REZERWATU

Opuściliśmy z Niną jej dom i pojechaliśmy na przystanek lekkolotu, znajdujący się na dachu wieżowca. Wjechawszy windą na górę spotkaliśmy Andrieja. Przedstawiłem go Ninie i wsiedliśmy do czteroosobowego lekkolotu. Zająłem miejsce obok EOL-a *,[* EOL (Elektroniczny Odpowiedzialny Lotnik) - agregat XXII w., zastąpiony później bardziej precyzyjnym.] a Nina i Andriej usiedli z tyłu.

- Loty są bezpłatne - poinformował nas EOL. - Proszę podać kurs i szybkość: spacerową, delegacyjną, pospieszną, super-expressową?

Zamówiliśmy kurs i wybraliśmy szybkość spacerową. Pogodę mieliśmy tak dobrą, że lot był wprost przyjemnością. Miasto wolniutko płynęło pod nami, niebawem ukazały się ogromne białe sześciany fabryk produktów syntetycznych i wieże elewatorów zbożowych. Potem rozłożyły się pod nami zielone pola. W równych odstępach między zagonami wznosiły się wieże zdalnie kierujące elektrotraktorami. Przez pola, ginąc gdzieś za horyzontem, ciągnęły się proste, dalekie drogi pokryte żółtawymi i szarymi płytami ze sztucznego tworzywa. Widać było lakierowane grzbiety dalekobieżnych obszernych elmobili pasażerskich. To równoległe z dalekimi drogami, to oddalając się od nich w bok i ginąc gdzieś w lesie, to znów wijąc się wzdłuż brzegów strumieni biegly wąskie dróżki, przeznaczone dla jeźdźców konnych. Przy drogach tych gdzieniegdzie stały nieduże zajazdy, gdzie każdy konny mógł sobie odpocząć, nakarmić i napoić konia i pokazać go dyżurnemu ASKLEPIOS-owi *,[* ASKLEPIOS (Agregat Służący Koniom Lekarską Efektywną Pomocą i Opieką Specjalistyczną) - agregat ten istnieje do dziś, tylko w ulepszonej postaci jako ASKLEPIOS-2.] gdyby przypadkiem zwierzę było chore. Chociaż liczba ludności na Ziemi wciąż rosła, to dzięki przejściu na produkcję mięsa syntetycznego było tyle wolnego miejsca, że Ludzkość mogła sobie pozwolić na rozkosz konnej jazdy. Ponadto uczeni udowodnili, że jazda konna to nie tylko rozkosz, ale i wygoda. Jeszcze za moich czasów zaczęto tworzyć kluby jeździeckie i zaczęły się odbywać masowe zawody konne. Wielu wolało teraz pokonywać nieduże odległości konno. Młodzi porzucali swoje elcykle i w wolnym czasie starali się opanować arkana jeździectwa. Niektórzy jeźdźcy przywdziewali sukienne kaski z czerwonymi gwiazdami i długie szynele kawaleryjkie z naszywkami, wskrzeszając modę budionnowców. Starzy natomiast woleli mechaniczne środki podróży, nie podobał im się ów, jak to określali, paradoks rozwoju lokomocji osobowej. Mimo to liczba koni i jeźdźców rosła i do dziś zresztą wciąż się zwiększa.

Siedząc obok EOL-a nie bardzo słyszałem, o czym rozmawiają Nina i Andriej. Ale byli ożywieni i raz po raz dobiegały mnie jakieś urywki ich zdań i śmiech. Śmiała się nie tylko Nina, ale i Andriej. "Ciekawe, że Andriej potrafi się teraz śmiać - pomyślałem. - Przecież jest ukarany, czeka go tak bardzo przykra rzecz, a tu nagle ten śmiech!" - I cóż ci wesołego powiedziała Nina, że się tak śmiejesz? - spytałem Andrieja przechyliwszy się przez poręcz fotela.

- Nic szczególnego - wyręczyła go Nina. - Opowiedziałam, jak raz dla żartu włączyłam do rękopisu Antologii pięć czterowerszy z Omara Chajjama, a ty przeczytałeś je i oświadczyłeś całkiem serio, że ta dekadenccka poezja nie oddaje nastroju poezji XX wieku.

- Pewnie myślałem o czymś innym w tym momencie i pomyliłem się - odparłem. - Przecież doskonale wiem, kiedy żył Omar Chajjam. Czyżby i Andriej znał jego wiersze?

- Wyobraź sobie, że tak! - powiedziała Nina.

- Teraz powinien myśleć nie o Omarze Chajjamie, a o karze, na którą sobie zasłużył. Nie należy go wprowadzać w wesoły nastrój. Skazany musi nie tylko ponieść karę, ale także głęboko przeżyć swoją winę.

Po tej mojej najzupełniej słusznej uwadze śmiech na tylnych siedzeniach urwał się. Ale rozmawiać nie przestali, tylko robili to ciszej.

Wkrótce wylądowaliśmy niedaleko granicy rezerwatu. EOL, otrzymawszy polecenie powrotu do miasta, wznosił lekkolot w powietrze i wziął nowy kurs.

Tu w okolicy rezerwatu wzbroniono wznoszenia współczesnych budów, dlatego musieliśmy przejść przez rzeczkę bierwionowym mostkiem. Dalej wędrowaliśmy leśną dróżką. Trzeba było odnaleźć Leśnego Stróża, od którego Andriej miał otrzymać narzędzie zabójstwa, żeby wypełnić zadanie.

Andriej maszerował przodem, a ja z Niną szliśmy kilka kroków za nim. Raz po raz przebiegały nam drogę zające, w którymś miejscu, ukryty pod małym drzewkiem, lis potoczył po nas nieufnym wzrokiem, a potem pobiegł swoją ścieżką. Pośród gałęzi śpiewały ptaki leśne, a nasza obecność nie trwożyła ich wcale.

- Wiesz, zupełnie inaczej wyobrażałam sobie twego przyjaciela - odezwała się nagle Nina.

- Jest lepszy, niż mówiłeś.

- Źle przecież o nim nigdy ci nie mówiłem - zaoponowałem. - Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Mówiłeś o nim zbyt mało dobrego - odpowiedziała Nina. - Według mnie to jest niepospolity człowiek. Mało go znasz.

- Jak możesz coś podobnego mówić, Nino - rzekłem spokojnie. - Znam go niemal od urodzenia, a ty ledwie od półtorej godziny.

- A jednak jest niepodobny do innych.

- Każdy człowiek czymś się tam od innych różni.

- W nim czuje się skłonność do wzniosłych celów.

- Można sobie wytyczać wielkie cele, a być wciąż pechowcem - odpałem.

- No cóż, może i jest pechowcem - powiedziała w zamyśleniu Nina. - Ale przecież wielki pech jest lepszy od drobnych sukcesów.

- Nie rozumiem cię. Szczęście zawsze będzie szczęściem, a pech to pech!

- A według mnie nie. Jeden człowiek, na przykład, postanowił sobie wspiąć się na szczyt wysokiej góry, a drugi na kopczyk piasku. Człowiek, któremu nie udało się stanąć na szczycie, będzie wyżej od tego, który wszedł na kopczyk piasku.

Poniechałem tej bezcelowej dyskusji, tym bardziej że doszliśmy już do domu Leśnego Stróża. Mieszkał tu ten sam starzec, o którym słyszałem, że zna dawny folklor. Włączyłem tedy magnetofon kieszonkowy, w nadziei, ŻP wykorzystam zapis rozmowy ze Stróżem do napełnienia mojego STAW-u.

7. STARY CZŁOPIJWIN

Dom Leśnego Stróża stał na zielonej polance u brzegu strumienia. To był prawdziwy, na poły z drewna, na poły ze sztucznego tworzywa budynek z końca XX wieku, ze staroświecką anteną telewizyjną na dachu, z ganeczkiem i podmurówką. Pod ścianą stał motocykl. Nie opodal pod drzwiami znajdowały się zimowe paśniki dla łośi i jeleni i małe skrzyneczki na słupkach - karmniki dla ptaków. Wszystko tu było takie inne niż w mieście.

Z domu, miło się uśmiechając, wyszedł nam na spotkanie postawny starzec, grzecznie się przywitał i zaprosił do swego mieszkania. Pokój, do którego nas wprowadził, był całkiem przyjemny. Wszystko w nim oddychało przeszłością, i zmurszały telewizor w potrzaskanej obudowie, i tapczan niespotykanej dziś konstrukcji, i wysoki drewniany stół, i krzesła z plecionymi oparciami. Dopełniając obrazu, na oddzielnym stoliku z marmurowym blatem stał błyszczący samowar elektryczny, a na ścianie wisiały dwie strzelby.

- Jak tu u pana ciekawie! - powiedziała Nina. - Chciałabym tu trochę pomieszkać.

- A któż pani zabrania? - odrzekł Stróż. - Proszę przyjeżdżać i mieszkać, my z moją starą odstępimy miejsca. Zawsze cieszymy się z gości.

- Przybyliśmy tu w pewnej sprawie. My, a raczej ja, muszę zabić jednego zająca - powiedział Andriej.

- A tak, zgłaszałem zapotrzebowanie na zabójstwo - potwierdził starzec. - Namnożyło się tych zające bez liku. Tu w pobliżu jest sad, z dziesięć kilometrów stąd, a one pnie obgryzają... I za cóż to taka kara?

Andriej wyjaśnił, za co go ukarano, a starzec z dobrodusznym uśmiechem powiedział:

- Surowo jest tam u was w miastach! My z żoną w tej głuszy nieraz się pokłócimy. Żeby tak nam przyszło za każdą głupotę zabijać, to żywego stworzenia by w tym rezerwacie nie ostało... No, to bierz strzelbę. Idziemy do szopy, nauczę cię strzelać - powiedział starzec do Andrieja.

Obaj z Andriejem poszli za jedną z przybudówek. Po chwili dobiegł nas stamtąd wystrzał, jeden, potem drugi. Wreszcie wrócili, starzec, a za nim Andriej ze strzelbą.

- Pojętny kawaler! - pochwalił Andrieja Stróż. - Pierwszy raz wziął strzelbę do ręki i wszystko zrozumiał. Od razu trafił w jabłko.

- No to już pójde zabić zająca - powiedział Andriej. - Trzeba jak najprędzej skończyć z tą niemłą sprawą... Ale co z nim potem zrobić? - zapytał.

- Tu przyniesiesz - odrzekł stary. - Szkoda go zmarnować. Zjemy sobie i kwita!

- Jeśli pan pozwoli, to i ja pójde - zwróciła się do Andrieja ni stąd, ni zowąd Nina.

- Ach nie, Nino, co też pani mówi? I po cóż ma pani to wszystko widzieć? Sam pójdę... I poszedł do lasu, a Nina usiadła na ławce przed domem. Zbliżył się do niej jelonek i ocierał się pieszczotliwie pyskiem o jej kolana, a ona głaskała go po grzbiecie. Patrzałem na nią z okna pokoju i wydała mi się bardziej pociągająca niż kiedykolwiek przedtem.

- Milusia dziewczuszka! - powiedział nagle Stróż, jakby odgadując moje myśli. - Dziewczynka jak się patrzy!

- To już nie dziewczynka, jest na drugim roku studiów - zauważyłem.

- A choćby i na dwudziestym drugim. Dla mnie to jest dziewczynka. Sto osiemdziesiąt siedem lat mi stuknie za tydzień.

- Stuknie, to znaczy skończy pan te sto osiemdziesiąt siedem - powiedziałem. - A na oko wygląda pan młodziej! Pomyśleć, MIDŹ plus siedemdziesiąt siedem! Pewnie zwracał się pan do Komisji o przedłużenie życia?

- Nigdzie się nie zwracałem. Sam sobie przedłużam życie. My, leśnicy, żyjemy długo.

- A jak pan sobie sam przedłuża? - zaciekałem się. - Może zna pan jakieś starodawne lekarstwa, zioła?

- A znam takie jedno lekarstwo. I o śmierci ani o żadnych takich głupotach nie myślę, to i przedłużam! A jak ciebie honorować? - spytał.

- Honorować, to znaczy nazywać - rzekłem ze znanstwem. - Nazywam się Matwiej Ludmiłowicz.

- A ja Stiepan Stiepanowicz. Ludmiłowicz... tych "otczestw" po matce to ja nie uznaję - dodał z dobrodusznym, starczym uśmiechem. - Wprowadzili te nowe mody! Otczestwo po matce, okręty z żaglami, konno po drogach skaczą... Nieee, ja, stary, już do tych nowości nie przywyknę.

Skończywszy swój wywód, Stróż wyciągnął szufladę stołu, wyjął skórzany woreczek i paczuszkę papieru.

- Co to jest? - zaciekałem się.

To kapciuch, a w kapciuchu machorka, samosiejka.

- Jak to? To pan jest Człopalmachem? - zdumiałem się. - I to w tym wieku?

- Jaki ze mnie Człopalmach, jestem zwyczajnie pałacy. Powymyślali jakieś nowe słówka!

Zręcznie zwinął brzeg papierka, nałożył machorki, potem skręcił papierek w rurkę i zapalił. Ciężki niebieski dym popelznął w moją stronę, aż się zakrztusiłem. W tym czasie z lasu doniósł się strzał.

- Ano, był zajęc i nie ma zajęc - zaciągając się rzekł stary. - Twój przyjaciel nie chybi! A ty to ecium-pecium.

- Co to jest "ecium-pecium"? - spytałem. Co znaczy ten ludowy zwrot?

- Tak naprawdę to nic nie znaczy - odrzekł stary. - Ot, tak sobie powiedziałem. Dla żartu.

- A może to przezwisko? - ucieszyłem się. - Proszę się nie krępować, proszę mnie zwymyślać jakkolwiek bądź.

- A za cóż to niby mam cię zwymyślać? Nie zrobiłeś mi nic złego. I nie jestem na bani... Ano zażyję swego lekarstwa, to może poprzeklinam. Chodź, pokażę ci tę aptekę, gdzie się gotuje moje lekarstwo.

I poprowadził mnie do kuchni, a z kuchni do niewielkiej przybudówki. Mocno tam czymś pachniało. Woń była dziwna, niemiła, a jednocześnie jakby czemuś miła. Na staroświeckiej elektrycznej płycie stały jakieś bańki, ciągnęły się rurki, w kotłach coś bulgotało. Z jednej rurki do miski plastikowej kapał jakiś pachnący płyn.

- Co to? spytałem. Laboratorium chemiczne?

- A no, no! - dziarsko powiedział stary wlewając płyn z miski do szklaneczki i podsuwając mi to pod nos.

Ociągałem się podejrzewając najgorsze.

- No, bierz!, pij! Jest jak łza! Na moi nadchodzący dzień urodzin pędzę. Wypij ty, a potem i ja pociągnę.

- To pan jest Człopijwinem?! - krzyknąłem. - Jakże to nie licuje z pańskim sędziwym wiekiem!

- Piiij - łagodnie powtórzył stary. - Bo mnie obrazisz!

- A powie pan obelżywe słowa?

- Powiem, powiem. Tylko wypij. Wszystko ci powiem.

Zdecydowany narazić swoje zdrowie dla dobra nauki, a jednocześnie nie sprawić przykrości staremu, pociągnąłem kilka łyków. Najpierw mnie odrzuciło, ale potem przykre wrażenie ustąpiło.

- Pij i zakaś! - z ojcowską troską rzekł stary wsuwając mi do ręki kawałek sera.

Zakaśiłem i żeby nie obrazić staruszka, wychyliłem szklankę do dna. Poczułem się błogo i wesoło. To był dla mnie zupełnie nowy stan duszy i ciała. Potem wypił także stary i wróciliśmy do pokoju.

- Coś nam długo nie wraca nasz myśliweczek - powiedział Stróż. - I dziewczuszka gdzieś się zapodziała, pewnie pobiegła do lasu... A kawaler to z niego widać łebski! Oj odbije ci on ją, ani chybi... Widziałem, jak na niego wciąż zerka. Da ci ona kosza, zobaczysz!

- Co to znaczy "da kosza"? - spytałem, W odpowiedzi Stary Człopijwin zaśpiewał miękkim głosem:

Oj sadziłam ci ja sadek sameńka,
Oj zakwitłam ci ja jako wisienka,
I sameńkam ja miłego se wybrała,
I sameńkam ja miłemu kosza dała!

- Już cię ona urządzi - powiedział stary. - Zapomni i kwita!

- Obiecał pan zrugać mnie na ludowo - przypomniałem.

- A proszę, z całego serca - odrzekł Człopijwin. - Tego dobrego to umiem dużo. Bywało, dziadek mój jak nie sypnie! A ja wszystko zapamiętałem!

I Stróż rzeczywiście zaczął rzucać obelżywe słowa, a ja powtarzałem je, mój zaś kieszonkowy magnetofon wszystko zapisywał. STAW się napełniał. Tymczasem do pokoju wszedł Andriej, a za nim Nina, i nasza gawęda się urwała. Andriej postawił strzelbę w kącie, oddał zabitego zająca Stróżowi, a ten poniósł go do kuchni.

- Żał mi go było zabijać powiedział Andriej - są takie oswojone... A co ci się stało? - spytał nagle, patrząc na mnie badawczo.

- A nic, nic - odrzekłem i nieoczekiwanie dla samego siebie zaśpiewałem:

Oj sadziłam ci ja sadek sameńka,
Oj zakwitłam ci ja jako wisienka!

- Co się z tobą dzieje? - zaśmiała się Nina. - Nigdy cię takim nie widziałam!

- Przecież on wypił! Stał się Człopijwinem! - domyślił się Andriej. - No proszę, oto przyszły profesor!

- Ja... dla dobra nauki... - zabełkotałem - dla napełnienia STAW-u!

W tym momencie wrócił Stary Człopijwin z pełną szklanką swego "lekarstwa". Podsunął je Andriejowi.

- Wypij połowę, a potem daj dziewczusce - powiedział. - Jeśli nie wypijecie za mój dzień urodzin, pogniewam się. Tylko obiadu dobrego brakuje, moja stara poleciała do

Australii obejrzeć rezerwaty kangurów, a nasz ADONIS zepsuł się, bo chciałem go nauczyć pędzenia bimbru, to on wziął i trzasnął. Nieuświadomiony agregat! - co powiedziawszy postawił na stole kilka puszek konserw i zaczął je otwierać starodawnym nożem myśliwskim.

Andriej wypił pół szklanki i podał Ninie.

- Nino! Nino! Co robisz? Opamiętaj się! - krzyknąłem. Choć byłem w stanie upojenia, świadomości jednak nie straciłem.

- E, co tam! - zaśmiała się Nina i ku mojej rozpaczy wychyliła szklankę do dna.

- Tak jest! - zawołał Stary Człopijwin. - Dzielne dzieci! Znacie dawny przesąd? Jeżeli chłopak i dziewczyna wypili z jednej szklanki, będzie wesele!

Nie wiem czemu, zrobiło mi się nagle bardzo smutno i zapłakałem. Ale Stary Człopijwin przyniósł mi jeszcze jedną szklankę napoju i po wypiciu go znów poweselałem. Tymczasem Stary wyciągnął skądś dziadkowy magnetofon, włączył go i zaczął tańczyć w takt jakiejś dziwnej, bardzo dawnej muzyki. Andriej i Nina przyłączyli się do niego.

Siedziałem i uśmiechałem się. Wszystko wokół wydawało mi się miłe, ale wstać z miejsca ani rusz nie mogłem. Potem zakręciło mi SIQ w głowie i od tego momentu już nic więcej nie pamiętam.

8. MOST BEZ PORĘCZY

Nazajutrz rano przebudziłem się, bo wiewiórka skoczyła mi wprost z okna na staroświecki tapczan, na którym spałem. Bolała mnie głowa, ale Stary Człopijwin dał mi wypić jakieś zioła i znów poczułem się zdrowy.

Wszyscy już dawno wstali. Stróż poczęstował nas śniadaniem, dał jedzenia na drogę i we trójkę poszliśmy do leśnego jeziora. Człopijwin wytłumaczył, którędy iść i powiedział, że tam jest bardzo ładnie.

Nie śpiesząc się, Andriej i ja z plecakami, a Nina bez, powędrowaliśmy leśną dróżką, potem skręciliśmy na ścieżynkę i szliśmy nią ze trzy kilometry, w pierw lasem, potem przez torfowisko. Dalej ciągnęły się niewysokie pagórki porośnięte wrzosem i jałowcem. Słońce wznosiło się coraz wyżej, było już ciepło, nawet gorąco. Wkrótce u stóp wzgórza, na którym stanęliśmy, roztoczył się widok jeziora i niedużej rzeki wpadającej do niego.

- Chodźmy na tamten brzeg - powiedziała Nina. - Spójrzcie, jak tam pięknie!

Drugi brzeg był rzeczywiście ładny. Łagodnie spadzisty, leżały na nim szare głazy, a nieco dalej zaczynał się las. Nad brzegiem stała malutka chatka z bierwion. Wszystko to jednak było dość daleko.

- Czy warto tam iść? - zważyłem w sens wyprawy. - Czyż ten brzeg jest zły?

- Ale tamten lepszy! - zaoponował Andriej, a Nina go poparła.

Przyłączyłem się tedy do większości i poszliśmy na wprost ku rzece. Most na niej w niczym nie przypominał tego, co zazwyczaj rozumiemy pod tym określeniem. Po prostu w dwu miejscach sterczały wbite w dno pale i z brzegu na brzeg były przerzucone trzy wiązania bierwion, po dwa bierwiona w każdym. I żadnych poręczy.

Andriej pierwszy wkroczył na ten most, za nim Nina, a ja zamykałem pochód. Szliśmy bardzo ostrożnie. Woda w dole była ciemna, głęboka. Burzyła się wokół pali i tu dopiero czuło się siłę prądu. Na lewo od mostu rzeka nagle się poszerzała tam już była toń.

Małe wiry cicho poruszały jej powierzchnię.

- Jak tu dobrze! - powiedziała Nina zatrzymując się i zaglądając w dół, w głębinę. Nagle straciła równowagę, krzyknęła z przerażenia i spadła w tę ciemną toń.

W tym momencie Andriej rzucił się za nią. Zapomniał odpiąć plecak, i wiedziałem, że może utonąć, bo przecież nie umiał pływać. Wtedy błyskawicznie zrzuciłem swój plecak, położyłem go na bierwionach, zdjąłem buty i prasnąłem je na brzeg, a potem dałem nurka w wodę. Kiedy się wynurzyłem, zobaczyłem Ninę, którą prąd odniósł już daleko. Płynęła do brzegu. Nie bałem się o nią, bo wiedziałem, że dobra z niej pływaczka. Ale Andrieja nigdzie

nie wypatrzyłem. Zacząłem więc nurkować i wreszcie znalazłem go pod wodą. Zerwawszy z niego plecak, wyciągnąłem przyjaciela na powierzchnię i popłynąłem holując go do brzegu. Niebawem dotknąłem stopami dna. Wyniosłem Andrieja na brzeg, ten sam, na który chcieliśmy się dostać, i tu przybiegła do mnie Nina.

- Co z nim?! Co z, nim?! - krzyczała. - To ja jestem winna!

- Nie ma w tym twojej winy - uspokoiłem ją. - Po prostu nie powinien był się rzucać do wody za tobą. "Nie znając brodu nie pchaj się w wodę", tak mówi stare przysłowie.

Przecież on nawet nie umie pływać! A ty zamiast tu płakać, lepiej mi pomóż!

Zdjęliśmy z Andrieja kurtkę i koszulę. Nie ruszał się i nie oddychał, ciało jego było blade i tylko na plecach fioletowiała nieduża blizna - ślad od pękniętej złotej rury z czasów, kiedy to eksperymentował w Wolnym Laboratorium.

Zaczęliśmy robić mu sztuczne oddychanie, ale wciąż pozostawał nieruchomy. Zrozumiałem, że sprawa jest poważna, i zdecydowałem wezwać lekarza. Nigdy nie zdejmowałem z nadgarstka Przyrządu Osobistego i teraz mi się bardzo przydał. Wdusiłem guziczek autokoordynatora i przycisk z czerwonym krzyżem i znakiem alarmowym, wzywającym natychmiastową pomoc lekarską.

- Nino, sam będę mu robił sztuczne oddychanie, a ty biegnij na tamtą polanę i machaj rękami albo lepiej bluzeczką. Wtedy lekarz z elektrolotu pędzej nas wypatrzy.

Spojrzałem na Osobisty Przyrząd. Obok przycisku alarmowego zaświeciła się zielona kropka znak, że wezwanie jest przyjęte. Ale nie przerywałem sztucznego oddychania, choć nic na razie z tego nie wynikało.

Nagle z lasu dobiegł mnie trzask chrustu, szelest rozgarnianych gałęzi - i na brzeg wybiegł człowiek. Wyglądał tak, jakby wyskoczył z kadru starego filmu. Rękawy koszuli miał podwinięte do łokci, w prawej ręce trzymał opuszczony lufą w dół starodawny pistolet pojedynkowy. Na nadgarstku lewej ręki połyskiwał Osobisty Przyrząd - co było najzupełniej rekwizytem nowoczesnym, ale na nadgarstku prawej widniało coś, co przypominało dawny ręczny zegarek. "Chory - pomyślałem. Stracił poczucie czasu biedaczek".

Człowiek tymczasem rzucił pistolet na piach i podbiegł do leżącego bez ruchu Andrieja, położył mu rękę z przyrządem, który wziąłem za zegarek, na czoło. Wtedy domyśliłem się że to nie zegarek, tylko po prostu ESKULAP *. To znaczy, że ten człowiek jest lekarzem.

Ledwie lekarz przyłożył przyrząd, zwany ESKULAP-em, do czoła Andrieja, a już na przyrządzie zaświeciła się cieniutka zielona kreseczka. Potem ESKULAP niegłośnie, lecz dobitnie przemówił:

“Siedemdziesiąt osiem jednostek chorobowych na krzywej rosnącej. Śmiertelne zejście zażegnane. Wewnątrz obrażeń nie ma. Stan według Mullera i Borszczenki - alfa siedem coma osiem. Robić sztuczne odychanie typu A-3. Robić sztuczne oddychanie. Zejście śmiertelne zażegnane.” - No, to już resztę sam wiem - powiedział lekarz ni to do nas, ni to do ESKULAP-a, ni to do siebie i zaczął robić Andriejowi sztuczne oddychanie według wszelkich medycznych zasad.

Wkrótce Andriej dał oznaki życia. Lekarz ponownie przyłożył mu do czoła ESKULAP. Zielona kreseczka na przyrządzie teraz już nie drgała, stała się grubsza. ESKULAP przemówił:

“Śmiertelne zejście zażegnane, Jedenaście chorobowych jednostek na krzywej opadającej. Dane według Stiepanowa i Brozlusa - beta jeden plus zet siedem. Zaleca się choremu pełny odpoczynek w ciągu czterech dób. Dieta zwyczajna.” * ESKULAP (Elektroniczne Szybkie Konsylium Uczące Leczyć Absolutnie Prawidłowo) - stary medyczny agregat, dziś zastąpiony bardziej dokładnym, działającym na dystans.

Andriej tymczasem całkiem odżył. Był tylko blady po tych przejściach.

- Niech jeszcze trochę poleży - powiedział lekarz. - Później zaprowadzicie go do tej chatki, musi się wyspać, a potem dobrze zjeść. Moja pomoc nie będzie potrzebna. Teraz czeka mnie bardziej niemiła praca. Idę zabić zająca. Właśnie złożyłem się do strzału, a tu nagle pańskie wezwanie...

- A za cóż to pana ukarano? - spytałem.

- Za co? Czyżby pan nie słyszał o tym strasznym zdarzeniu w newskim powiecie? Umarł tam człowiek w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat. Nie dożył nawet MIDŻ-u, zabrakło mu całych czternastu lat! A ja, lekarz-profilaktyk, odpowiadam za długość życia ludzi w tym powiecie. Sam na zebraniu lekarzy zażądałem dla siebie kary.

- Czemu pan wybrał tak niewygodne narzędzie zabójstwa? - spytałem. - Ze strzelby jest łatwiej trafić.

- Mam przyjaciela, dozorcę Muzeum Starodawnych Przedmiotów, to on mi dał ten pistolet i nauczył posługiwać się nim. Pistolet lżej się nosi.

Lekarz podniósł z ziemi swoją broń i poszedł w kierunku lasu, a my z Niną zostaliśmy przy Andrieju. Niebawem poczuł się na tyle dobrze, że mógł wstać i iść. Założyłem sobie plecak, wzięliśmy oboje z Niną mego przyjaciela pod rękę i brzegiem rzeki poprowadziliśmy go w stronę jeziora, gdzie wśród głazów widniała stara drewniana chatka o jednym oknie.

- Zaczekajcie chwilę! - zawołałem nagle i pobiegłem na miejsce wypadku, rozebrałem się, zanurkowałem i dość prędko znalazłem plecak Andrieja.

Niebawem dobrnęliśmy do chatki. Była bardzo stara. Wewnątrz znajdowały się piec, stół i taboret,” na podłodze grubą warstwą leżało siano. Przechowywano je tu dla zimowego dokarmiania łosi. Na strych prowadziła drabina. Tam też było siano.

- Zamawiam nocleg na strychu! - krzyknęła Nina. - Jak tu przytulnie!

- Myśleć o noclegu to jeszcze za wcześnie - zauważyłem słusznie. - Najpierw musimy obeschnąć i coś zjeść. Nino, idź za chatkę i tam się rozbieraj, a my się rozgościmy po tej stronie.

Wkrótce obaj z Andriejem spoczywaliśmy nadzy na piasku, a nasze ubrania suszyły się rozesełane obok. Leżałem na plecach i patrzyłem w niebo. Było jasnoblękitne i migotliwe, jak zawsze w bezchmurne, upalne letnie dni. Myślałem o tym, że to lekkie, nieważkie niebo, jakby stworzone z niczego, zawsze jest takie samo, a na trwałej materialnej ziemi wszystko się zmienia.

- Kiedy pobiegłeś wyciągnąć mój plecak z wody, Nina mi opowiedziała, jak wszystko się zdarzyło - przerwał moje rozmyślenia Andriej.

- Muszę koniecznie nauczyć się pływać. Wiedziałem, że Andriej jest mi wdzięczny, ale w naszych czasach wyrażanie wdzięczności słowami nie było przyjęte. Bo jeśli A dziękuje B za to, że postąpił jak należy, to tym samym A jak gdyby zakładał, że B mógł postąpić inaczej.

Zza chatki dobiegł śmiech Niny. Potem zawołała:

- Biegnie do was, porwał mi chusteczkę!

- Kto biegnie? - krzyknąłem. - Nikogo tu nie ma!

- Jeż! Podszedł i zabrał moją chusteczkę! Taki spryciarz!

Rzeczywiście zza węgła chatki wyszedł jeż. Do jego kolców przyczepiła się chusteczka.

Wziąłem ją, jeż zafurczał gniewnie, podreptał w miejscu i powędrował dalej.

Wreszcie odzież nam wyschła i we trójkę zasiedliśmy do posiłku. Plecak Andriej a przemókł, ale w nim na szczęście były tylko puszki konserw, i nic im się nie stało. Chleb i naczynia podróżne miałem w swoim plecaku. Leśne ptactwo latało i skakało wokół nas, zbierając okruchy, które mu rzucaliśmy.

9. DZIEWCZYNA NAD URWISKIEM

Nazajutrz obudziłem się dość późno, tak mi się dobrze spało na sianie. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem Andrieja siedzącego przy stole i coś piszącego. Wyczuł mój wzrok i obrócił się do mnie.

- Chyba się nie pogniewasz, że wziąłem z twego plecaka zeszyt i podarłem go na kartki? - spytał. - W swoim plecaku też miałem papier, ale przemókł.

- Pracuj, pracuj odrzekłem. - Tylko że w zeszytce miałem różne notatki do Antologii, nie wpadnij czasem na pomysł pisania nad nimi.

- Ach nie, skądże znowu! - rzekł Andriej. - Piszę po drugiej stronie.

Wstałem i podszedłem do niego. Cały stół był pokryty zapisanymi kartkami *.[* Te kartki do dziś są przechowywane w Muzeum Andrieja Swietoczewa. Na ich odwrocie rzeczywiście są notatki Matwieja Kowrygina.]

- Same cyfry, formuły, znaki i znaczki, i ani jednego ludzkiego słowa - powiedziałem. - Dawno wstałeś?

- O świcie - odrzekł Andriej. - Spałem bardzo mocno, ale potem coś mnie nagle tknęło. Obudziłem się i zasiadłem tu. - Dobrze się czujesz?

- Fizycznie nie bardzo. Czuję słabość i zmęczenie. Ale głowa mi pracuje dobrze. Wiesz, zdaje mi się, że zbliżam się do ważnego rozwiązania.

- Już wiele razy dochodziłeś do ważnego rozwiązania, a potem się okazywało, że to omyłka.

- Ale teraz nie. Zdaje się, że tym razem schwyciłem diabła za rogi. Zupełnie nieoczekiwane wyprowadzenie formuły. Sam nawet nie rozumiem, jak mogłem do tego dojść.

- Według mnie musisz się wyspać jak należy, odpocząć, a potem ze świeżą głową znów się zajmiesz tą sprawą - doradziłem ostrożnie.

- Tobie się wciąż zdaje, że zbzikowałem - zaśmiał się Andriej. - Jeśli nawet zbzikowałem, to ze znakiem plus. Wiesz, jeśli się weźmie sto elektronicznych maszyn liczących i przed zaprogramowaniem rozrzuci się ich schematy, to dziewięćdziesiąt dziewięć komputerów wpadnie w techniczny idiotyzm, a setny może wpaść w stan genialności i dać jakieś paradoksalne na pozór, ale prawidłowe rozwiązanie...

- Nie będę się z tobą spierać - odrzekłem łagodnie. - Czy Nina wciąż jeszcze śpi?

- Nie, jest nad jeziorem. Patrz, tam stoi. Wyrząłem z okna w prawo. Nina stała na niewysokim piaszczystym urwisku i patrzyła gdzieś hen, w dal ponad wodą. Wiatr ledwie muskał jej sukienkę. Z boku oświetlało ją poranne słońce i była bardzo dobrze widoczna.

- Dziewczyna nad urwiskiem - powiedział nagle Andriej - jak w pewnym wierszu...

- Co to za wiersz? - zaciekawilem się.

- Mówi o tym, jak stoi sobie dziewczyna nad urwiskiem i patrzy w dal. U jej stóp rozciąga się jezioro, kołyszą się wodne lilie, a za jeziorem jest las i poranne słońce nad nim. Dziewczyna stoi i patrzy w dal. A ktoś spogląda na nią i myśli: Oto dziewczyna stoi nad urwiskiem i patrzy w dal. Teraz będę ją pamiętał zawsze. Ona odejdzie w las, a mnie się wciąż będzie zdawało, że stoi nad urwiskiem. I kiedy się zestarzeję, przyjdę na ten brzeg i zobaczę: dziewczyna stoi nad urwiskiem i patrzy w dal...

- Ee, nie rozumiem, co jest ładnego w tym wierszu. Nie lubię takich sentymentów... Nawet w XX wieku lepiej pisano.

Andriej odburknął coś w odpowiedzi i utknął w swoich notatkach, a ja poszedłem nad jezioro. U brzegu rosły lilie wodne i grążele. Po chwiejnych drewnianych - pomostach dotarłem wprost do otwartej wody i długo się myłem. Potem zbliżyłem się do Niny. Wciąż jeszcze stała na niewysokim piaszczystym urwisku i patrzyła w dal ponad jeziorem.

- Dobrze spałaś, Nino? - spytałem.

- Bardzo dobrze! Z początku przeszkadzały mi nietoperze, wciąż wpadały przez okienko i wyfruwały bezszumnie. Teraz śpią tam głowami w dół, są takie zabawne. A ludzie kiedyś ich się bali...

- Nino, pamiętasz jeszcze o naszej Antologii? - upomniałem ją. - Musimy wracać do miasta.

- O nie, zostanę tu ze cztery dni - odpowiedziała spokojnie. - Andriejowi jest potrzebny spokój przez kilka dni. Będę mu przygotowywać posiłki.

- No, nie jest aż tak słaby, żeby mu trzeba było przygotowywać jedzenie - powiedziałem. - Chory człowiek nie wstanie o świcie i nie siądzie za stołem, żeby wyprowadzać jakieś nieskończone formuły. Kiedy człowiek jest naprawdę chory, to leży jak bedłka.

- Co? - spytała Nina. - Leży jak co?

- Leży jak bedłka - powtórzyłem. - To takie wyrażonko z XX wieku.

- Jednak zostanę - powiedziała Nina.

- No cóż, rób jak uważasz - odparłem. - Przecież żyjemy w XXII wieku i wiemy, że podważanie czyichś zdecydowanych przekonań to nieprzystojna rzecz. Jeśli widzący idzie wprost ku przepaści, to ten, kto go powstrzymuje, jest podobny do ślepeca.

- Ach, nie powtarzaj mi tu szkolnych morałów - zniecierpliwiła się Nina. - A do przepaści jak na razie wcale nie idę. - Zeskoczyła z urwiska na piasek przybrzeżny i zrzuciwszy pantofle weszła do wody i zaczęła zrywać lilie.

- Proszę, weź - zawołała rzucając mi kwiatek. - I nie rób takiej srogiej miny!

Wróciłem do chatki. Andriej wciąż ślęczał nad swymi formułami.

- Spójrz no - powiedział, kiedy zbliżyłem się do niego. - Oto on!

Pokazał mi jedną ze stronic, całą zapisaną i pokreśloną. U dołu w grubej obwódce zobaczyłem jakiś wzór, bardzo długi.

- No i co z tego? - spytałem.

- Znalazłem to, czego szukałem. Teraz trzeba tylko siebie kontrolować i kontrolować.

- Dobrze, kontroluj siebie, a ja muszę wracać do miasta. Nina tu zostanie.

- Nina przynosi mi szczęście - powiedział Andriej w zamyśleniu. - Nigdy nie wierzyłem w coś takiego, ale ona mi naprawdę przynosi szczęście.

Długo nie zwlekając wyjechałem. Doszedłem do granicy rezerwatu, wziąłem lekkolot i niebawem znalazłem się w Leningradzie.

10. SAPIENS POWIEDZIAŁ "TAK"

Kiedy wróciłem do miasta, tak zatopiłem się w pracy nad Antologią, że na jakiś czas zapomniałem o całym świecie. Brakowało mi, co prawda, Niny, jej pomoc bowiem była bardzo odczuwalna, mimo to jednak moja praca posuwała się naprzód. Całe dni spędzałem nad nią i tylko z rzadka porzucałem swoje biurko, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Któregoś razu pojechałem na Wyspy. Szedłem aleją i trafiłem na placyk, gdzie stoją pomniki zwycięzców nad rakiem, Iwanowa i Smity, oraz Ekipy Mars-1 i Antona Stiepanowa, jednego z większych poetów XXI wieku. Tu także wznosi się pomnik Nilsa Indeströma, autora Teorii Nieosiągalności. Wszyscy znacie ten pomnik: na czarnym cokole stoi gigant z czarnego metalu; jego wyciągnięta ręka jakby zastygła w rozkazującym geście, przygwożdżającym wszystko, co ziemskie, do Ziemi, a dokładniej - do Układu Słonecznego. W tych latach na cokole pomnika widniała tablica z brązu z wyrytymi na niej słowami Indeströma: "Droga do Dalekich Światów jest zamknięta na zawsze. Ciało jest słabsze od skrzydeł". U dołu była nakreślona formuła nieosiągalności - rezultat życia Nilsa Indeströma. Formułę tę znaleźliśmy wszyscy ze szkoły. Dowodziła, że jeśli nawet Człowiek znajdzie energię potrzebną do przeniknięcia poza granice Układu Słonecznego, nigdy mu się nie uda stworzyć takiego materiału, który by się nie deformował w czasie lotu. Mnie się nigdy ten pomnik nie podobał. W ogóle wydawało mi się dziwne to, że ludzie postawili go Uczonemu, który udowodnił coś negatywnego.

Przysiadłem na ławce i podzieliłem się swymi myślami z człowiekiem obok mnie. Sądząc po znaczku na klapie jego kurtki, był to student uczelni technicznej. Nie zgodził się ze mną i powiedział, że swoją Teorią Nieosiągalności Nils Indeström uratował wiele istnień ludzkich. I dodał, że pomnik ten winien stać wiecznie, nawet jeśli Prawo Nieosiągalności zostanie zaprzeczone.

- Prawo jest prawem dlatego, że jest niezaprzeczalne - zaoponowałem.

- Teraz jest niezaprzeczalne, ale już je zaczynają podważać - powiedział Student. - Cała prasa specjalistyczna aż się roi od artykułów o tym, że jesteśmy w przededniu rewolucji technicznej. Ludzkości jest potrzebny wszechtrwały, uniwersalny materiał. Za ciasna już jest jej metalowo-kamienno-drewniano-plastykowo-ceramiczna koszula. Trzeszczy w szwach.

- Nie wiem. Mnie ta koszula zupełnie zadowala - powiedziałem. - I gdzie się w naszym wieku znajdzie taki człowiek, który potrafi wynaleźć materiał, o jakim pan mówi?

- W tej dziedzinie pracuje już wielu uczonych - odrzekł Student. - W pewnej mierze Andriej Swietoczew. To prawda, że obrał bardzo trudną drogę.

- Czyż ma on jakiegokolwiek realne osiągnięcia? - przerwałem swemu rozmówcy.

W zwykłym tego słowa znaczeniu nie. Ale żeby...

- Żeby, a gdyby, toby w gębie rosły grzyby - odpowiedziałem starym przysłowiem, a mój rozmówca zamilkł, ponieważ, jak to się dawniej mówiło, "słomy na dach mu zabrakło".

Nie wiedziałem wtedy, że formuła Swietoczewa w krótkim czasie stanie się rzeczywistością techniczną.

Następnego rana, kiedy siedziałem nad swoją Antologią zapomnianych poetów XX wieku, zjawiała się u mnie Nina. Od razu zauważyłem, że wygląda jakby odświętnie i że bardzo wyładniała w ciągu tych kilkunastu dni.

- Jak widzę, klimat rezerwatu dobrze ci służył - powiedziałem, a ona, nie wiedząc czemu, zmieszała się.

- Zamiast czterech dni spędziłam tam aż dziesięć, bo Andriej był tak bardzo zajęty... - powiedziała jakby w poczuciu winy. Przygotowywałam mu jedzenie. Jeśli się mu nie da jeść, to sam na ten pomysł nie wpadnie... Ale bardzo się dźwignął w swojej pracy. Sprawdził formułę i okazało się...

- A jedzenia wam starczyło? - przerwałem jej. - Przecież do rezerwatu nie wolno wzywać transportu.

- Dwa razy chodziłam po nie do Stróża... To taki dobry człowiek. Jego żona wróciła z Australii i...

- Nino, nie interesuje mnie Australia, lecz Antologia - powiedziałem łagodnie. - I choć twoja pomoc jest tylko techniczna, to przecież udział twój jest bardzo pożądany. No ale mów jeszcze o Andrieju. Więc sprawdził tę swoją formułę i okazało się, że jak wszystko u niego, znowu jest omyłką? Czy tak?

- Na razie nic nie wiadomo. Andriej przekazał materiały do Akademii, a tam poddano je sprawdzeniu. Robi to SAPIENS *[* SAPIENS (Specjalistyczny Agregat Przeglądający Idealnie Efekty Naukowe Superbadacza) - stary agregat XXI wieku.] Ale obliczenia Andrieja są na tyle skomplikowane, że SAPIENS walczy z nimi już do bólu i nie może ani podważyć, ani też potwierdzić ich prawidłowości. A przecież zazwyczaj SAPIENS już w ciągu kilku minut wydaje decyzję, słuszne czy też niesłuszne są wywody badacza.

- Chociażem nie elektroniczny SAPIENS, tylko zwykły homo sapiens, mogę przewidzieć rezultat - zażartowałem. - Znow będzie pech!

Nina przemilczała moje słowa, udając że jest pogrążona w czytaniu wziętych z biurka materiałów do Antologii.

- Niezbyt mi się podoba twój wybór autorów - powiedziała nagle. - Zubożyłeś XX wiek. Był bardziej złożony, niż myślisz. Tak mi się wydaje.

- Zdziwiał mnie twoja uwaga! - odrzekłem. - Nie zapominaj, że wyboru dokonuję ja, ty zaś jesteś tylko moją pomocą techniczną.

Ta napaść Niny na moją pracę tak mnie zdenerwowała, że tego wieczoru długo nie mogłem zasnąć. Wreszcie udało mi się to dopiero o drugiej w nocy, a już o trzeciej obudził mnie sygnał myśli Andrieja.

- Co się stało? - spytałem. - Potrzebna ci pomoc? Zaraz idę.

- Pomocy nie trzeba - przekazywał myślogram Andrieja. - Pogratuluj mi. Trzy minuty temu SAPIENS potwierdził prawidłowość mojej formuły.

- Winszuję, jestem z ciebie dumny - odrzekłem. - To wszystko?

- Tak. Stop.

Cieszyłem się, że wreszcie się Andriejowi powiodło. Trochę mnie tylko dziwiło, że nie przekazał mi tej wiadomości w jakiś inny sposób. Przecież w naszych czasach do myślogramów uciekano się jedynie w wyjątkowych przypadkach. Dopiero dużo później zrozumiałem, jakie ogromne zmiany wniosło w nasz świat odkrycie Andrieja.

11. ANTROPO PRZEPOWIADA

Następnego dnia, kiedy siedziałem nad swoją Antologią, znów przyszła do mnie Nina. Już od progu obwieściła nowinę:

- Nie wyobrażasz sobie, co się dzieje u Andrieja w Akademii! Natychmiast przyleciał tam Szef Wszechświatowej Akademii Nauk i przybyła cała delegacja z Instytutu Kosmonautyki! Tworzą Andriejowi specjalny instytut i laboratorium, dają mu prawo zatrudnić dowolną liczbę pracowników...

- Już zdążyłaś tam być u niego? - spytałem.

- Tak - odrzekła. - A co? - A nic, nic, pytam tylko.

- Można pomyśleć, że nie jesteś rad z sukcesu swego kolegi! - powiedziała Nina.

- Bardzo się cieszę z jego sukcesu - odrzekłem. - Ale niepokoi mnie ta atmosfera sensacji wokół Andrieja. Zupełnie jakbyśmy wrócili do XX wieku.

- W naszym XXII też są możliwe wielkie odkrycia - zauważyła Nina.

Nie wdawałem się z nią w dyskusję, wiedząc że to jest bezcelowe. Natomiast przypomniałem jej, że zaczynają się wakacje, i zaproponowałem wspólny wyjazd na Hawaje.

- O nie, to lato spędzę w Leningradzie - odpowiedziała.

- Chcesz, dobrze, a nie, to drugie dobrze - odparowałem. - A teraz idę do Biura Wczasowego.

- Odprowadzę cię - powiedziała Nina. Widocznie chciała tym złagodzić stanowczość swojej odmowy.

Wyszliśmy na ulicę. Kiedy przechodziliśmy koło stacji metra, zwróciłem uwagę Niny na skromną, ale solidną miedzianą tablicę z napisem ANTROPO *.[* ANTROPO (Agregat Najwyższego Typu, Retro-spekcyjnie Obrazuje Przyszłość Odległą) - doskonały w swoim czasie agregat, dziś zastąpiony ANTROPO-sem 2.]

- Może poznamy swoją przyszłość - zaproponowałem. - Nigdy nie odwiedzałaś ANTROPO-sa?

- Nie, ale chodźmy tam, jeśli chcesz - zgodziła się.

Zjechaliśmy do metra, ale nie wsiedliśmy do pociągu, tylko poszliśmy na drugą stronę peronu, a potem w dół pochyłym korytarzem. ANTROPO mieścił się dużo niżej niż poziom tuneli metra. To był agregat tak dokładny i czuły, że mógł pracować tylko głęboko pod ziemią, gdzie nie ma drgań i zawsze panuje równa temperatura powietrza.

Długo szliśmy korytarzem, aż przed nami, bezgłośnie kryjąc się w ścianie, rozstały się drzwi i tak samo bezgłośnie zasunęły się za nami. "Zdejmijcie twarde obuwie, włóżcie

miękkie pantofle” - zajarzył się napis na ścianie, a potem podszedł do nas automat i podał bardzo mięciutkie paputki z syntetycznego puchu. Kiedy zmieniliśmy obuwie, cicho rozsunęły się przed nami drugie drzwi i weszliśmy do sali przyjęć. Zbliżył się do nas Asystent i podprowadził do stołu. Usiedliśmy w fotelach, a Asystent dał nam do przeczytania tablicę z przepisami. Były następujące:

1. Głównym przeznaczeniem ANTROPO-sa jest przestrzeganie Ludzi przed niepowodzeniami, nieszczęściami i katastrofami, aby mogli ich uniknąć.

2. Badany nie powinien oglądać obrazów swojej przyszłości na ekranie ANTROPO-sa.

3. Prawo do tego ma tylko Pośrednik, to jest Człowiek wybrany przez Badanego, któremu Badany w pełni ufa.

4. Pośrednik, zobaczywszy na ekranie przyszłość Badanego, musi powiedzieć Badanemu, czego się o jego przyszłości dowiedział, ale tylko to, co uważa za konieczne do oznajmienia i co nie przyczyni smutku Badanemu.

5. O długości życia i okolicznościach śmierci Badanego Pośrednik nie ma prawa mówić Badanemu, żeby go nie wtrącić w stan beznadziejności. Taktownymi napomknięciami i przyjaznym oddziaływaniem Pośrednik powinien pomagać Badanemu w unikaniu przyczyn nieszczęścia, jeśli takie zagraża.

6. Badany nie może być Pośrednikiem tego Człowieka, który był jego Pośrednikiem.

7. Osoby będące w bliskim stopniu pokrewieństwa nie mogą być dla siebie Pośrednikami.

8. ANTROPO jest agregatem nie w pełni jeszcze doskonałym. W 23 przypadkach na 100 daje chybione prognozy.

9. ANTROPO posługuje się międzynarodowym kodem językowym, którego podstawą jest łacina i język starogrecki. Dlatego czasami interpretuje w przybliżeniu. Pośrednik winien w myśli dobierać synonimy w swoim ojczystym języku.

10. ANTROPO nie odtwarza kolejno następujących po sobie obrazów życia Badanego, wybiera jedynie zasadnicze jego momenty.

- To znaczy, że zgodnie z tymi przepisami tylko jedno z nas może dziś poznać swój los - powiedziałem.

- Nie los, tylko wybrane obrazy przyszłości - poprawił mnie Asystent. - Los swój Człowiek buduje sam. ANTROPO daje niejako szereg kadrów filmowych z tej przyszłości.

- No cóż, Nino, skoro już “wrobiłem cię w to”, jak to się dawniej mówiło, to jestem gotów być twoim Pośrednikiem.

- A co muszę robić? - spytała Nina Asystenta.

- Proszę za mną - powiedział Asystent.

Otworzył drzwi i wprowadził Ninę do pokoju zastawionego jakimiś przyrządami. Na jednej ścianie widniał duży matowobiały ekran. Potem drzwi się za Niną zamknęły, a Asystent wrócił i usiadł obok mnie.

- Czy ona długo tam będzie? - zaciekałem się.

- Około pół godziny. ANTROPO zbada jej zdrowie, cechy dziedziczne, charakter, usłyszy jej głos, wypyta o przeszłość, słowem, dowie się o niej tysiąca rzeczy. Pozna nawet to, czego ona sama o sobie nie wie. Na motywach tej wiedzy o niej, drogą bardzo skomplikowanych rachunków i porównań, ANTROPO da prognozę przyszłości pańskiej znajomej. Ale tylko przybliżoną, proszę o tym pamiętać.

- A gdyby zlecić tę pracę nie jednemu, lecz, powiedzmy, czterem takim ANTROPO-som, czy dokładność prognozy byłaby większa? - zadałem pytanie Asystentowi.

- Pan oczywiście nie jest człowiekiem ukierunkowanym technicznie - uśmiechnął się Asystent - inaczej nie zadałby pan takiego pytania. ANTROPO to agregat agregatów. Składa się z 1200 samodzielnie pracujących agregatów elektronicznych. Nie są one jednakowe, ale wszystkie otrzymują jednakowe dane i wykorzystują je po swojemu. Każdy spośród 1200 agregatów tworzy własną koncepcję obrazów przyszłości. Kiedy już je mają, automatycznie podłączają się do maszyny dyskusyjnej, to znaczy do maszyny sporu. Milcząco zaczynają ze sobą dyskutować i każdy agregat, drogą 10 logicznych dowodów, przedkłada swój wariant przyszłości i w tymże czasie, gdy trwa proces sporu, wnosi do tego wariantu jakieś poprawki. Stopniowo niektóre agregaty, przytłoczone logiką innych, zaczynają wyłączać się z gry. Kiedy zostanie tylko 10 dyskutujących, w sprawę włącza się agregat-sędzia. Dopóki agregaty wiodły spór między sobą, sędzia jak gdyby tylko ich słuchał, nie wtrącając się w dysputę, ale wszystko “nawijał sobie na wąs”. Tak wypracowywał własny sąd. Od każdego zwyciężonego w dyskusji agregata brał część jego racji. Na podstawie tego, co już teraz wie, sędzia włącza się do dyskusji z pozostałymi dziesięcioma agregatami i przysądza zwycięstwo temu, którego zdanie uważa za najbardziej pokrywające się z własnym. Teraz pozostają dwa agregaty: zwycięzca w dyskusji i sędzia. Ich prognozy trafią do urządzenia pojednawczego, gdzie wypracowuje się prognoza podstawowa. Ta prognoza następnie jest skierowana do urządzenia przekształcającego, gdzie zostaje przetworzona w obraz i zapisana na wideotaśmie. Dźwiękowego językowego zapisu ANTROPO nie daje. Wideotaśma zostaje poddana

korekcie specjalnego agregata korygującego, zostają z niej skreślone wszystkie wizualne momenty o charakterze intymnym. Dopiero wtedy Pośrednik może podejść do ekranu. Widzi więc pan, że w zasadzie wszystko tu jest proste.

- Ładnie mi proste! - zawołałem. - Zupełna abrakadabra!

- Co? - zdziwił się Asystent. - Zupełna co?

- Abrakadabra - powtórzyłem. - Tym słowem określano dawniej niepojęte rzeczy i zjawiska... Wie pan, wciąż nie rozumiem, na jakiej podstawie agregaty tworzą swoje prognozy.

- Na podstawie wiedzy. Są naszpikowane milionami informacji. Znają najbardziej nieoczekiwane rzeczy: ile milimikronów wynosi ubytek podeszwy człowieka, ważącego tyle a tyle po przejściu kilometra drogi; jak wpłynie zbliżenie Marsa na dokładność przyrządów nawigacyjnych; ile meteorytów spadnie takiego to a takiego dnia do Oceanu Spokojnego; jaki wpływ na modę wywrze najbliższa olimpiada.

- Dziękuję - powiedziałem. - Jak dla mnie, dosyć. Po dziurki w nosie mam tych mądrości.

Wkrótce Nina wyszła z pokoju, w którym wszechwładnie królował ANTROPO.

- Teraz pan zobaczy na ekranie niektóre zdarzenia z przyszłości tej dziewczyny - powiedział do mnie Asystent. - Chodźmy.

Wprowadził mnie do pokoju, gdzie przedtem była Nina. Sam wyszedł. Drzwi za nim zasunęły się bezgłośnie. Siedziałem w fotelu w absolutnej ciszy. Na ścianie zajarzył się napis: "Proszę zachować milczenie. Jeśli będzie coś śmiesznego - proszę się nie śmiać. Jeśli będzie coś smutnego - proszę nie płakać. Klawiatura znajduje się na prawo od pana". Napis na ścianie zgasł.

W ciemności zarysował się błękitnawy prostokąt ekranu. Potem zielonkawym fosforyzującym światłem zamigotała klawiatura, była po mojej prawej ręce. Klawiszy było dużo. Na pierwszym widniał napis "W tym roku", na następnym - "W przyszłym roku", a potem: "Za dwa lata" - i tak do stu dziesięciu.

Nacisnąłem pierwszy klawisz - na ekranie ukazała się Nina. Stała ze mną na ulicy, o czymś rozmawialiśmy. Nina pochyliła głowę, coś powiedziała zdecydowanie i z przejęciem. Potem ujęła w dłonie moją głowę, pocałowała mnie w czoło i wtedy rozeszliśmy się każde w inną stronę. Ekran pokrył się mgłą, a po chwili znów zobaczyłem Ninę, ale już z Andriejem. Szli brzegiem morza, oboje mieli szczęśliwe twarze. Nacisnąłem niebieski guzik z napisem "Utrwalenie", i Nina z Andriejem zastygli jak na błyskawicznym zdjęciu.

- No tak, wszystko jasne - powiedziałem sobie w duchu. - Ale co zobaczymy za czterdzieści lat? Czy będzie z nim szczęśliwa?

Wdusiłem klawisz "Za czterdzieści lat". Nina i Andriej znikli z ekranu. Pojawiły się na nim teraz, napływając jedno na drugie, ciemne pasma.

Pewnie jakieś zakłócenie w ANTROPO-sie - pomyślałem i zacząłem naciskać klawisze w odwrotnej kolejności: "Za trzydzieści dziewięć lat", "Za trzydzieści osiem", "Za trzydzieści siedem"... Po ekranie jak przedtem płynęły ciemne pasma. Było w tym coś przygnębiającego, więc zacząłem znów naciskać na klawisze w odwrotnym kierunku, ale już nie po kolei, tylko co trzeci, co piąty. Kiedy wdusiłem klawisz "Za trzy lata" i zobaczyłem wciąż te same pasma, doszedłem do wniosku, że ANTROPO jest po prostu zepsuty.

Oto ta nasza wspaniała technika - pomyślałem. Niedaleko odbiegła Ludzkość od pradziadkowych telewizorów, które wiecznie się psuły i były ustawicznym tematem dla humorystów XX wieku. Zaraz idę do Asystenta i powiem, że ANTROPO-sa trzeba przemianować na PITECANTROPUS-a, wtedy wszystko będzie na swoim miejscu.

Już zamierzałem wyjść, ale w ostatnim momencie, dla czystości sumienia, nacisnąłem na Klawisz "Za rok" - i na ekranie ukazała się Nina. Stała w jakiejś dużej sali z Andriejem -cała pełna była niezwykłych maszyn i przyrządów. Ale po chwili wszystko znikło we mgle, a potem znów ujrzałem Ninę. Tym razem była sama. Oświetlona słońcem, wesoło uśmiechnięta, szła do niedużej przystani, gdzie na gładkiej wodzie, nie poruszanej najmniejszym wiatkiem, stały jaskrawo przyozdobione łodzie elektromotorowe. Minęła "Akwilona" i wskoczyła do "Eosa" - niedużej czerwonej elektromotorówki - i popłynęła na zatokę. Ekran pokrył się mgłą, pociemniał i oto znów zobaczyłem Ninę w łódce. Ale teraz łódka tańczyła na wzburzonych falach, a siwe bałwany gnały ją na skalisty brzeg. Obraz na ekranie zadrżał, zgasł i znów rozbłysnął. Zobaczyłem Ninę już na lądzie, na skalistej wysepce. Stała nad niewysokim urwiskiem i wpatrywała się w dal. Nagle nadsięgnęło coś ciemnego i zakryło ją. Po ekranie zaczęły się miotać jakieś czerwone i żółte nitki, potem popłynęły, nakładając się na siebie, ciemne pasma. Wcisnąłem guzik "Przełącznik niepamięci". Ekran zgasł, a w pokoju zapaliło się światło. Ale nie wyszedłem. Wdusiłem klawisz "Wezwanie Asystenta". Natychmiast się zjawił. Opowiedziałem mu wszystko, co widziałem.

- To bardzo poważne - rzekł. - ANTROPO przewidział nieszczęśliwy wypadek.

- Czy można go uniknąć? - spytałem.

- Po to właśnie ANTROPO istnieje, żeby zaglądać w przyszłość i ostrzegać człowieka sygnałem zagrożenia. W pozaprzyszłym roku wycofano z rejsów pewnego

Astronautę, któremu ANTROPO przepowiedział katastrofę. I Astronauta ten żyje do dziś. Ale tu przypadek jest bardziej złożony. Można wycofać Astronautę z rejsów, ale nie wolno człowiekowi zabronić przejażdżki łódką, zwłaszcza kiedy lubi morze. No a już wcale nie można go pozbawić chodzenia po ziemi, a przecież tu w tym przypadku nieszczęście jest przewidziane na lądzie.

- To znaczy, że nieszczęście jest nieuniknione?

- Ależ nie, można go uniknąć. W tym celu jednak należy przestawić całe życie badanej. Trzeba zmienić cały schemat zdarzeń, przyczyn i następstw. Wtedy życie tej dziewczyny będzie długie i szczęśliwe.

- Ale jak to zrobić?

- Proszę mi wybaczyć pytanie - cicho powiedział Asystent - pan kocha tę dziewczynę?

- Tak - odrzekłem.

- Wobec tego wszystko zależy od pana.

- Mów, proszę, co zobaczyłeś ciekawego? - dość lekceważącym tonem zwróciła się do mnie Nina, kiedy opuściliśmy pomieszczenie, w którym znajdował się ANTROPO.

- Nino, zagraża ci niebezpieczeństwo - powiedziałem. - Powinnaś zmienić schemat swego życia.

- I co w tym celu trzeba zrobić? - spytała.

- Musisz zapomnieć o Andrieju. Jest inny człowiek, który już dawno cię kocha i z którym możesz żyć długo i szczęśliwie.

- Ale ja kocham Andrieja - odpowiedziała Nina. - Nic na to nie poradzę... I proszę cię, nie mów Andriejowi o tej prognozie.

- Daję słowo, że będę milczał na ten temat - powiedziałem. - Ale niebezpieczeństwo zagraża właśnie tobie. I jeszcze ci powiem: nigdy nie wsiadaj do łodzi, na statek ani na żaden inny środek wodnej lokomocji, jeśli nazwa jego będzie brzmiała "Eos".

- Eos... Eos... jakie to ładne słowo! - powiedziała w zadumie. - Gdzieś je słyszałam, albo może czytałam... zdaje się, że w poezji.

- Niektórzy poeci lubią wymyślać bezsensowne, ale dźwięczne słówka. No, to pójde teraz zamówić sobie bilet na wakacyjną podróż. A może zamówić dwa?

- Nie, tu zostanę. Idź i weź dla siebie bilet. I nie gniewaj się na mnie. - Położyła mi dłoń na ramionach i pocałowała w czoło. - Idź. Życzą ci szczęścia.

12. ROZWÓJ WYDARZEŃ

Szedłem w zadumie po ludnym bulwarze. Było mi smutno. Miał rację Stary Człopijwin - od razu zorientował się, że Nina mnie nie kocha i nigdy nie pokocha. Popełniłem jakiś błąd, ale jaki? - nie wiedziałem. I tak szedłem po jasnej ulicy, pośród wesołych i szczęśliwych ludzi - niewesoły i niezbyt szczęśliwy.

To, co pokazał ANTROPO, zdziwiło mnie i zatrwożyło. Pierwsza połowa jego przepowiedni była bardzo zbliżona do prawdy. Ale czy się spełni druga część prognozy? Rozmyślając o tym przypominałem sobie, jak to kiedyś obaj z Andriejem byliśmy u OWIDIUSZ-a i jak ten agregat omyłkowo ocenił moje zdolności umysłowe wyraźnie zaniżając stopień. I w ogóle wszystkie te mechanizmy nie są jeszcze w pełni doskonałe. ANTROPO też się mylił raz na pięć przypadków. Dlatego druga część jego przepowiedni, bardziej oddalona w czasie, oczywiście jest nieprawdziwa. "Sen mara, Bóg wiara" - przypominałem sobie stare przysłowie i lżej mi się zrobiło na duszy. W dalekie kraje jednak lecieć już mi się nie chciało, postanowiłem więc spędzić urlop pracując i co najwyżej zmienić miejsce pobytu. Wiedząc, że w Nowosybirsku jest duża biblioteka, zasobna w stare księgozbiory, zdecydowałem się wyjechać na lato właśnie tam. Po drodze zatrzymam się trochę w Moskwie, muszę bowiem zasięgnąć informacji bibliograficznych w Centralnej Bibliotece im. Lenina.

Podjąwszy tę decyzję wróciłem do domu, wziąłem teczkę i udałem się na dworzec podziemny, żeby wsiąść do pneumopocisku. Taki rodzaj szybkiej lokomocji był podówczas jeszcze nowością, więc często korzystałem z niego.

- Czy są jeszcze wolne miejsca w pneumopocisku? - spytałem Dyżurnego.

- Jest jedno - odpowiedział. - Odjazd za cztery minuty. Proszę wejść do wspólnego skafandra.

Dyżurny otworzył hermetyczne drzwi i wpuścił mnie do długiego owalnego balonu z bardzo grubej świecącej gumy. Wewnątrz fotele były z takiego samego materiału. Siedzieli już na nich pasażerowie, ja byłem ostatnim, pięćdziesiątym.

- Skafander-amortyzator podziemno-balistycznego wagonu-pocisku ma komplet pasażerów! - oznajmił Dyżurny Przewodnik przez mikrofon. - Drzwi zahermetyzowane, czekamy na odprawę pojazdu. Ładujcie!

Nasz skafander zaczął się lekko toczyć. To oznaczało, że wstawiają go do pustego metalowego pocisku. Potem toczenie się wzmogło - to zalewano płynem amortyzującym przestrzeń między ścianami zewnętrznymi skafandra, a wewnętrznymi metalowego pocisku.

- Gotowe! - rozległ się głos z reproduktora.

- Odpalić! - rzucił rozkaz do mikrofonu Dyżurny Przewodnik.

Jak zwykle poczułem lekki wstrząs, potem trochę zabrakło mi tchu od wzrastającej szybkości. Miałem takie uczucie, jakbym się znajdował w błyskawicznej windzie, która mknie nie pionowo, lecz poziomo. Potem ciało ogarnęła przyjemna lekkość i niebawem już pływałem w powietrzu, trzymając się poręczy fotela jak wszyscy pasażerowie. Podziemny balistyczny wagon-pocisk mknął idealnie gładkim ruro-tunelem. Wkrótce szybkość zmalała, stan nieważkości minął i wagon-pocisk zatrzymał się. otworzyły się drzwi, wjechałem windą na ulicę Moskwy i udałem się do biblioteki. Przesiedziałem tam do wieczora w czytelni, robiąc potrzebne mi notatki, a na myśl wciąż mi powracała przepowiednia ANTROPO-sa. "Nie, to się nie może stać, to kolejna omyłka techniki" - odpędzałem zatrwożone myśli i na nowo z uporem przykładałem się do pracy, wiedząc że trud mój jest Ludzkości potrzebny.

Kiedy wyszedłem z biblioteki, już pociemniało. Z fosforyzujących jezdni płynęło równe, spokojne światło. Czas było pomyśleć o noclegu. Na szczęście za moich czasów nie było to już dla nikogo problemem, i to bez względu na to, czy ktoś przyjechał do znanego, czy też całkiem obcego miasta. Hotele wtedy jeszcze istniały, ale korzystano z nich głównie w miejscowościach uzdrowiskowych, w pozostałych natomiast dużych i małych miastach hotele były niepopularne. Każdy człowiek mógł po prostu wejść do czyjegokolwiek domu i wszędzie przyjmowano go z radością jak przyjaciela. Wypytywanie gościa, kim jest, skąd przybył i po co, uważano za niedelikatność. Gość oczywiście mógł opowiedzieć o sobie, jeśli chciał, a jeśli nie - nikt tego od niego nie żądał.

Podobał mi się taki jeden nieduży dom nad brzegiem rzeki Moskwy, więc wszedłem i wjechałem windą na dwudzieste piętro - lubię górne pietra, jest tam jaśniej. Na klatkę schodową wychodziły drzwi czterech mieszkań, więc przez chwilę namyślałem się, do którego wejść. Lubilem przeżywać takie momenty, kiedy człowiek nie wie, jacy ludzie go spotkają, kim są z zawodu, ale jest pewny, że kimkolwiek byliby - będzie gościem pożądanym. W dawnych czasach podobna sytuacja nazywała się loterią.

Jedne z czworga drzwi nie wchodziły w rachubę: wisiał na nich znak samotności. Otworzyłem więc drzwi przeciwległego mieszkania i przeszedłem przez korytarz do pokoju, skąd dobiegały głosy.

W pokoju zobaczyłem gromadkę ludzi siedzących przed wielkim telewizorem.

- Dzień dobry! - powiedziałem. - Chcę być waszym gościem.

- Jesteśmy panu radzi! - odezwało się kilka głosów. Spośród siedzących wstała młoda kobieta i podeszła do mnie.

- Dziś pełnię obowiązki gospodyni - rzekła.

- Proszę, pokażę panu wolny pokój i w ogóle nasze mieszkanie. Pewnie jest pan bardzo głodny?

- A jutro oprowadzimy pana po Moskwie! - powiedział ktoś z gromadki siedzących.

- Po Moskwie mnie oprowadzać nie trzeba, znam ją dobrze, jestem przecież leningradczykiem - odrzekłem i przedstawiłem się. Obecni też powiedzieli mi, jak się nazywają i kim są z zawodu.

Za moich czasów ludzie już nie sterczeli godzinami przed telewizorem, jak to bywało w XX wieku, sądząc ze starych książek i czasopism. Toteż zdziwiło mnie, że wszyscy tu oglądają jakiś zupełnie przeciętny film - a było ich jeszcze wiele i w naszych czasach. Spytałem więc, czym można wytłumaczyć ich zainteresowanie tym filmem.

- Jak to? Czyżby pan nie wiedział? - zdziwili się wszyscy. - To pan raczej powinien znać tą nowinę, przecież dopiero co przybył pan z Leningradu! Czekamy na komunikat nadzwyczajny.

- Na jaki nadzwyczajny komunikat? - teraz ja się z kolei zdziwiłem. - Czyż w naszym wieku mogą być komunikaty nadzwyczajne?

- To dotyczy odkrycia Andrieja Swietoczewa - wyjaśnili mi.

Na ekranie telewizora w tym czasie nic szczególnego się nie działo. Szedł zwykły film, który można było oglądać albo nie. Jakiś młody człowiek i dziewczyna to się kłócili, to godzili, to wybierali się wspólnie na Marsa, to się rozmyślali.

- A co się stało u sąsiadów państwa? - spytałem. - Czemu tam wisi znak samotności?

- Dotknęło ich wielkie nieszczęście. Mieszkał z nimi młody inżynier architekt. Miesiąc temu poleciał służbowo na Wenus i tam zginął. Obsunęła się jakaś budowla. Pan wie przecież, że nasze ziemskie materiały źle znoszą warunki na innych planetach...

- Nie miał nawet sześćdziesięciu lat rzekł cicho jeden z obecnych. - A ANTROPO przepowiedział mu pełny MIDŻ.

- Wszystkie te skomplikowane agregaty bardzo często się mylą - powiedziałem.

- Agregaty się mylą, budowle na Wenus się obsuwają, giną bez wieści statki kosmiczne, a wszystko to z powodu nieodpowiednich materiałów - rzekła gospodyni.

Niebawem film został przerwany, a na ekranie ukazał się spiker w otoczeniu aparatów przekąźnikowych. Spiker był podniecony.

- Uwaga, uwaga! - powiedział. - Komunikat nadzwyczajny! Pracują wszystkie naziemne i podziemne systemy masowego przekazu. Wszechświatowa Rada Naukowa oceniła wywody teoretyczne przedłożone przez Andrieja Swietoczewa, a także sprawdziła

prawidłowość obliczeń. Teoria Swietoczewa o możliwości wyprodukowania Wszechmateriału jest uznana za prawidłową i technicznie wykonalną. Andriejowi Swietoczewowi udziela się nieograniczonego pełnomocnictwa technicznego. Oddaję głos Andriejowi Swietoczewowi.

Na ekranie ukazał się Andriej. Był blady i w ogóle wyglądał raczej na wystraszonego niż radosnego. Głuchym, monotonnym głosem zaczął wyklądać istotę swego odkrycia. Często się zacinał, brakowało mu słów, czasem niektóre powtarzał bez potrzeby, jego kultura mówienia bardzo kulała. Przypomniało mi się, że w szkole z odpowiedzi ustnych z rosyjskiego miał zawsze niższe stopnie niż ja. Teraz jednak mówił zupełnie źle, na trójkę, jeśli nie na dwójkę nawet. Ale kiedy podchodził do stojącej nie opodal tablicy i zaczynał kreślić na niej jakieś wzory i tabele, głos jego brzmiał bardziej przekonująco i wyraźnie. Dziś tę wypowiedź Andrieja umięją na pamięć wszyscy uczniowie, ale w formie wygładzonej, bez tych licznych pauz, jąkania i powtórzeń. Na mnie wtedy, muszę się przyznać, nie wywarła ona wielkiego wrażenia. Andriej używał zbyt wielu naukowych i technicznych terminów, których nie mogłem zrozumieć. Istotą jego odkrycia, jak wszyscy już wiecie, polegała na tym, że udowodnił teoretycznie możliwość stworzenia Wszechmateriału z jednego podstawowego surowca - wody.

Ale oto Andriej zamilkł, ekran zgasł i w pokoju przez chwilę zapanowało milczenie. Potem wszyscy moi nowi znajomi bez porozumiewania się wstali na znak wielkiego szacunku dla odkrywcy. Musiałem wstać i ja, choć w głębi duszy uważałem za zbyt przesyadny sposób wyrażania uczuć.

- Zaczyna się nowa era techniczna - powiedział ktoś cicho.

Wyszliśmy na balkon. Z wysokości dwudziestego piętra widać było ginące za horyzontem światła Moskwy. Na prawo od nas widniały wieże Kremla oświetlone specjalnymi projektorami promieni słonecznych. Zdawało się, że nad Kremlem słońce wciąż w zenicie.

Kiedy się obudziłem następnego dnia w przydzielonym mi pokoju, od razu poczułem, że to już dziewiąta jedenaście. Mieszkanie było puste, wszyscy poszli do pracy. Umyłem się, zjadłem przygotowane dla mnie śniadanie i przejrzałem poranną gazetę, która prawie w całości była poświęcona Andriejowi i jego odkryciu. Potem wyszedłem na balkon. W dole nabrzeżem rzeki Moskwy płynął nieprzebrany ludzki potok - w jednym kierunku, na Plac Czerwony. Ten potok nie mieścił się wprost na chodnikach, spływał na jezdnię, utrudniając swobodny ruch elmobili i eltobusów.

Dziwne - pomyślałem. - Dziś przecież ani 1 Maja, ani 7 Listopada, ani Dzień Kosmonautyki... Czyżby całe to zamieszanie było tylko z powodu Andrieja?

Włączyłem telewizor. Ukazał się Leningrad. - Spontaniczny wiec na Placu Pałacowym - powiedział spiker i zobaczyłem na ekranie tłum ludzi. Wszyscy mieli uszczęśliwione twarze, jakby się wydarzył nie wiadomo jaki cud. Grupy studentów niosły plakaty wykonane dość prymitywne: "Najwyższy czas!", "Dależ nam Wszechmateriał!", "Chemicy się cieszą i fizycy też!", "Niech żyje Andriej!" oto co napisano na tych plakatach. Studenci byli wręcz niezdyscyplinowani - głośno śpiewali, trąbili, huczeli na wszelkie sposoby. Wyłączyłem Leningrad i przestawiłem na Irkuck, ale tam - zupełnie to samo. Na placu cisnął się tłum, pstrzyły nie plakaty. Na jednym r. nich widniało: "Metal, kamień, drewno, szkło" przekreślone grubą krechą, a u góry napisano: "Wszechmateriał". Potem włączyłem Londyn, Berlin - tam działo się to samo, tylko napisy były obcojęzyczne.

To wszechświatowe wariactwo nie powinno zakłócać mojej pracy - pomyślałem. - Każdy powinien wykonywać swoje dzieło.

Wkrótce wyszedłem z mieszkania i w ciągu dwudziestu minut byłem już na stacji powietrznej.

13. ATLAS - DZIEŁO WŁASNYCH RĄK

W tych czasach do Nowosybirsk można było lecieć extralotem, pospiesznym samolotem raketowym, sterowcem rejsowym i sterowcem sanatoryjnym. Ponieważ nie musiałem się spieszyć, wybrałem sterowiec sanatoryjny i wkrótce znalazłem się na jego pokładzie. Dyżurny Lekarz zaprowadził mnie do dwuosobowej kajuty i wskazał postanie. Potem przyłożył mi do czoła ESKULAP, który wskazał tylko trzy jednostki chorobowe na krzywej rosnącej.

- No, pan, kolego, dwa MIDŻ-y przeżyje na pewno! - uśmiechnął się Lekarz. - Jest pan trochę przemęczony, dlatego zapiszę panu pewną terapię. Ma pan jakieś specjalne życzenia?

- Jeśli można, prosiłbym, żeby moim współtowarzyszem podróży w kajucie był ktoś z humanistycznym wykształceniem - powiedziałem.

- W głowie mi huczy od tych wszystkich tematów technicznych.

Lekarz odszedł, a w kajucie niebawem pojawił się człowiek w średnim wieku. Miał ze sobą dość dużą walizkę, co mnie trochę zdziwiło, gdyż ludzie dawno już podróżowali bez ręcznych bagaży. Mój współlokator przedstawił mi się jako Walentin Jekatierynowicz Krasotuchin i oznajmił, że ma dwie specjalności: jest ichtiologiem i pisarzem. Muszę przyznać, że nazwisko to nic mi nie mówiło, choć znałem także literaturę współczesną, nie tylko XX wieku. Przedstawivszy się mu z kolei i powiedziawszy o swojej profesji, zapytałem, jakie utwory wydał.

- Widzi pan - odparł Walentin Jekatierynowicz - ja z wykształcenia i zawodu jestem ichtiologiem, a pisarzem z wewnętrznej potrzeby. Muszę wyznać, że patrzę rzeczywistości prosto w twarz i wiem, że talentu to ja nie mam, ale skonstruowałem własnoręcznie maszynę cybernetyczną i z jej pomocą, mam nadzieję, stworzę z czasem poetycko-prozatorską dramatyczną epopeję, która mnie rozsławi...

- Ależ proszę pana! - przerwałem swemu nowemu znajomemu - każdy to wie, przecież już w końcu XX wieku udowodniono, że żadna nawet najbardziej przemyślna maszyna nie może zastąpić procesu twórczego Artysty. Rzecz jest tak samo oczywista jak to, że nie można stworzyć perpetuum mobile.

- Ale ja sam skonstruowałem swój twórczy agregat - zaproponował Krasotuchin. - Wierzę, że mój ATLAS nie zawiedzie mnie! Proszę popatrzeć na niego...

To rzekłszy, Pisarz-Ichtiolog otworzył walizkę i wyciągnął z niej przyrząd z mnóstwem przycisków i klawiszy, i postawił go na stoliku.

- Oto on, mój ATLAS!

Zrobiło mi się smutno: i tu nie uciekłem od techniki... Ale nie chciałem robić przykrości memu współtowarzyszowi podróży.

- A dlaczego właśnie nazywa się ATLAS? - zaciekawilem się.

- ATLAS to Agregat Twórczy Literacko, Artystycznie Samodzielny - wyjaśnił mi Krasotuchin. - Co prawda, jeszcze nie jest w pełni sił twórczych, jeszcze wciąż się uczy. Codziennie czytam mu klasyków literatury pięknej i autorów współczesnych, uczę go gramatyki, czytam słowniki. Prócz tego zabieram go na lekcje ichtiologii, których słucha z uwagą. Czytam mu także zagadnienia z poetyki i historii sztuki. Za trzy lata będzie wiedział wszystko i potrafi pracować z pełnym twórczym zaangażowaniem. Już teraz wspólnie z nim tworzymy na poziomie początkującego literata średniej klasy.

- A czy mógłby pan zademonstrować swego ATLAS-a w działaniu? - spytałem.

- Z prawdziwą radością! - zawołał Krasotuchin. - Proszę zaproponować program twórczy.

- No, niech stworzy coś dla dzieci, może być o kotku, na przykład - powiedziałem wybierając łatwiejszy temat.

Krasotuchin nacisnął guziczek z napisem "Uwaga!". Zapaliło się zielone oczko, agregat głucho zawarczał. Wtedy Krasotuchin wduśił klawisz z napisem "Wiersze dla dzieci". Agregat zawarczał głośniej. Wysunął się z niego czarny głośnik.

- ATLAS-ku, przyjmij zadanie twórcze! Napisz wierszyk o kocie - powiedział błagalnie do głośnika Pisarz-Ichtiolog.

- Zadanie twórcze przyjęto - głucho rozległ się głos z wnętrza przyrządu i zaraz zajaśniała tablica z napisem: "Przekazywanie twórcze". Potem z wąskiego podłużnego otworu wypłynęła kartka papieru. Był na niej wydrukowany tekst:

KOTEK I DZIATKI

Witaj, witaj nam, Bazyli,

Jak się masz, nasz kotku!

Dziatki kozła pozdrowiły...

Zaszłochała płotka.

Kotek zaś im odpowiedział

Potrząsając brodą:

- Idźcie już do szkoły, dzieci!

Płacze sum pod wodą.

Napisał ATLAS

- No, no, całkiem nieźle - rzekłem pocieszająco. - W niektórych pisemkach dziecięcych XX wieku czytałem podobne rzeczy. Ale tu jest potrzebna poprawka. Pański ATLAS myli kota z kozłem. Do tego ni stąd, ni zowąd, ni w pięć, ni w dziewięć płotka i sum się zjawily.

- ATLAS jeszcze myli niektóre pojęcia - powiedział zmartwiony Pisarz-Ichtiolog. - Szlochająca płotka to oczywiście lapsus twórczy. Ale już w wierszu "Płacze sum pod wodą" jest coś dramatycznego, czuje się tu koncepcję filozoficzno-naturalistyczną. Na ogół jednak wiersze ATLAS-owi przychodzą trudniej niż proza. Zaraz się pan o tym przekona.

Tu Krasotuchin kazał ATLAS-owi stworzyć bajkę z lirycznym zakończeniem. W bajce muszą wystąpić: człowiek, las i zwierzęta. Niebawem agregat pozwolił nam się zapoznać ze swoim utworem.

LAS PEŁEN KRAS

Las szumiał posepnie (ponuro?, smutno?). Leśne zwierzęta w tym lesie były wszędzie. Tymczasem człowiek i człowieczyca (człowiejka?) szli rozmawiając (gadając?) ku rzeczce. W lesie spotkali się z lisem i lisicą, wilkiem i wilczycą, łosiem i łosicą, niedźwiedziem i niedźwiedzicą (niedźwiadka?). "Zjem ja was, człowieki!" - zawołał niedźwiedź. "Nie pozywaj się nami, Michale (Wiktorze? Grzegorz?), my chcemy sobie żyć spokojnie!..." - "Dobrze - odrzekł niedźwiedź - nie będę się wami stołował..." Radośnie, przyjaźnie, synchronicznie zaśpiewały hymn do wschodzącego świecidła (księżycy?, słońca?) siedzące na gałęziach śniegórki, bażanty, karpie, minogi, stynki i karasie. Las szumiał wesoło (z zadowoleniem?, upojeniem?).

Napisał ATLAS

- Bajka jest dość prymitywna - powiedziałem. - No i znów te ryby!

- Tak, mój ATLAS lubi wymieniać ryby - przyznał zmartwiony Krasotuchin. - Obawiam się, że nieco przeciążyłem go wiadomościami z ichtiologii. Czy nie zechciałby pan zlecić ATLAS-owi zadania twórczego z dziedziny dramaturgii?

- Proszę spojrzeć, jaki piękny krajobraz pod nami - powiedziałem, żeby odwrócić jego uwagę od ATLAS-a. - I widoczność jest wspaniała!

Nasz sterowiec-sanatorium dawno już oderwał się od ziemi i teraz płynął w powietrzu na wysokości ośmiuset metrów. Poprzez duży iluminator w ścianie kajuty można było

obserwować, jak powoli płynie pod nami jakieś nieduże miasto-ogród. Jego proste ulice, z domami pokrytymi błękitnym tworzywem, sprawiały wrażenie kanałów przekopanych wśród zieleni. I tylko czarne kule na cienutkich masztach - wzmacniacze stacji przekazywania myśli - mówiły o tym, że to jednak miasto, gdzie mieszka kilka tysięcy ludzi. Potem znów rozciągały się pola, wśród których tu i ówdzie pięły się w górę wieże zdalnego kierowania elektrotraktorami.

Wkrótce wezwano nas do kąpieli. Basen pływacki był pokryty kołpakiem z przezroczystej masy plastycznej. Nieco wyżej nad nim, omal go dotykając, przepływały raz po raz delikatne letnie obłoki. Dno basenu było także z przezroczystej błękitnawej masy plastycznej. Kąpiąc się widzieliśmy pod sobą łąki i lasy, rzeki i drogi z mknącymi po nich eltoбусami. Zdawało się, że pływamy nie w basenie, nie w wodzie, a po niebie, w bezkresnej przestrzeni owianej błękitną mgiełką. Że szybujemy w niej niczym ptaki, swobodnie i lekko, a lekkość tę podkreślała cisza, bo sterowiec leciał bezgłośnie jak we śnie. U jednego z brzegów basenu była wieża do skoków i za każdym razem, skacząc z niej do wody głową w dół, doznawałem niesamowitego uczucia, zdawało mi się, że lecę w przepaść, na której dnie rosą drzewa, zielenią się pola, ciągną się nitki dróg. Ale woda wynosiła mnie nie pozwalając spadać dalej w głąb.

Wieczorem po kolacji rozgadaliśmy się z Ichtiołogiem. To był całkiem niegłupi człowiek. Dopóki rzecz nie dotyczyła ATLAS-a, rozumował zdrowo i logicznie. Na przykład opowiadał mi o swoim projekcie wykorzystania starych wojennych okrętów, tych które jeszcze nie uległy przetopieniu, na sadz dla ryb. Wszystkie te liniowce i lotniskowce, bezużytecznie stojące w portach, zupełnie dobrze się nadają do tego celu. Potrzebne są tylko pewne drobne przeróbki. Kiedy ja z kolei zacząłem mówić na temat Antologii zapomnianych poetów XX wieku, Pisarz-Ichtiołog zgodził się ze mną, że to praca bardzo ważna, i poczynił kilka pożytecznych uwag, świadczących o jego odczytaniu i żywotności umysłu. A dowiedziawszy się, że pracuję nad STAW-em, mój nowy znajomy gorąco poparł to przedsięwzięcie i dodał, że pracuję dla potomności nad dziełem ważkim i potrzebnym, gdyż ludzi używających wulgarnych słów już prawie nie ma na Ziemi i ten rodzaj ludowej twórczości należy koniecznie utrwalić, ocalić od zapomnienia dla przyszłych pokoleń. Ale potem mój rozmówca znów dosiadł swego konika. Poprosił, bym nauczył ATLAS-a wyzwisk.

- Nie sprawi mi to żadnego trudu - odrzekłem - lecz czy byłoby to celowe?

- Dla przyszłej prozatorsko-poetyckiej dramatycznej epopei, którą stworzę wspólnie z ATLAS-em, potrzebne są również obelżywe słowa. Przecież epopeja obejmuje wszystkie wieki, a jak panu wiadomo, w minionych stuleciach obelg używano nierzadko. No i jak pan się przekonał, przeciążyłem trochę ATLAS-a wiedzą z dziedziny ichtiologii i dlatego pewna liczba wyzwisk zrównoważy poniekąd jego jednostronny słownik.

- Dobrze, zgadzam się dać pańskiemu ATLAS-owi lekcję wulgarnego słownictwa, ale proszę opuścić na ten czas kajutę. Nie wypada mi w obecności Człowieka wypowiadać ordynarnych słów.

Nocą minęliśmy Ural i lecieliśmy teraz nad Syberią. Przed wieczorem mknęliśmy już ponad lasami o przemysłowym znaczeniu - z przesiekami i punktami obróbki drewna. Ale potem coraz częściej przepływały pod nami odcinki prawdziwej tajgi - to były rezerwy, gdzie przetrwała ona w swoim pierwotnym stanie. Lecieliśmy na małej wysokości i czuliśmy zapach zieleń i igliwia.

Nastrój miałem świetny, o czym nie omieszkalem powiedzieć swemu towarzyszy podroży.

- Myślę, że nie zepsuję pańskiego humoru, jeśli poproszę, aby zlecił pan mojemu ATLAS-owi jakieś nowe zadanie - rzekł Pisarz-Ichtiolog. - Jutro się rozstaniemy, a chciałbym, żeby pozostało panu przyjemne wspomnienie o moim dziecięciu. Wczoraj ATLAS pracował tak jakoś nie w pełni twórczej mocy. Pragnąłbym zrehabilitować go w pańskich oczach.

Pomyślałem, że znów mieć do czynienia z ATLAS-em to najlepszy sposób zepsucia sobie humoru. Ale potem przypomniałem sobie, jak jeszcze w czwartej klasie na lekcji moralności uczono nas: "Nigdy nie zasmucaj Człowieka, jeśli tego nie wymaga szczególna sytuacja. Słabości dobrych Ludzi nie czynią ich złymi." Pokrzepiwszy tedy serce tą maksymą, zgodziłem się na jeszcze jedną próbę ATLAS-a.

- Daję mu niekiedy wąskospecjalistyczne zadanie - powiedział Pisarz-Ichtiolog ucieszony moją zgodą. - Na przykład: dobrać rymy do słowa okoń lub ułożyć opowiadanie, w którym wszystkie wyrazy zaczynają się na tę samą literę. Tak łatwiej jest prześledzić wzrost zasobu słów ATLAS-a. Może chciałby pan dać mu takie specjalistyczne polecenie?

- Niech napisze opowiadanie liryczno-melancholijne o słońcu i niech wszystkie wyrazy zaczynają się na literę "s" lub "ś" - zaproponowałem.

Mój towarzysz natychmiast zaprogramował ATLAS-a, a ten zawarczał i zamigotał swoimi źrenicami.

- No, przyjacielu ATLAS-ie, nie zawieź mnie tym razem - łagodnie rzekł Krasotuchin do głośnika. - Napisz coś od serca, ciepło, lirycznie.

Niebawem ATLAS wypełnił zadanie. Kartkę tę, jak i dwie poprzednie, przechowuję do dziś w moim archiwum.

SŁONECZNA SIELANKA

Światłozorze słoneczko skrzyło się świetliście, sypało snopami światła, śpiewały słodko-głose słowiki, śmigaly śmiałe skowronki. Sad stał samokwietny, śliwy soczyste, spękane spadały samoistnie, sok ściekał słodkimi strugami syropu. Sympatyczne siostry skumbrie śmiały się synchronicznie srebrzystym śmiechem. Siwowąsy staruszek sum skandował śpiewnie smętne strofy sonetu.

Słońce spęczniałe spiekotą słaniało się sennie, sposobiąc się spać. Spłynął spokój spokojny, swojski, sielski.

- Stuł się, stary śmierdzielu! Ślamazaro sromotna! Sabotażystol - skrzeknęła swarliwie skandującemu sumowi świeżo solona sielawa smutno siedząc wśród stynek, sandaczy i śledzi.

- Samaś ślamazara! Ścierwo solone! Symulantka! Świńskie słowa słyszę! - splunąwszy siarczyście syknęła sąsiadce spłoszona sardynka śpiąca smacznie wśród splątanych sieci.

- Sekutnice stokrotne! Suki skubane! Świnie smalone! Ściery! Skandalistki! Spekulantki! - spontanicznie sypnęła strasznymi słowami stateczna stara skumbria słysząc spór sąsiadek.

Słońce siadło, skapcaniało, spopielalo. Ściemniał świat.

Śmiertelny sen spowił śniętą sieję.

Napisał ATLAS

- I znów te ryby! - zmartwionym głosem powiedział Pisarz-Ichtiolog. - Do tego mnóstwo jakichś niezrozumiałych wyrazów...

- Ależ to ożyły dawno już obumarłe słowa! To słowa z mojego STAW-u - wyjaśniłem. - Pański ATLAS zadziwiająco dobrze je przyswoił i wprowadził w tekst w nieproporcjonalnie dużej ilości.

- Czyżby dawniej ludzie używali aż tylu niepotrzebnych słów? - spytał mój znajomy.

- Nie były pustymi dźwiękami - odrzekłem. - Pod niektórymi z nich kryły się całkiem konkretne ujemne zjawiska społeczne.

- A co to znaczy “symulantka”, “spekulantka”?

- To długo wyjaśniać by trzeba. Kiedy wyjdzie mój Słownik tematyczny archaicznych wyrazów, będzie pan mógł się zapoznać ze znaczeniem tych wszystkich słów.

- Nie zechciałby pan jeszcze raz wypróbować mego ATLAS-a? - z nadzieją w głosie spytał Ichtiolog.

Na szczęście w tym momencie do kajuty zapukał Dyżurny Lekarz i zaprosił nas do salonu na telewizję, żebyśmy mogli zobaczyć i usłyszeć Andrieja Swietoczewa. Wybrawszy z dwojga złego mniejsze, pospieszyłem na to wezwanie.

W salonie przed wielkim telewizorem zebrali się wszyscy pasażerowie-pacjenci sterowca-sanatorium. Wkrótce na ekranie pokazał się Andriej. Jego wystąpienie wydało mi się bezbarwne i mdłe. Powiedział, iż występuje dziś tylko dlatego, że napływa do niego bardzo dużo listów z pytaniami. Nic nowego jednak na razie powiedzieć nie może. Podał jedzą tylko konkretną wiadomość: pod budowę Głównego Laboratorium, które zajmie się Wszechmateriałem, wydzielono pustynną wysepkę na Morzu Bałtyckim, odległą o pięćdziesiąt kilometrów od Leningradu. Wysepka będzie poszerzona przez wybranie dennego piasku morskiego. Do robót przystępuje się już jutro.

Mało znaczący komunikat, w dodatku wypowiedziany głosem zmęczonym, bez wyrazu, zdawał się nie wróżyć powodzenia memu przyjacielowi. Telewidzowie jednakże, jak zdążyłem zauważyć, byli usatysfakcjonowani i tą skąpą informacją.

14. KONFERENCJA PRASOWA. SPOTKANIE Z NADIA

Mijał trzeci tydzień mego pobytu w Nowosybirsku. Całymi dniami przesiadywałem w bibliotece zbierając materiały do swojej Antologii, i praca zbliżała się już ku końcowi. Pewnego rano do czytelnicy wszedł Starszy Bibliotekarz i zaprosił nas do sali telewizyjnej, oznajmiając że wystąpi Andriej Swietoczew. Zabrałem się tedy razem ze wszystkimi na telewizję.

Na ekranie pojawił się Andriej. Siedział w niedużej sali za stołem, na którym pełno było aparatów transmitujących. Wszystkie fotele i wszystkie przejścia w sali były wypełnione po brzegi - w większości korespondentami prasowymi. Odbywało się coś w rodzaju konferencji prasowej. Pytania padały spontanicznie, nie uporządkowane. Podaję wszystkie w takiej wersji i kolejności, w jakiej utrwalił je mój magnetofon kieszonkowy.

Andriej: Jestem gotów odpowiadać na pytania.

I Korespondent: Kiedy idea stworzenia Wszechmateriału będzie urzeczywistniona w praktyce?

Andriej: Na to trzeba około roku.

II Korespondent: Czy można pokrótce scharakteryzować pański Wszechmateriał jako pewnego rodzaju masę plastyczną posiadającą uniwersalne właściwości?

Andriej: Można, jeśli się tak panu podoba.

III Korespondent: W niektórych gazetach piszą, że zastosowanie Wszechmateriału może wywołać stan "sytego bezrobocia". Przecież wiele zawodów będzie bezużytecznych.

Andriej: (grzebiąc w jakichś papierach) Nie jestem kompetentny, żeby odpowiedzieć na to pytanie. Ale ekonomiści: Siergiejew, Tropinius i Maorti twierdzą, że żadnego "sytego bezrobocia" nie będzie... Pracy wystarczy dla wszystkich, ale wielu będzie musiało się przekwalifikować.

IV Korespondent: Jak to wszystko wpłynie na długość dnia roboczego?

Andriej: (znów grzebiąc w papierach) Mam tu obliczenia. Wykonane nie przeze mnie, lecz przez ekonomistów. Za trzy lata, po całkowitym przejściu na produkcję z akwalidu, średnio roboczy dzień na Planecie skróci się do dwu godzin i osiemnastu minut.

V Korespondent: Co to jest akwalid?

Andriej: Tak nazwałem Wszechmateriał.

VI Korespondent: Jaki jest pana stosunek do Nilsa Indeströma?

Andriej: Szanuję go.

VI Korespondent: Jednak pańskie odkrycie, jeśli zostanie wykorzystane w praktyce, obala Teorię Nieosiągalności Nilsa Indeströma.

Andriej: Tak.

VII Korespondent: Zatem będzie stworzony materiał, który pozwoli budować statki kosmiczne mogące odbywać loty poza granice Układu Słonecznego?

Andriej: Tak. Ale to już sprawa Kosmonautyki. Mnie bardziej interesuje ziemne i podwodne budownictwo.

VIII Korespondent: Jak mamy rozumieć budownictwo "podwodne"?

Andriej: Akwalid stworzy możliwość budowania urządzeń z wody pod wodą.

IX Korespondent: W następstwie pańskiego odkrycia Ludzkość otrzyma nową "przestrzeń życiową" pod oceanem i będzie mogła spokojnie się rozwijać? Czy tak to należy rozumieć?

Andriej: Tak. Na dnie oceanów będzie się kłaść tunele, budować przedsiębiorstwa i wznosić miasta.

(Długa przerwa. Potem wszyscy wstają, oklaski i okrzyki zachwytu.)

Po przerwie:

X Korespondent: Dlaczego pańskie Laboratorium Badawcze buduje się na wyspie? Czemu nie na rodzimym gruncie? W Leningradzie?

Andriej: Sam o to prosiłem. Tak jest bezpieczniej.

X Korespondent: Dla kogo bezpieczniej?

Andriej: Dla miasta. Przy wprowadzaniu w czyn mego projektu, w pewnej z faz wytwarzania akwalidu istnieje niebezpieczeństwo wybuchu. Teoretycznie - obliczenia są dobre, prawidłowe, ale jeśli chodzi o technologię, podejmuję pewne ryzyko.

X Korespondent: Jeśli nastąpi wybuch, to będzie oznaczało, że pan szedł błędną drogą i stworzenie uniwersalnego materiału stanie się nieosiągalnym marzeniem Ludzkości. Czy tak to można rozumieć?

Andriej: Nie, nie tak. Powtarzam: teoretyczne obliczenia są dokładne. Jeżeli nastąpi wybuch, to ktoś inny, kto podaży za mną, znajdzie bardziej dokładny schemat technologii.

XI Korespondent; A jak się nazywa pańska wyspa?

Andriej: Na razie jest to bezimienna wysepka. Ale zaproponowałem nazwać ją Wyspą Matwieja na cześć mego przyjaciela.

XII Korespondent: Pański przyjaciel jest fizykiem, matematykiem czy chemikiem?

Andriej: Nie. Jest literaturoznawcą.

XIII Korespondent: Co pana naprowadziło na myśl poszukiwania nowego materiału?

Andriej: Zawsze mi się wydawało dziwne, że maszyny, okręty, domy, przedmioty codziennego użytku są zrobione z różnych materiałów. Już w dzieciństwie wydawało mi się to niedorzeczne, nieracjonalne.

XIV Korespondent: Co można będzie produkować z akwalidu?

Andriej: Nie można będzie z niego produkować środków żywności, paliwa i nawozów sztucznych. Wszystko pozostałe tak.

XV Korespondent: Zatem można będzie produkować z akwalidu wszystkie potrzebne Ludzkości maszyny, urządzenia i przedmioty?

Andriej: Tak, wszystkie, prócz trumien i zapalek.

XVI Korespondent: (ze znaczkami pisma humorystycznego) Przecież zapalek już dawno się nie produkuje!

Andriej: Zażartowałem.

XVII Korespondent: Jak przebiegają prace na Wyspie... Matwieja?

Andriej: Zaraz państwo to zobaczą.

Andriej znikł z ekranu. Ujrzeliśmy teraz morze, zupełnie jakbyśmy lecieli nad nim. Oto w dali ukazała się wysepka. Przybliżyła się. Widać było drewniane tymczasowe pomosty przystani i mnóstwo niewielkich stateczków. Oblatujemy całą wyspę dokoła. Jest nieduża i pustynna. W dali, bliżej morza, widać pompy ziemne namywające piasek. Na wyspie jeszcze nie ma zabudowań, tylko długie baraki ze sztucznego tworzywa. Aż kipi tu od ludzi. Jedni zwykłymi łopatami robią jakieś wykopy, drudzy wyrównują linię brzegu, trzeci, czwarcy i następni także są zajęci ziemnymi pracami. Słychać gwar, szum, rozlegają się pieśni w różnych językach świata. Robotnicy to głównie młodzież wszelkiej narodowości i koloru skóry. Tu i ówdzie widać także starszych.

Po chwili wyspa znikła i na ekranie znów pokazał się Andriej. Korespondenci zaczęli zadawać mu pytania.

XVIII Korespondent: Dziwi mnie, że na wyspie używa się tak prymitywnych narzędzi pracy. Można pomyśleć, żeśmy się cofnęli do pierwszej połowy XX wieku. Z jakiego muzeum powyciągał pan te wszystkie łopaty, kilofy i łomy?

Andriej: Znikąd ich nie wyciągałem. Młodzi sami zamówili je sobie według starych rysunków technicznych w którymś z leningradzkich zakładów i przywieźli na wyspę.

XVIII Korespondent: Kim są ci młodzi? Andriej: To ochotnicy. Sami tu przyjechali ze wszystkich stron świata.

XIX Korespondent: Ale przecież dysponuje pan współczesną techniką robót ziemnych na wyspie. No przecież tak?

Andriej: Tak. Ale oni nie pozwalają jej uruchomić. Odrzucili ją. Pragną pracować własnymi rękami.

XX Korespondent: Na wyspie są Lekarze z Ochrony Pracy. A słowa Lekarza są święte.

Andriej: Tak. Tylko że oni nie słuchają Lekarzy. A poza tym ochotników jest tak dużo, że pracują najwyżej godzinę, tak więc zdrowiu ich nic nie zagraża.

XXI Korespondent: Czy zdarzają się na wyspie urazy jako rezultat stosowania niedoskonałych narzędzi pracy?

Andriej: Poważnych urazów nie ma. Ale zdarzają się draśnięcia, odciski. Wczoraj pewien Chilijczyk skaleczył łopata palec u nogi.

XXI Korespondent: Mam nadzieję, że go natychmiast ewakuowano do szpitala na kontynent?

Andriej: Natychmiast to nie. Za zaszczytne skaleczenie się koledzy pozwolili mu popracować jeszcze jedną godzinę poza kolejką.

XXI Korespondent: Pozwalając ludziom pracować prymitywnymi narzędziami, skracacie ich MIDŹ. Co pan o tym sądzi?

Andriej: Roboty ziemne wkrótce się skończą i wtedy do dzieła wezmą się specjaliści.

XXII Korespondent: Proszę spróbować w krótki i przystępny sposób wyłożyć istotę swego odkrycia.

Tu Andriej zaczął wyjaśniać sens swego odkrycia, ale mówił tak niewyraźnie i niepociągająco, że nic nie zrozumiałem i odszedłem od ekranu, nie wysłuchawszy swego przyjaciela do końca. Nie taję jednak, że byłem poruszony pamięcią Andrieja o mnie. Było mi przyjemnie, że nazwał wyspę moim imieniem.

Tego dnia postanowiłem pojechać do tutejszego Urzędu Poczтового. Interesowały mnie znaczki. Na ulicy zatrzymałem eltaxi i raz-dwa znalazłem się na miejscu. Pierwsze, co mi się rzuciło w oczy po wejściu na pocztę, to nie kończąca się liczba stoisk z gablotami, na których wystawiono znaczki. Decyzja Wszechświatowej Rady Pocztovej, pozwalająca każdemu człowiekowi drukować swoje znaczki, już weszła w życie. Ogromna rzesza filatelistów zdążyła wydać własne znaczki pocztowe i teraz przedstawiała je do wyboru wszystkim zainteresowanym. Znaczki były najróżniejsze w kolorze i tematyce. Bardzo dużo było wizerunków kobiet - to filateliści uwieczniali swe oblubienice. Chociaż poczta była bezpłatna, jednak zgodnie z tradycją na każdym znaczku widniała cena. Cenę drukowano, jaką kto chciał: od kopiejki do stu milionów rubli. Wybrałem kilka znaczków dla siebie i

kilka dla Andrieja i niezwłocznie wysłałem je do niego, zaopatrzywszy w krótki przyjacielski list.

Potem poszedłem do Biura Spełniania Życzeń, mieszczącego się przy Urzędzie Pocztowym, żeby zamówić własny znaczek. Już nawet zdecydowałem, jaki ten znaczek będzie. Postanowiłem umieścić na nim siebie trzymającego rękopis STAWT-u. Kierując się ku drzwiom Biura, usłyszałem nagle swoje imię, wypowiedziane miłym kobiecym głosem. Obejrzałem się i zobaczyłem - kogo? jak myślisz, mój drogi Czytelniku? - zobaczyłem Nadie, tę dziewczynę, którą poznałem na leningradzkiej poczcie w całkiem niezwykłych okolicznościach.

- Co pani tu robi? - zdziwiłem się. - Przeniosła się pani do Urzędu Pocztowego w Nowosybirsku? Czyżby na panią tak podziałało owe straszne zdarzenie na poczcie w Lenigradzie?

- Nic tu nie robię. Po prostu weszłam, żeby popatrzeć, jak tu pracują - z uśmiechem odrzekła Nadia. I wyjaśniła, że spędza w Nowosybirsku urlop, ponieważ tu mieszka jej brat.

Ja z kolei powiedziałem Nadi, że przyjechałem do Nowosybirska, żeby skorzystać z tutejszej biblioteki.

- A jak idzie praca nad napełnianiem STAW-u? - spytała Nadia.

Przyznaję, bardzo mi pochwaliło to, że pamiętała o mojej pracy, że się nią interesuje, więc powiedziałem, że STAW na razie nie napełnia się, gdyż na Syberii wcale już nie ma ludzi umiejących przeklinać i że obecnie jestem zajęty Antologią zapomnianych poetów XX wieku.

- Na pocztę zajął pan pewnie jako filatelista? - zaciekała się Nadia.

- I jako nadawca listu. Właśnie wysłałem go dopiero co do Andrieja Swietoczewa, człowieka, któremu zawdzięczam znajomość z panią.

- Czyżby to był Swietoczew? - krzyknęła Nadia. - No, tego bym nigdy nie przypuszczała! Nawet się mu wtedy nie przyjrzałam, ani nie zainteresowałam, kim jest ten, kto mnie obraził. Jak będzie pan pisał do niego, proszę mu życzyć powodzenia i powiedzieć ode mnie, że ani trochę się na niego nie gniewam...

- Już został ukarany za swój postępek - rzekłem. - Musiał zabić zająca.

- Ukarano go polowaniem? - zasmuciła się Nadia. - Jakie to przykre...

- Proszę się nie martwić - powiedziałem miękko. - Obraził panią, wysłano go za karę na polowanie, ale dzięki temu zbiegowi okoliczności spotkał dziewczynę, którą pokochał i która pokochała jego.

- A czemu pan się z tego nie cieszy? - spytała Nadia. - W pańskim głosie usłyszałam smutek...

- Jestem rad z jego szczęścia i rad z jej szczęścia - odparłem - ale ze swego nie jestem rad.

Nadia nic nie powiedziała, nie pocieszała mnie - i to mi się bardzo podobało. Milcząc wyszliśmy z Urzędu Pocztowego i bez słowa powędrowaliśmy ulicą.

- Czy pani ma daleko? - spytałem po jakimś czasie. Odprowadzę panią pieszo, chodźmy.

- Świetnie - odrzekła Nadia. - Bardzo lubię chodzić pieszo. Chciałabym być listonoszką wiejską, jak w pewnej powieści historycznej, którą przeczytałam. Ta listonoszka nie lubiła jeździć motocyklem i chodziła od wsi do wsi na piechotę. Chciałabym jak ona wędrować w łąpach z wioski do wioski, po starym asfalcie, pukać kijem w płoty i oddawać ludziom listy i telegramy.

- Tylko nie w płoty, a we wrota - poprawilem.

- Pan pewnie bardzo dobrze zna historię - z szacunkiem powiedziała Nadia. - Jak to miło rozmawiać z wysoko wykształconym Humanistą!

Nie ukrywam, przyjemnie mi było słyszeć te słowa z ust sympatycznej dziewczyny, która знаła mnie wprawdzie tak krótko, a już potrafiła ocenić moją wartość. "Czy choć raz tak sprawiedliwie powiedziała o mnie Nina?" przemknęła mi myśl. Skromnie jednak wyznałem Nadi, że choć zęby zjadłem, jak to się mówi, na historii XX wieku, to i tak jeszcze nie poznałem wszystkiego, co poznać trzeba. Na przykład mój lingwistyczny bagaż wiele jeszcze pozostawia do życzenia. Co prawda prócz ojczystego języka znam angielski, niemiecki i języki romańskie, a także grupę języków słowiańskich i łacinę, jednak starogreckiego, niestety, nie znam.

- Ależ i tak umie pan bardzo dużo - łagodnie zaprzeczyła Nadia. - Ja to prócz angielskiego i francuskiego żadnych innych języków nie znam... Jeszcze tylko rozumiem kod międzynarodowy.

- No, to nie jest przecież język - powiedziałem. - Wiele wody upłynie, nim kod międzynarodowy stanie się rzeczywiście językiem. Na razie składa się prawie wyłącznie z terminów technicznych.

- Gdzie się pan zatrzymał? - zainteresowała się Nadia.

- Ponieważ przyleciałem tu na dłużej, zatrzymałem się w hotelu.

- Proszę się przenieść do nas - zaproponowała Nadia. - Nikt panu nie zakłóci spokoju, i ja też nie. Mieszkanie mamy teraz prawie puste, wszyscy się rozjechali na lato. Brat mój też nie będzie panu przeszkadzać, jest cichy.

- A kim jest pani brat?

- Pamiętnikiem - odrzekła Nadia.

- Jak to "pamiętnikiem"? zdumiałem się. - Pewnie trzeba to rozumieć jako przenośnię? Brat pani był wielkim Uczonym, potem umarł, pozostawiając po sobie pamiętnik? Czy tak? Ale czemu wobec tego nie słyszę w pani głosie żalu po nieboszczyku? Przy pani pociągającej powierzchowności taka bezuczuciowość nie przynosi chluby.

- Ależ mój brat jest żywy, żywiuteńki - zaśmiała się Nadia. - Z zawodu jest pamiętnikiem. Rozwiązuje problem wzmacniania pamięci.

- Człowiek do śmierci się uczy... - powiedziałem. - I cóż, robi jakieś postępy pani brat Pamiętnik na tej naukowej niwie?

- O tak. Kilka lat temu skonstruował wzmacniacz pamięci. Tylko że to urządzenie wymaga długotrwałych prób, dopiero potem można je będzie przekazać do masowej produkcji.

- Chciałbym popatrzeć na ten aparat - powiedziałem.

- Proszę, widzi go pan na mnie - odrzekła Nadia i musnęła palcami swoje korale.

- Co? Te małe paciorki to właśnie wspomniany przez panią przyrząd?

- Tak. Są w nie wmontowane dwa mikroagregaty, które wytwarzają wokół mojej głowy wzmocnione pole.

- A jak się nazywa ten agregat? - zaciekawilem się.

- Jego pełna nazwa brzmi: Przyrząd Utrwalający Pamięć. A w skrócie nazywamy go PUP-em.

- PUP! - zawołałem. - Jakaż to niemile brzmiąca nazwa! Takich nedorzecznie brzmiących skrótów używano w XX wieku, ale dziś, kiedy działa Specjalna Komisja Nazewnictwa, składająca się z Poetów-Ochotników...

- Rozumiem pańskie niezadowolenie przerwała mi Nadia. - Ale brat mój jeszcze nie zarejestrował swego urządzenia w Komisji Nazewnictwa. Sam nie potrafi nic lepszego wymyślić. No ale przecież nie na nazwie rzecz polega! Urządzenie działa bardzo dobrze.

"Czyż może być udany aparat o takiej nieudanej nazwie! Jaki pan, taki kram" - pomyślałem, ale nic nie powiedziałem, żeby nie zasmucać Nadi.*[* Charakterystyczne jest dla Kowrygina to, że później, poznawszy Nadię bliżej, zachwyca się jej pamięcią, przypisując tę właściwość jej osobiście, jakby wcale nie uznawał, że dziewczyna zawdzięcza to

wynalazkowi swego brata. W tym właśnie jawi nam się cały Kowrygin ze swoim uprzedzeniem do techniki, nieufnością do nowoczesności (uwaga redakcji.) Pożegnaliśmy się z Nadia w bramie, a następnego dnia przeniosłem się do jej mieszkania i zająłem cichy narożny pokój. Brat jej okazał się człowiekiem milczącym. Kiedy z uprzejmości w czasie obiadu zaczynałem z nim rozmowę na temat jego pracy, podejmował ją chętnie, ale tak bardzo nasycił swoje wypowiedzi naukową terminologią, że nic z tego nie rozumiałem. W ujęciu Nadi wszystko to wyglądało o wiele prościej.

Teraz pracowałem w domu. Nabrawszy z biblioteki książek, czytałem je i wybierałem te wiersze, które według mnie pasowały do Antologii. Potem je mówiłem na głos, a MUZA [* MUZA (Modulacyjny Uniwersalny Zapisujący Agregat) - niedoskonały agregat XXII w., w rodzaju samopiszzącej szybko pod dyktando maszyny.] zapisywała. Razu jednego zasiedziałem się nad tą pracą do późnej nocy, ale nie zdążyłem wykonać zakreślonego planu. Rano musiałem książki zwrócić, gdyż obiecałem to bibliotekarzowi, a pozostało mi jeszcze jedenaście wierszy jednego autora, których nie zdążyłem podyktować. Po śniadaniu poprosiłem Nadię, czy nie zechciałaby podyktować MUZ-ie tych wierszy podczas mojej nieobecności, gdy ja tymczasem zaniósłbym książki, które są mi już niepotrzebne, tę zaś, z której Nadia będzie dyktowała, zwróciłbym po obiedzie.

Nadia chętnie się zgodziła i dodała, że mogę oddać także i tę książkę, w której jest owych jedenaście wierszy, ona bowiem przeczyta je natychmiast, zapamięta i podyktuje MUZ-ie.

- Co też pani mówi, Nadiu! - zawołałem. - Czyż człowiek może tak od razu, przeczytawszy na łeb, na szyję, zapamiętać jedenaście długich wierszy?

- Ano zaraz pan się przekona - odrzekła spokojnie. Potem szybko, i jak mi się wydało niezbyt uważnie, przeczytała zaznaczone teksty i wręczyła mi książkę. - Proszę ją spokojnie odnieść do biblioteki.

Zabrałem książki i poszedłem, ale tego jednego egzemplarza jednak nie zwróciłem, przedłużywszy o dzień termin oddania. Jakież było moje zdziwienie, kiedy po powrocie znalazłem na stole jedenaście utworów dokładnie przedrukowanych przez MUZ-ę w trzech egzemplarzach! Wyjąłem z teczki zatrzymaną książkę i sprawdziłem teksty. I co? Nie odkryłem ani jednej omyłki. Nadia w ciągu kilkunastu minut zapamiętała trudny stary tekst i podyktowała go bezbłędnie!

- Nadiu! Nadiu! - zacząłem ją wołać, a nie dowoławszy się, wybiegiem z pokoju. Znalazłem ją w kuchni, gdzie programowała ADONIS-a do obiadu.

- Nadiu! Jestem wstrząśnięty pani fenomenalną pamięcią! - krzyczałem.

- Tak, dzięki przyrządowi brata pamięć mam dobrą - z uśmiechem odpowiedziała dziewczyna. - Dziewięćdziesiąt dziewięć stopni w systemie stustopniowym. Ale brat mój mówi, że upajać się tym nie ma powodu. Można być człowiekiem głupim i mieć doskonałą pamięć. Kiedy byłam u OWIDIUSZ-a, dał mi tylko cztery stopnie.

- Nadiu, pani ma pamięć nie bardzo dobrą, a wręcz superfenomenalną - powiedziałem. - Zazdroszczę pani tej pamięci.

- To niestety moja jedyna chluba - odrzekła skromnie. - I jeśli mogę być kiedykolwiek panu przydatna w pracy nad Antologią, proszę śmiało przychodzić do mnie po pomoc.

Od tego dnia Nadia zaczęła mi pomagać w pracy, a pomoc jej (oczywiście tylko techniczna) była ze wszech miar odczuwalna.

15. DOMEK Z PIERNIKA

Pewnego razu Nadia zaproponowała mi wspólny wyjazd do rezerwatu w tajdze.

- Z wycieczką? - spytałem.

- Nie, we dwoje. Masowych wycieczek tam nie wpuszczają, to rezerwat grupy "A". Zamierzałam polecieć na dziesięć dni z koleżanką, ale ona z jakichś powodów się rozmyśliła. Skierowanie może przepaść.

- A co tam będziemy robić przez całych dziesięć dni? - zaciekawilem się.

- Leniuchować - odrzekła Nadia. - To dla pana będzie korzystne, wygląda pan na zmęczonego.

- Zgoda - powiedziałem. - A gdzie będziemy mieszkać?

- W domku-kontenerze. W nim trafi pan wprost w tajgę. Przecież dróg tam nie ma.

Nazajutrz wybraliśmy się na specjalny aerodrom. Dyżurny wyjaśnił nam, że Rezerwat Nr 7 jest jednym z największych w świecie. Ponieważ jest to rezerwat grupy "A", nie można tam budować żadnych urządzeń, nawet z radia nie wolno korzystać. Potem Dyżurny dał nam maść przeciw komarom i dwa pistolety.

- A po co pistolety? - zdziwiłem się. - Nie popełniliśmy żadnego przestępstwa, a pan chce nas wysłać na polowanie!

Proszę się uspokoić - odparł łagodnie Dyżurny. - Z tej broni się nie zabija. Ale gdyby napadł was niedźwiedź, wystrzelicie do niego, a on zaśnie na czterdzieści siedem minut. Przez ten czas zdążycie odbiec dość daleko. Po czym zaprowadził nas do domku-kontenera i oboje z Nadią weszliśmy do środka. Domek składał się z dwu pokoiów-komór, oddzielonych przepierzeniem, i przedsionka. W każdej z dwu komór był wyciągany tapczan, fotelik i szafeczka z odzieżą. W przedsionku stał stół-skrzynka z talerzami, rondlami i innym sprzętem kuchennym.

W dach domku było wmontowane metalowe koło. Nadleciał helikoptan i wysunął ze swego brzucha aluminiową łapę, która uczepiła się owego koła, i odlecieliśmy. Helikoptan leciał nisko i bezgłośnie. Domek-kontener kołysał się lekko, ale to było nawet przyjemne. Patrzałem w okno i wszystko wydało mi się różowe, i niebo, i ziemia. Domyśliłem się, że to z powodu szkła i spytałem Nadię, czemu tu wprawiono różową szybę.

- Jest z landrynkowej masy - wyjaśniła Nadia. I powiedziała mi, że takie domki-kontenery są przewidziane do transportu na Wenus. Tam będą je zrzucać na spadochronach w wenusjańską dżunglę. W dżunglach tych bowiem Badacze-Naukowcy

często tracą orientację, więc domki-kontenery zabezpieczą im tymczasowy dach nad głową, odpoczynek i żywność.

- A co to ma wspólnego z landrynkowym szkłem? - spytałem.

- Bo to jest domek jadalny - powiedziała Nadia. - Jeśli mieszkaniec takiego domku wyczerpie wszystkie zapasy żywności, będzie mógł posilać się domkiem, bo cały jest zbudowany z mocno sprasowanych koncentratów żywnościowych. A na zewnątrz jest obciągnięty cieniutką błoną wodoszczelną.

Wyjąłem z kieszeni opis techniczny dany mi przez Dyżurnego i wyczytałem, że ściany są zrobione z koncentratu chlebowego, sufit z prasowanej czekolady, fotele z proszku jajecznego, i nawet kołdry są też jadalne: należy odciąć centymetr kwadratowy kołdry, wrzucić do wrzątku - i otrzyma się szklankę kisielu żurawinowego.

- Pewnie, głód nie pieści, jak to się dawniej mówiło, a potrzeba jest matką wynalazków. My wszakże, mam nadzieję, nie będziemy zmuszeni posilać się własnym mieszkaniem - zażartowałem. Nadia uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Wreszcie helikoplan zniżył się, ostrożnie opuścił nasz domek na leśną polankę obok strumyka - i odleciał. Otworzyłem drzwi, wyszliśmy, i otoczyła nas wysoka po pas trawa.

Cały dzień brodziliśmy po tajdze, a gdy się ściemniło, rozpaliliśmy ognisko nad brzegiem strumyka i zjedliśmy konserwę na kolację. Potem poszliśmy każde do swojej komory i natychmiast usnąłem. Obudziłem się usłyszawszy pukanie Nadi w okno:

- Proszę wstawać, Leniuchu Leniuchowiczu! Śniadanie na stole!

Po śniadaniu poszliśmy w tajgę. Kiedy wróciliśmy do swego domku z piernika, z którego wychodząc nie zamknęliśmy drzwi, zauważyliśmy, że ktoś w nim był: noga u jednego fotela była pogryziona i narożnik stołu-skrzynki też ktoś przegryzł. W niektórych miejscach były przekłute landrynkowe szyby. To małe zdarzenie nie popsuło nam świetnego humoru, przeciwnie, raczej nas rozweseliło.

Wieczorem podczas kolacji powiedziałem Nadi, że szkoda, niestety, iż nie zabraliśmy ze sobą żadnych książek.

- A co chciałby pan przeczytać? - spytała Nadia.

- W Leningradzie zacząłem czytać nową powieść Meridinięgo, przekład z włoskiego - i dodałem, że powieść ta interesuje mnie, bo tłumacz jej w swoim czasie zwrócił się do mnie z prośbą o konsultację. W powieści, a dokładnie w jednym z jej rozdziałów, autor używa słów z dawnego świata kryminalistów i tłumacz nie mógł ich przełożyć na język rosyjski. Dowiedziawszy się, że pracuję nad Słownikiem tematycznym archaicznych wyrazów, poprosił mnie o pomoc, więc z życzliwością dałem mu możliwość zapoznania się z tą

częścią STAW-u, która zawiera wyrażenia używane w środowisku kryminalistów. No i nie zdążyłem jeszcze przeczytać tego właśnie rozdziału.

- Pan pewnie ma na myśli powieść Drugi Przybysz? - spytała Nadia. - Niedawno czytałam ją. W którym miejscu pan przerwał?

- Przerwałem w tym miejscu, gdzie Santiano przecina Ocean Spokojny i przybywa do Lamst... Tylko proszę mi nie opowiadać, Nadiu, jak to się skończyło, bo lektura potem nie będzie już ciekawa.

- Mogę panu "przeczytać" całą powieść dosłownie z pamięci - rzekła Nadia. - Pan zatrzymał się na czwartym rozdziale.

- Wiem, że pamięć ma pani fenomenalną, ale czyżby do tego stopnia? - zdumiałem się.

Zamiast odpowiedzi Nadia usiadła wygodniej przy ognisku i zaczęła:

...Pomówmy na początek o mnogości światów - siedząc na werandzie rozprawiał sam ze sobą Santiano. - Mnogość światów pozwala zakładać istnienie światów podobnych do naszej Ziemi. Będąc sam bezkresny, Wszechświat nie ogranicza ich liczby. A więc są światy odpowiadające naszej Ziemi. Z powodu owej wielości, niektóre z nich są jej kopiami, niekoniecznie zresztą kopiami absolutnymi. I tak na Ziemi-2 w tym momencie siedzi na werandzie taki sam Santiano jak ja, ale na głowie ma, powiedzmy, nie 988 761 włosów, lecz tylko 998 760. A na Ziemi-347 mój sobowtór jest absolutnie identyczny, za to jakaś dziewczynka, z Melitopola na przykład, ma na policzku kapkę konfitur, podczas gdy dziewczynka z Melitopola na naszej Ziemi nie ma na policzku kapki konfitur. A znów na Ziemi 6 798 654 267 - wszystko jest identyczne jak u nas, i tylko o jedną żabę więcej.

...Zdaje mi się, że docieramy do istoty rzeczy - powiedział do siebie Santiano. - Ale ciągnijmy dalej nasz monolog. Oprócz istnienia światów odpowiadających, prawie identycznych, są także światy podobne do naszego, ale to podobieństwo jest bardziej oddalone. Jedne z nich prześcignęły nas w swoim rozwoju, inne są za nami w tyle. Pierwsze obaliły Teorię Nieosiągalności i przybysze z nich mogą się u nas pojawić. Ale to są dobrzy goście. Ze światów drugiego typu przybysze nie mogą się zjawić z powodu zacofania technicznego. Zatem ci dwaj nie przybyli z planety odpowiadającej, podobnej do naszej. Oni są z innego Układu, a ich ludzki wygląd - to tylko maska. A dobry gość maski nie wkłada.

...Santiano pochylił się nad stołem i zaczął czytać starodawny podręcznik Przyjaciel sędziego śledczego. Zawód ten dawno już wymarł na Ziemi i nasz bohater musiał się wszystkiego uczyć od nowa. Długo wczytywał się w treść książki, powtarzając nie znane

sobie dawne wyrazy. Czasem przerywał lekturę i biegł do półki ze słownikami. W końcu powiedział URSUS-owi *:[* URSUS (Uniwersalny Robot Specjalnej Użyteczności Służbowej) - zupełnie prymitywny agregat XXII w.]

- Przyrowadź aresztowanego!

- Kogo? - spytał agregat nie ruszając się z miejsca.

- Przyrowadź obwinionego! - rozkazał Santiano.

- Kogo? - URSUS nie rozumiał.

- Przyrowadź sązonego.

- Kogo? - znów spytał URSUS.

- Przyrowadź złoczyńcę.

- Kogo? - spytał URSUS.

- Przyrowadź przestępcę.

- Kogo?

- Przyrowadź istotę zamkniętą w podziemiu. Jasne?

- Teraz tak - odrzekł URSUS...Niebawem przyrowadził Przybysza. Ten lękliwie zerkał na URSUS-a.

- Czemu to, koleś, takiego bydlaka na mnie napuściłeś? - zwrócił się do Santiano. - Tak to każdy cykorię poczuje.

- Siadaj - powiedział Santiano.

- Znamy was! "Siadaj, siadaj", a potem pięć lat mamra przysolisz. Lepiej postoję.

- Ile masz lat? - spytał Santiano. - Którego roku według ziemskiej rachuby urodziłeś się? Przybysz zawahał się.

Tu w paszporcie wszystko jest napisane - powiedział wyjmując z kieszeni książeczkę.

- Tu bez fałszu napisane. Sam czytaj. Złoto dokumencik. Bez lipy.

...Santiano wziął paszport, otworzył, popatrzył i położył na brzegu biurka.

- Dajesz mi dokument - zwrócił się do Przybysza - a na Ziemi dawno już skasowano dokumenty osobiste. Skasowano na wiele lat przed datą twego urodzenia, widniejącą w tej książeczce.

- Nie wrabiaj mnie, bratku - powiedział Przybysz. - Dokument czysty jak łąza. I sądzony nie byłem, i doprowadzany nie byłem, i w więzieniu nie siedziałem. Za co wy mnie, niewinnego chłoptysia, tak przyduszacie?

- Nawet byś nie mógł przebywać w więzieniu, choćbyś chciał - zauważył Santiano.

- Kiedy urodziłeś się, dawno już na Ziemi nie było więzień. Oczywiście, jeżeli urodziłeś się na Ziemi...

- A gdzie miałem się urodzić?! - krzyknął Przybysz. - Z Księżyca się urwałem czy co? Chodź no, koleś, ubijmy sprawę dla jasności. Ja ci dam baranka w papierku, a ty mnie puścisz wolno. - Przybysz wyjął z kieszeni 11\$ paczkę pieniędzy i położył na biurku. - Ubiliśmy, czy tak?

- Gdzie jest twój współbiednik? - spytał Santiano. Potem zajrzał do słownika i poprawił: - Gdzie jest twój współnik? Współuczestnik?

- A więc to tak się sprawy mają! - krzyknął Przybysz i wyciągnął z kieszeni pistolet. Ale URSUS błyskawicznie rzucił się na niego i odebrał broń.

- Teraz wszystko rozumiem - rzekł Santiano. - Nie jesteś Człowiekiem. Nie urodziłeś się na Ziemi ani na żadnej analogicznej Planecie. Zjawiłeś się tu z innego świata, z innego Układu. Władacie dobrymi środkami maskowania się i przenikania, ale macie kłopoty z tym, że wasza informacja o Ziemi bardzo się już zestarzała! Zjawiliście się nie tam, gdzieście zamierzali. Czyż nie tak?

...Przybysz nic nie odpowiedział. Tam gdzie stał - nastąpił błysk podobny do bezgłosego ziemskiego wyładowania atmosferycznego i Przybysz znikł. Tylko na ceramicznych płytkach podłogi zostały dwa wytopione ślady jego podeszew. Pistolet w kobaltowej dłoni URSTUS-a też rozbłysł jak błyskawica i spłonął. A po dokumencie i paczce pieniędzy zostały tylko wypalone prostokąty na powierzchni blatu biurka...

...Tymczasem drugi Przybysz nie tracił czasu. W Ankabusie zauważono człowieka trzymającego w ręce coś w rodzaju dawnej latarki elektrycznej. Promień latarki był skierowany na domy. Po czterech dniach domy te rozpadły się bez wybuchu. Zamieniły się w pył. Zauważono Przybysza także w porcie. Żaden z ośmiu statków, które tego dnia wyszły w morze, nie wrócił. Pograżyły się w oceanie, znikły, nie zdążywszy nawet wysłać sygnału zagrożenia...

- Nie znudziło się panu słuchanie? - spytała mnie Nadia. - Może za szybko czytam?

- Nie, nie, proszę czytać, Nadiu! - zawołałem. Słucham pani z prawdziwą przyjemnością!

Rzeczywiście miło mi było jej słuchać. W głos Nadi wplatał się szmer strumyka w tajdze i pomyślałem, że tak niedawno też siedziałem przy ognisku, ale w innym rezerwacie... I krąg się zamknął. Znów ognisko, znów rezerwat, ale tam byłem tym trzecim, niepotrzebnym, a tu - zupełnie inaczej. Coś mi mówiło, że tu nie jestem niepotrzebny.

16. BURZA W TAJDZE

Nocą obudził mnie grzmot. Za różową landrynkową szybą błyskało zygzakami. Ulewa chlastała o ścianę. Wzmógł się wiatr. Domek trząsł się od jego porywów. Przy świetle błyskawic widać było, jak wyginają się drzewa. Spiesznie ubrałem się i zastukałem w przegrodkę.

- Nadiu, proszę wstawać i iść do przedsionka. Stan niebezpieczeństwa!

- Już dawno się ubrałam. Nie mogłam spać - odrzekła Nadia.

Oboje wyszliśmy do przedsionka i zaczęliśmy na zmianę pić gorącą herbatę z termosu. Było zimno. Domek coraz bardziej niepokojąco drżał od uderzeń wichru. Nagle w świetle błyskawicy zobaczyłem przez małe okienko sionki, że jedna z sosen stojących na brzegu polany dziwnie się pochyliła. W mgnieniu oka chwyciłem Nadię oburącz, uderzeniem nogi otworzyłem drzwi i pobiegłem ze swoim "bagażem" na środek polany. Za plecami słyszałem narastający szum, głucho uderzenie i trzask łamanych gałęzi.

Postawiłem Nadię na ziemi i oboje spojrzeliśmy w kierunku domku. Sosna przywalała go koroną, ale domek ocalał.

- Proszę mi wybaczyć, Nadiu, że tak po grubiańsku wyniosłem panią wprost na ulewę - powiedziałem. - Ale bałem się, że domek się rozpadnie.

- I po cóż prosić o wybaczenie? - z wyrzutem odrzekła Nadia. - Przecież chciał pan tylko mego dobra...

Przemoknięci wróciliśmy do swego mieszkania, ale dojście do drzwi było zatarasowane koroną upadłej sosny. Dobrałem się jakoś przez gałęzie do drzwi, lecz otworzyć ich nie mogłem - sosna runąwszy nie tylko je zablokowała, ale i zaklinowała. Do okna mojej komory też nie było dostępu, za to Nadi okienko było zupełnie wolne. Na szczęście otwierało się także i od zewnątrz, więc wlałem do domku i pomogłem zrobić to Nadi.

- Proszę się położyć i zasnąć - powiedziałem. - Pani drży, a to wszystko przeze mnie! Ja tymczasem pójdę rozprawić się z tą sosną.

- Dobrze - odrzekła Nadia. - Rzeczywiście bardzo zmarzłam.

Wszedłem do sionki i spostrzegłem, że okienko w niej jest przebite dużą gałęzią. I akurat na wprost tego miejsca, gdzie stała Nadia, kiedy piła herbatę. "To znaczy, że nie na próżno wyniosłem stąd dziewczynę. Już by jej nie było wśród żywych" - pomyślałem. Odszukawszy w skrzynce siekierę odklinałem drzwi i wydobyłem się na zewnątrz. Najpierw odrąbałem siekierą gałąź, która przebiła okienko, żeby Nadia nie zobaczyła, jak

wielkie groziło jej niebezpieczeństwo. Przecież ludzie czasami przeżywają wstecz zdarzenia, które ich szczęśliwie ominęły, więc lepiej, gdy nie wiedzą o tym, co się im mogło przytrafić.

Stopniowo odrąbałem wszystkie gałęzie korony, przeciąłem pień i w ten sposób odblokowałem wejście do domku. Pracowałem nie zwracając uwagi na deszcz i wiatr. Trzon siekiery był zrobiony z prasowanego koncentratu kawowo-mlecznego, lecz sama siekiera na szczęście była zwyczajna, niejadalna, inaczej nie wytrzymałaby tej pracy, jaką nią wykonałem.

Kiedy skończyłem, poszedłem do swojej komory, rozebrałem się i położyłem spać. Nagle poczułem dreszcze. Było mi na przemian to zimno, to gorąco i ledwie mogłem zasnąć. A kiedy się obudziłem, znów zaczęło mnie trząść.

- Nie wstaje pan? - krzyknęła Nadia postukawszy w ścianę. - Już dawno dzień!

- Nadiu, zdaje mi się, że zachorowałem! - odkrzyknąłem.

Nadia weszła do mnie i położyła dłoń na moim czole. Jej dłoń wydała mi się bardzo zimna.

- Ma pan wysoką gorączkę - powiedziała. - Pan jest chory. Ale proszę się nie martwić, na wszystko jest rada - i przyniosła mi gorącej herbaty, dała jakieś tabletki, po czym zasnąłem.

Obudziłem się z uczuciem zimna w głowie. To lała się na mnie strużka z sufitu. Spojrzałem w górę: sufit pękł i pofałdował się. Ściana też wyglądała podejrzanie: była popękana i nieuszczelna. Domyśliłem się, że sosna, runąwszy na domek, odarła igliwiami i gałęziami nieprzemakalną, wodoszczelną osłonkę i nasz jadalny domek zaczął nasiąkać wodą, tym bardziej, że deszcz lał nieustannie.

Jak wiemy, domek-kontener był przeznaczony do transportu w wenusjańską dżunglę, a tam drzewa są wprawdzie wysokie, ale delikatne, trawiaste, więc mogą padać na takie domki choćby codziennie - nic im od tego się nie stanie. Ale nasze ziemskie drzewa z ich potężnymi pniami i gałęziami - to sprawa inna.

- Nadiu! - zawołałem cicho i dziewczyna drzemiąca w fotelu natychmiast się ocknęła.

- Zasnąłam tylko na minutkę - rzekła. - Cały czas siedziałam przy panu. Bredził pan... Nie myślałam, że tak nam się nie uda ten odpoczynek w tajdze. To moja wina...

- Pani tu nic nie zawiniła, Nadiu! Ale... o czym to ja bredziłem?

- Cały czas wspominał pan Ninę, ANTROPO-sa i STAW. Mogę zacytować te majaczenia...

- Nie, nie, Nadiu, majaki to są majaki, proszę raczej je zapomnieć.

- Obiecuję, że nigdy nie będę przypominać tego, co pan mówił w gorączce. A teraz trzeba wezwać lekarza, bo pan poważnie zachorował.

- Stąd można by tylko przy pomocy Osobistego Przystępu - odrzekłem - ale jest to przystęp radiowy, a korzystać z radia w rezerwacji grupy "A" zabroniono.

- To przecież jest szczególny przypadek - zaproponowała Nadia - więc można zrobić wyjątek...

- Nadiu, czy pani już zapomniała, czego uczono nas na lekcji moralności w piątej klasie? "Jeden wyjątek może zrodzić tysiące innych, a tysiące wyjątków - to chaos".

- Co zatem robić? - omal z płaczem spytała Nadia.

- Można skorzystać z przekazywania myśli - powiedziałem. - To nie ma nic wspólnego z radiem. Któreś z nas powinno wysłać myślogram do swego "sobowtóra", a ten przekaże wiadomość drogą radiową do punktu wycieczkowego, że zachorowałem w tajdze. Ale nie wypada mi zawracać głowy Andriejowi. Ma teraz pracy po uszy. Może pani nada myślogram?

- Nie mam pary - odrzekła zasmucona Nadia. - Kiedyś byłam zakochana w pewnym chłopaku i byliśmy nawet "sobowtórami", a potem pogniewaliśmy się ze sobą na zawsze...

- Przepraszam, że zadałem nietaktowne pytanie - powiedziałem. - Wysyłam więc sygnał myśli do Andrieja.

- Sygnał przyjęty - nadawał Andriej. - Co się z tobą dzieje?

- Stan zagrożenia - oznajmiłem. - Bardzo jesteś zajęty?

- Tak - odrzekł Andriej. - Nie spałem dwie noce. Trudności na budowie głównego budynku. Ale to nie ma znaczenia. Mów, co mogę dla ciebie zrobić.

Powiadomiłem go o chorobie i powiedziałem, że musi się połączyć z Nowosybirskim Centrum Podróży. Niech przysłał sanitarny helikopter.

- Wszystko będzie załatwione - odrzekł Andriej. - Trzymaj się! Przedsięwzięm odpowiednie działania. Czy jeszcze coś?

- To wszystko. Stop.

Nadia z niepokojem obserwowała mnie, starając się z wyrazu mojej twarzy odczytać rezultat wymiany myśli z Andriejem.

- Będzie dobrze, Nadiu - powiedziałem. - Niedługo nadleci pomoc. I wie pani, nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło, tak mówi stare przysłowie.

- Jakież tu dobro w tym wszystkim, co teraz przeżywamy? - spytała.

- To wytłumaczę pani kiedy indziej - odrzekłem i spiesznie skryłem głowę, bo z sufitu ciekło coraz mocniej. Znów chwyciły mnie dreszcze, a potem zapadłem w ciężki, niespokojny sen.

- Proszę wstawać - zbudziła mnie Nadia. - Przylecieli po nas.

Wyszła z mojej komory, a ja szybko byle jak się ubrałem i opuściłem domek. Deszcz ustał, zaczynało już świtać. Była piąta trzydzieści dwie. Uderzył nas widok ogromnej ilości ptaków, które zleciały się do naszego domku. Rozdziobywały jego rozmiękłe ściany i dach. Nad polaną zawisł helikoplan sanitarny z czerwonym krzyżem na brzuchu. Z tego brzucha wysunęło się coś w rodzaju kołyski i spuściło się na linie w dół. Wsiedliśmy w tę kołyskę i uniesiono nas, a po chwili znaleźliśmy się z Nadią w helikoplane, który od razu wziął powrotny kurs.

Lekarz natychmiast zaprowadził mnie do kabiny kąpielowej. Wziąłem długi, gorący tusz zmywając lepka, czekoladowo-cukrową masę, która jeszcze niedawno lała się na mnie z sufitu naszego domku z piernika. Potem odziałem się w czystą bieliznę i ułożyłem się na koi. Lekarz przyłożył mi do czoła ESKULAP, a ten obwieścił, co następuje:

“Pięćdziesiąt jeden jednostek chorobowych na krzywej utrzymującej się. Stan A-2 według Grinwaldsa i Worotkiewicza. Leczenie według schematu Lambaprim, siedem ułamek pięć. Dodatkowo zaleca się miksturę Karakulina. Na przedłużenie MIDŻ-u choroba nie wpłynie ujemnie”.

- No i widzi pan, wszystko będzie dobrze - uśmiechnął się Lekarz - tym bardziej, że ma pan taką miłą pielęgniarkę - dodał wskazawszy oczyma Nadię.

Potem odszedł, dawszy mi uprzednio jakiegoś gorzkawego specyfiku, po którym od razu zrobiło mi się lżej. Spojrzałem na Nadię siedzącą obok mojej koi na taboreciku ze sztucznego tworzywa i powiedziałem:

- Nadiu, niech pani idzie odpocząć. Przecież pani jest bardzo zmęczona!

Niebawem wylądowaliśmy w Nowosybirsku i odwieziono mnie w asyście Nadi i Lekarza do szpitala. Nadia pozostała w szpitalu i doglądała mnie nie zmrzywszy nawet oka. Niejednokrotnie HESTIA *[* HESTIA (Humanitarna Elektroniczna Siostra, Taktowna, Interesująca, Atrakcyjna) - stary agregat medyczny w rodzaju dawnej pielęgniarki.] próbowała ją zastąpić, ale Nadia za każdym razem odprawiała ją. Rankami, kiedy spadała mi gorączka. Nadia czytała mi z pamięci książki współczesnych pisarzy i dawne powieści obyczajowe. opuszczając w tych ostatnich opisy polowania.

Raz, przerwawszy czytanie, spytała:

- Pan tam w tajdze Dowiedział, że nie im tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jak mam to rozumieć?

- To trzeba tak rozumieć. Nadiu: gdyby nie zdarzyło się to wszystko, co się zdarzyło, to nie spotkałbym pani.

- Ja też się cieszę, że wszystko się tak zdarzyło, jak się zdarzyło - szczerze powiedziała Nadia. - I za to trzeba dziękować pańskiemu przyjacielowi. Andriejowi Swietoczewowi.

Znów przypomniałem sobie zdarzenie w Urzędzie Pocztowym w Leningradzie, swoją rozmowę z Nadią, potem wyprawę z Niną i Andriejem do rezerwatu, potem swoją ostatnią rozmowę z Niną po wizycie u ANTROPO-sa i drugie spotkanie z Nadia. Tak, krąg się zamknął, i to zamknął, zdaje się, szczęśliwie dla mnie i dla Nadi...

Wkrótce wyzdrowiałem i razem z Nadią wróciłem do Leningradu. Jesienią Nadia została moją żoną. Nasz związek od początku był i do końca pozostał szczęśliwy. I jeśli moi mili Czytelnicy przychylnie ocenią te wspomnienia i znajdą w nich strawę dla swego umysłu i ducha, to niech wiedzą, że ukazanie się tych wspomnień zawdzięczają nie tylko mnie, ale i Nadi, która niemało mi pomogła w pracy nad rękopisem.

17. W WYDAWNICTWIE

Oprócz ożenku jesień ta zaznaczyła się jeszcze jednym ważnym wydarzeniem w moim życiu. Zakończyłem pracę nad swoją *Antologią zapomnianych poetów XX wieku* i złożyłem ją w wydawnictwie, w dziale historycznoliterackim. Redaktor działu przywitał mnie życzliwie i poprosił, abym przyszedł za tydzień. Mój łaskawy Czytelnik, jeśli nawet nie jest Autorem, łatwo może sobie wyobrazić, co przeżyłem w ciągu tych siedmiu dni oczekiwania na decyzję o swoim losie. Pocieszałem się tylko tym, że dawniej Autorzy (o czym zresztą wiemy z historii) o wiele dłużej czekali na ocenę swoich prac i niekiedy całymi miesiącami trwali w stanie niepewności, kiedy ich maszynopisy były czytane w redakcjach.

I tak równo po tygodniu zjawivszy się w wydawnictwie, dowiedziałem się, że maszynopis mój został przeczytany przez Konsultantów, współpracujących z działem historyczno-literackim, oraz przez samych Redaktorów i uzyskał pozytywną ocenę. To prawda, że niektóre ich uwagi były jednostronne, nieobiektywne, a nakład przewidziano zaledwie pięcioletni, ale wszystko to bladło wobec zasadniczego faktu: moja Antologia będzie wydana, a literatura Planety wzbogaci się o jeszcze jedną cenną i potrzebną książkę. Kiedy podpisaliśmy z wydawcą umowę (co teraz było aktem prawdziwie symbolicznym, ponieważ pieniądze skasowano i honorarium mi się nie należało) i kiedy spłynęła pierwsza fala mojej radości, zwróciłem się do Redaktora z prośbą, żeby dał do przeczytania mój maszynopis któremuś z agregatów - może ten będzie bardziej sprawiedliwy i obiektywny niż Konsultanci i zaproponuje większy nakład.

Na tę moją skromną prośbę Redaktor odpowiedział jakby z urazą, że w jego dziale, tak jak i w pozostałych, z wyjątkiem działu poezji, wszystkie maszynopisy czytają Ludzie i żadnych agregatów tam nie ma.

- Dlaczegoż więc Poeci są wyjątkiem? - spytałem. - Czemu są uprzywilejowani? Przecież moja Antologia też składa się z poezji, co prawda Autorów martwej ręki, żyli bowiem oni dawno temu, w XX wieku.

- Poetów jest zbyt wielu i pracownicy działu poezji nie nadążają, są przeciążeni ilością maszynopisów - wyjaśnił mi Redaktor. - Dlatego muszą uciekać się do pomocy agregatów.

Potem wygłosił sentencję, że nieprzerwany wzrost poziomu kulturalnego Ludzi i powszechność wyższego wykształcenia mają, jego zdaniem, 999 zalet - i jedną wadę. A wada ta polega na tym, że bardzo dużo Ludzi pisze dziś wiersze i zanoszą do wydawnictw, uważając siebie za Poetów, w istocie rzeczy nimi nie będąc. To prawda, że liczba prawdziwych Poetów

też rośnie, ale procentowo, w stosunku do Ludzi mieniących siebie Poetami, jest ich jak to zresztą zawsze bywało - o wiele mniej. Ponieważ wydawnictwo nie może ludzkimi siłami sprostać napływającej masie rękopisów, jest poniekąd zmuszone skorzystać z pomocy LAMPART-ów [* LAMPART - Literacki Agregat, Miłośnik Poezji, Antytendencyjny Recenzent Tekstów] MOPS-ów[* MOPS - Mechanizm Odrzucający Poezję Słabą], WILK-ów [* WILK - Wszechstronny Intelktualnie Literacki Konsultant], TANK-ów [*TANK - Taktowny Analityk Negatywnej Krytyki] i innych agregatów pomocniczych. Agregatom jest niełatwo, żaden z nich przecież nie ma prawa obrazić Człowieka, a mówić Autorom prawdę - jest ich obowiązkiem, prawda zaś niekiedy bywa bardzo gorzka. A tu jeszcze Ochotnicza Komisja Specjalna, złożona z Poetów, dała tym agregatom takie odstraszające nazwy...

Poprosiłem Redaktora, żeby zaprowadził mnie do działu poezji. Chętnie się zgodził i przeprowadził mnie przez ciche korytarze redakcyjne do ogromnej i dość hałaśliwej sali, u której wejścia widniał napis:

“Laski, parasole i inne zagrażające przedmioty prosimy zostawiać w korytarzu”.

- Jakież to złowieszcze zarządzenie - powiedziałem do Redaktora. - Czyżby w naszym wieku były jeszcze możliwe rękoczyny, pałko-czyny i tym podobne rzeczy?

- Ooo, po Poetach wszystkiego się można spodziewać - odrzekł Redaktor. - Na Ludzi nie próbują napadać, ale agregaty to niekiedy mocno od nich ucierpią. Na przykład w ubiegłym roku pewien młody Poeta uderzył pałką LAMPART-a, kiedy ten powiedział mu, że rymy: “krew”, “gniew”, “zew”...brew” istnieją już przeszło czterysta lat i wcale nie są odkrywcze w jego wierszach. A w pozaprzyszłym roku pewna początkująca Poetessa pobiła parasolką MOPS-a, gdy odrzucił jej teksty.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że w naszych czasach mogą jeszcze kwitnąć tak okrutne obyczaje - powiedziałem. - Jakie to szczęście, że pracując nad moją Antologią miałem do czynienia nie z żywymi, lecz dawno już zmarłymi Poetami!

Teraz otworzyły się przed nami oszklone drzwi i weszliśmy do sali. Natychmiast podeszła do nas SAWA [* SAWA (Specjalistyczny Agregat Witający Autorów) - mechanizm XXII w. spełniający rolę dawnej sekretarki.] i miłym głosem zapytała, czym zamierzamy zaszczyścić dział poezji: wierszami czy poematem? Dowiedziawszy się, że jeszcześmy nie napisali takowych - szybko odeszła. Zacząłem rozglądać się dokoła. Pośrodku sali stały kanapy i fotele, na których siedzieli Poeci. Zgodnie rozmawiali ze sobą i żadnego okrucieństwa w wyrazie ich twarzy nie zauważyłem. Wokół na obrzeżach sali stały stoły, za którymi siedziały LAMPART-y, WILK-i i i MOPS-y. Wszystkie te agregaty w niczym nie

przypominały zwierząt, których nazwy nadała im Komisja. Były to zwyczajne specjalistyczne mechanizmy, na oko dość nawet kruche i nieszkodliwe. TANK też nie był podobny do dawnego narzędzia zabójstwa. Tym smutniej było mi zobaczyć nad stołami niektórych z tych agregatów apele świadczące o tym, że owe bezbronne mechanizmy bywają niekiedy ordynarnie traktowane, a nawet bite. Na przykład nad MOPS-em wisiał wierszyk napisany, być może, przez niego samego:

Jam agregat jest uczynny,
Nie przyczyna łez.
MOPS niewinny, gdy Poeta
Bez talentu jest.

Nad LAMPART-em wisiał czterowiersz napisany klasycznym jambem:

Poeto! Młodzian tyś czy Dziewa,
Czy też sterana lira twa,
O, nie bij mnie w porywie gniewu,
Niech cicho spłynie żalu łza.

- A co oznacza ten napis na ścianie: "Prosimy podawać agregatom maszynopisy bez metalowych zszywek"? spytałem swego przewodnika.

- Napis ten pojawił się po pewnym przykrym nieporozumieniu - rzekł Redaktor. - Raz jakiś Poeta dał WILK-owi do czytania poemat liryczny, którego kartki były spięte namagnesowanymi zszywaczami. WILK przeczytał utwór, ocenił go jako genialny i pobiegł z nim do Redaktora-Człowieka. Ten zaś nie odkrył w poemacie żadnych wartości. Okazało się, że namagnesowane zszywacze spowodowały zamieszanie w elektronicznym schemacie WILK-a. Po tym zdarzeniu WILK-27 zaczął uważać wszystkich Poetów za geniuszy i trzeba go było zdemontować.

- Mam nadzieję, że Poeta nie popełnił tego przestępstwa z rozmysłem - powiedziałem.

- Ach nie, Poeta tu nic nie zawinił. - uspokoił mnie mój przewodnik po prostu pracuje w laboratorium, gdzie mają do czynienia z magnesami.

Nie chcąc już dalej nadużywać uprzejmości mego towarzysza, powiedziałem, że resztę sali sam zwiedzę, i Redaktor odszedł. Wmieszałem się teraz w tłum Poetów i kiedy

jeden z nich zbliżył się z maszynopisem do MOPS-a, obserwowałem go. MOPS bardzo szybko przeczytał tekst i zaczął go komentować. Prawdopodobnie na skutek ustawicznego obcowania z Poetami i złymi wierszami dawno oduczył się mówić prozą. Wygłaszał swoją mowę-recenzję śpiewnie, miękkim barytonem, starając się nie obrazić Autora:

Rymy - tramtadrata, wiersze - słowna wata,
Cóż poradzę na to? Żal mi cię jak brata.
Wiersze racjonalne, nieemocjonalne,
Ale niegenialne, a w treści - banalne.
Szepną ci boleśnie: na druk jest za wcześnie,
Czytelnik surowy, a wiersz jest jałowy.
Pisać nie przestawaj, klasyków poznawaj...

Przestałem dalej słuchać i podszedłem do LAMPART-a, obok którego siedział inny Poeta. LAMPART też prowadził konsultację literacką wierszem:

“Wodopój” - poemat nie najlepszy, zupełny brak muzyczności wiersza,
Ubogi w treści i nie ma głębi, choć jest ciekawy w zamysłu zrębie.
Przykro mi bardzo, szanują pana, ale to dzieło jest nieudane,
Metafor trafnych nie ma w nim wcale, choć niewątpliwy tu widać talent,
Więc z żalem PLAZMA* zwróci pański trud, pańskich przemyśleń żmudnych mądry
plód,
I choć do druku jest niegotowy, czeka na pana wieniec laurowy...

[* PLAZMA - Ponury, Lakoniczny Agregat Zwracający Maszynopisy Autorom]

Odszedłem od LAMPART-a i skierowałem się do agregata o nazwie PAWIAN [* PAWIAN - Przyjazny Agregat, Wydawca Incydentalny Autorów Nieutalentowanych] Jednocześnie ze mną podszedł do niego Człowiek w średnim wieku i podał dość gruby rękopis.

- Może przejrzy pan moje *Loty i wzloty*? Sto czterdzieści utworów wierszem...

PAWIAN wziął rękopis i przeczytał.

- Czy był pan u WILK-a? WILK to czytał? - U wszystkich byłem. I u Ludzi, i u agregatów. Niezbyt rozumieją ponuro rzekł Poeta.

- *Loty i wzloty* można wydać w nakładzie jednego egzemplarza - powiedział miło PAWIAN. - Czy pana to urządza?

- A nie można by chociaż w dwu egzemplarzach? - spytał nieśmiało mało utalentowany Poeta. - I żeby nakład na ostatniej stronie widniał w ilości miliona egzemplarzy. Albo może więcej...

“Cóż za nieprzyzwoitość! - pomyślałem. - Dawniej to się nazywało mydleniem oczu albo lipą. Oczywiście PAWIAN odmówi tej szalonej prośbie i odpowiednio ją skomentuje”.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy PAWIAN odpowiedział przychylnie!

Dobrze - rzekł. - Wydamy *Loty i wzloty* w umownym nakładzie dwu milionów egzemplarzy i w faktycznym dwu egzemplarzy. Proszę wskazać, jaką chciałby pan mieć okładkę, format, rodzaj czcionki i gatunek papieru - co mówiąc podał nieutalentowanemu Poecie teczkę ze wzorami. - Proszę sobie wybrać.

Oburzony postępowaniem Poety i agregata pospieszyłem do Redaktora-Człowieka działu poezji. Nie chcąc robić przykrości owemu Poecie, zadałem pytanie w formie ogólnej: czy bywają przypadki, kiedy PAWIAN się myli lub świadomie wypełnia amoralne życzenia Autorów? Na przykład, czy może on zaplanowany nakład dwu egzemplarzy wydrukować w tekście, a dokładniej - stopce wydawniczej, jako dwumilionowy?

Ku mojemu zdumieniu Redaktor powiedział, że PAWIAN tak właśnie jest zaprogramowany.

- Agregat zaprogramowany na kłamstwo! - krzyknąłem. - Pierwsze słyszę!

- “Niżli tysiące podłych prawd nam droższe jest szlachetne kłamstwo” zacytował Redaktor słowa klasyka i dodał: - To kłamstwo nikomu nie przyczyni zła. Poeta oszukuje samego siebie pocieszając się tym kłamstwem. I nie należy go zasmucać.

- W ogóle nie rozumiem, po co wydawać książkę, której nikt nie będzie czytał - powiedziałem.

- Trzeba być wyrozumiałym - rzekł Redaktor. - Społeczeństwo jest na tyle bogate, że może wydać Poecie książkę, choć Społeczeństwu nie jest ona potrzebna. Czemu nie sprawić Człowiekowi radości?

Muszę przyznać, że taki tok rozumowania wydał mi się niedorzeczny i wyszedłem od Redaktora ani trochę przez niego nie przekonany.

“Jak to dobrze, że nie jestem Poetą - pomyślałem. - I że książka moja wyjdzie nie w umownym dwumilionowym nakładzie, a w prawdziwym, realnym pięciotysięcznym”.

18. WYSPA MOJEGO IMIENIA

Tego pamiętnego roku zima była surowa. Nawa stanęła wcześniej, zatoka już w listopadzie pokryła się grubym lodem i z mego okna widziałem narciarzy oraz aerobojerów ślizgające się po jego powierzchni. Oboje z Nadią mieszkaliśmy teraz w tym samym domu, co rodzice moi i Andrieja, tylko w innej kwaterze. Moja Antologia była już w druku i oczekiwałem na korektę, a tymczasem zabrałem się do nowej pracy - Pisarze Baniaści XX wieku w świetle współczesnych poglądów etycznych. Nadia pomagała mi, oczywiście technicznie. Jej idealna pamięć znalazła wreszcie należne sobie zastosowanie.

Andrieja dawno nie widziałem, był bardzo zajęty i nie śmiałem mu przeszkadzać. Wciąż tylko o nim trąbiono. Poeci tworzyli o Andrieju Swietoczewie wiersze, w których porównywali go do Prometeusza i Bóg wie do kogo jeszcze. Gazety poświęcały mu całe dolne odcinki z szumnymi nagłówkami w rodzaju: Cywilizacja akwalidowa, Rewolucja techniczna itp., w czasopiśmie zaś drukowano ogromne artykuły pod tytułami: Akwalid i Dalekie Gwiazdy, Era monosurowca, Przewrót w ziemskiej ekonomice. Dziwił mnie ten hałas wokół niego, wydawał mi się niepoważny i przedwczesny: przecież akwalidu jako takiego jeszcze nie było! Znając Andrieja, byłem o niego jednak spokojny. Wszystkie te rozdawane awansem zaszczyty ani trochę go nie przejmowały i były mu potrzebne jak psu piąta noga - niech mi Czytelnik wybaczy pewną niedelikatność w tym starym powiedzonku.

Nadia już nieraz mówiła, żebyśmy pojechali odwiedzić Swietoczewa na Wyspę Matwieja - wyspę mego imienia. Jednak pochłonięty swoją pracą, wciąż odwlekałem ten wyjazd. Ale, jak to się dawniej mówiło, skoro góra nie może przyjść do Mahometa, to Mahomet przyjdzie do góry. Pewnego razu wieczorem wpadł do mnie Andriej.

- Przyszedłem z prośbą do ciebie - przystąpił od razu do rzeczy. - Nie zechciałbyś mi wygładzić pewnego artykułu? Napisałem go do dziecięcego piśmiennictwa popularnonaukowego, bardzo mnie o to proszono. Ale nie potrafię wyrażać swoich myśli w ogólnie zrozumiałej formie, to mi koślawo wychodzi. Przeczytaj, proszę, i popraw. Czy to nie szkodzi, że ci przynoszę napisany odręcznie? Pismo mam nieczytelne...

- Pismo masz czytelne - odrzekłem tylko cała ta mądrość techniczna jest dla mnie niepojęta.

- Ależ nie, wszystko wyłożyłem pomijając wzory, przecież to jest dla dzieci. Popraw tylko i wygładź artykuł stylistycznie. Masz taki ładny język.

- Dobrze, zrobię, co będę mógł - odparłem. - Ale tak na marginesie: czemu Nina się za to nie wzięła?

- Nina mi dużo pomaga, ale tu się bała, że będzie nieobiektywna. Jej się podoba wszystko, co robię. Sama mi doradziła, żebym się zwrócił do ciebie.

Kiedy Andriej wyszedł, przeczytałem artykuł i nic, przyznaję, nie rozumiałem. Rzeczywiście nie było w nim wzorów, ale obfitował w terminologię techniczną, tabele i odsyłacze do prac różnych badaczy. Kiedy Nadia przyszła z pracy, dałem jej do przeczytania utwór Andrieja, a ona powiedziała, że wszystko w nim jest zrozumiałe, tylko trzeba jeszcze to i owo uprościć. Z pomocą Nadi i słowników zamieniłem najbardziej niezrozumiałe wyrażenia, wygładziłem artykuł stylistycznie, ale i tak sens jego był dla mnie niejasny.

- To nic - uśmiechnęła się Nadia - dzieci rozumieją. Jesteś po prostu zatwardziałym Humanistą. Tu wszystko jest genialne.

Oryginał tego artykułu, napisany ręką Andrieja, do dziś jest u mnie, a po mojej śmierci będzie przechowywany w Muzeum Swietoczewa.

Kiedy artykuł otrzymał już moją literacką obróbkę i podyktowałem go MUZ-ie, Nadia powiedziała:

- A czemu byś sam nie mógł dostarczyć tego artykułu Andriejowi na wyspę twego imienia? Twój przyjaciel na twoją cześć nazwał wyspę, a ty nawet tam jeszcze nie byłeś!

- Ach nie, jutro wyślę artykuł pocztą - odrzekłem. - Choć nie byłem na wyspie, doskonale ją znam z telewizji i fotografii w gazetach.

Nadia, jak mi się zdawało, zgodziła się z moimi argumentami.

Następnego dnia, a był to wolny dzień Nadi, już rano wybraliśmy się na zatokę, żeby pojeździć na nartach. Ale przedtem o mało nie pokłóciliśmy się wybierając rodzaj nart.

Weź samobieżne - powiedziała Nadia. - Zwykle mi się już znudziły.

- Po cóż samobieżne, przecież na zatoce nie rna gór - odparłem.

- Ale ja chcę samobieżne!

- Bóg z tobą, jak to się dawniej mówiło - zgodziłem się.

Narty samobieżne dopiero co wtedy wchodziły w modę. Były podobne do zwykłych nart z plastyku, tylko że wmontowano w nie mikroagregaty napędowe. Wystarczyło mocniej nacisnąć obcasem i mechanizm się włączał. Na takich nartach dobrze się jechało pod górę.

Wyszliśmy na zatokę i wkrótce znaleźliśmy się przy lodowej drodze, wiodącej na wyspę mego imienia. Drogą tą jechały elmobile i elcikle - wszystkie w kierunku Leningradu. Zatrzymaliśmy jeden elmobil i spytaliśmy, czemu wszystkie one jadą z wyspy, a nikt nie jedzie na wyspę?

- Czyżbyście państwo nie słyszeli komunikatu specjalnego? - zdziwił się jeden z pasażerów. - Nadawano go pół godziny temu.

Wygnanie z raju akwalidowego! - zażartował inny pasażer. - Raj staje się niebezpieczny.

- Ach tak! - zaśmiała się Nadia. - A my właśnie tam jedziemy.

Włączyła aparat napędowy i pomknęła po torze narciarskim, biegnącym równoległe z lodową drogą. Musiałem więc także włączyć mechanizm napędowy i dogonić ją.

- Nadiu, przecież to daleko! - krzyknąłem za nią. - I wszyscy raczej powinni opuścić wyspę.

- Ale wyspa jest twego imienia. Ciebie muszą na nią wpuścić - powiedziała Nadia.

- Dziwna logika - rzekłem. - Jeśli już tam jechać, to z artykułem, a ja go nie mam przy sobie.

Nadia zdjęła rękawiczkę i przyłożyła dłoń do czoła:

- Artykuł jest tu, nie denerwuj się.

- Możemy odmrozić sobie policzki - powiedziałem. - Spójrz, jaki silny wiatr od wyspy!

- I to przewidziałam - odparła Nadia i wyjęła z kieszeni skafandra dwie ocieplane maski.

- Nadiu, to znaczy, że świadomie mnie oszukałaś? - zdziwiłem się. - Z góry zaplanowałaś te wycieczkę!

- Kochanie, a jak cię można inaczej wywabić z domu? - zaśmiała się Nadia. - To siedzisz nad fantastami. to nad STAW-em. a do przyjaciela ani rusz! Więc zorganizowałam tę przejażdżkę.

- A jednak nieładnie jest okłamywać. Pamiętasz, jak uczyliśmy się w drugiej klasie: "Małe kłamstwo - to też kłamstwo. I kropla, i ocean są jednością w swojej istocie".

- Ale moje kłamstwo to bardzo maleńka kropelka - uśmiechnęła się Nadia.

Wkrótce ukazała się przed nami Wyspa Matwieja. Zauważyliśmy, że na lodzie wokół niej stoją w równych odstępach URSUS-y *.[* Przypominamy: URSUS - Uniwersalny Robot Specjalnej Użyteczności Służbowej.] W swoich metalowych rękach trzymały ogłoszenia: "Wejście na wyspę wzbronione. Stan zagrożenia". To samo raz po raz wykrzykiwały.

- No widzisz, niepotrzebnie tu jesteśmy - powiedziałem. - URSUS-y nas nie wpuszczą.

- To je zwyczajnie ominiemy rzekła Nadia. - Żaden mechanizm nie może użyć siły wobec Człowieka.

- Nie należy nadużywać tego prawa - powiedziałem surowo. - Mechanizmy służą Społeczeństwu.

- Ewakuacja zakończona. Na wyspę wstęp wzbroniony - powiedział mi jeden z URSUS-ów, kiedy się do niego zbliżyłem. Poprosiłem więc, żeby odszukał Andrieja Swietoczewa i powiadomił go o naszym przybyciu. URSUS oddalił się i niebawem wrócił. Obok niego maszerował Andriej. Bardzo się nami ucieszył, ale ze zdziwieniem zapytał, czyżbyśmy nie słyszeli komunikatu specjalnego. Powiedzieliśmy, że byliśmy akurat w drodze. Wtedy Andriej oznajmił nam, że jutro zostanie uruchomione główne doświadczalne urządzenie laboratoryjne mające wyprodukować akwalid. Jak wiadomo, jedno ze stadiów procesu przekształcania do dziś jest niepewne pod względem technologicznym. Sprawdzić je można tylko w praktyce. Słowem, może się zdarzyć wybuch.

- Jeśli nastąpi wybuch, to znaczy, że akwalid jest mirażem? - spytałem.

- Nie. To będzie znaczyło, że proces technologiczny jest nieprawidłowy. Inni po mnie znajdą właściwe rozwiązanie, wzięwszy pod uwagę moją omyłkę.

- Droga to będzie omyłka - rzekłem.

- A cóż dano Ludzkości darmo?

Wyspa była bezludna. Raz po raz tylko przecinały nam drogę URSUS-y idące gdzieś z jakimiś zadaniami. Otaczały nas ze wszystkich stron budynki, wieże, jakieś niepojęte konstrukcje wznoszące się stopniami w górę. Grube przewody rur, pomalowane jaskrawą samoświecąca farbą, ciągnęły się od budowli do budowli to ścieląc się po ziemi, to pnać się na wysokie kratownice.

- Jak wyolbrzymiała ta wyspa! - zauważyłem. - I tyle na niej wybudowano!

- Natrudziła się tu cała kula ziemiska - odpowiedział spokojnie Andriej. - A jutro, być może, z tego wszystkiego nic nie zostanie.

- Kiedy zaczynacie próbę? - spytała Nadia.

- Nie bójcie się, nie wypędzę was z wyspy na noc - uśmiechnął się Andriej. - Próba się zacznie jutro o dziesiątej rano. W ogóle planowaliśmy na drugą w nocy, ale trzeba było odłożyć, Nina zachorowała.

- A cóż ma z tym wspólnego Nina? zdziwiłem się. - Czyżby nie została ewakuowana?

- Nie. Chce być ze mną w czasie próby. Jeśli jej decyzja okaże się niezłomna, będzie siedziała przy dublpulpicie. Tak czy owak potrzebny mi jeden pomocnik. W razie awarii uratujemy czyjeś życie.

- Dużo miałeś ochotników, gotowych z tobą przeprowadzić próbę?

- Opędzić się od nich nie mogłem! Zameczali mnie prośbami.

- Ale przecież stać przy tym, jak go nazywasz, “dublulpicie” pewnie nie jest takie proste? Tu chyba trzeba wiedzy specjalistycznej?

- Żadnej wiedzy. Tylko zdrowie jest potrzebne, uwaga i elementarne wiadomości. Wcale nie techniczne, lecz ogólne. Nawet ty ze swoją subtelną miłością do techniki i głębokim jej rozumieniem dałbyś radę - przyciężkawo zażartował Andriej.

- A co się stało Ninie? - spytałem.

- Wczoraj jeździła bojerem i wpadła na toros. Potłukła sobie ramię. Siedzi teraz w domu i łyka proszki, a lekarza wezwać nie chce. Boi się, że ją ewakuuje na ląd.

- Powiedz mi, jakiego koloru był ten bojer? - zaniepokoiłem się.

Andriej spojrział na mnie zdziwiony i rzekł:

- Czerwonego. Cóż za dziwne pytanie?

- Wcale nie jest dziwne - powiedziałem. - Ludziom techniki wszystko się wydaje dziwne.

Oczywiście z punktu widzenia zdrowo myślącego człowieka moje pytanie było śmieszne. Ale przecież widziałem na ekranie ANTROPO-sa, że Nina wsiada do czerwonej łódki. Natychmiast odtworzyłem sobie dokładnie w wyobraźni tę czerwoną elektromotorówkę z napisem “Eos” na burcie. Łódź była czerwona, bojer także czerwony... I zaraz mi ulżyło na sercu. Przez wszystkie te miesiące w głębi duszy niepokoiłem się o przyszłość Niny pamiętając prognozę ANTROPO-sa, a teraz zrozumiałem, że ANTROPO się omylił. To znaczy, w pewnym sensie powiedział prawdę, ale w najbardziej dramatycznej części tej prognozy pomylił się. Tok moich rozważań był następujący: ANTROPO rozumuje ogólnikowymi kategoriami. Zatoka, morze - to dla niego woda. Lód - to szczególne zjawisko. Logicznie lód to po prostu zamrożona woda. ANTROPO przedstawił go jako wodę. Bojer - to nieduża łódeczka na powierzchni wody - lodu. ANTROPO mówi o bojerze jak o łódce. Toros, na który wpadł bojer - to ów skalisty brzeg, na którym rzekomo miała zginąć Nina. Ale zakończenia nie przewidział, nie darmo się mylił dwadzieścia razy na sto: Nina ocalała, tylko potłukła sobie ramię. Spadł mi z serca podświadomy ciężar, poczułem się lekko i cała ta wyspa nazwana moim imieniem, zabudowana niepojętymi urządzeniami, wydała mi się nagle miła i przytulna.

- I oto jesteśmy na miejscu - powiedział Andriej.

Staliśmy przed parterowym domem z masy plastycznej, w którym mieszkał Andriej. Nie będę opisywał tego domu - wszyscy go dobrze znacie: jest tam teraz filia pośmiertnego Muzeum Andrieja Swietoczewa.

Weszliśmy do środka. Spotkała nas Nina. Bardzo wyładniała od tego czasu, kiedy się z nią rozstałem. To prawda, że była blada, ale i z tym było jej do twarzy. Ramię, widać, mocno ją bolało, ale trzymała się twardo. Przedstawiłem jej Nadię. Z zalem zauważyłem, że nie przypadły sobie do gustu. Nie żeby zaraz wynikła między nimi niechęć czy wrogość, nie, one po prostu nie znalazły ze sobą wspólnego języka. I nawet kiedy Nadia z pamięci podyktowała MUZ-ie poprawiony przeze mnie artykuł Andrieja, Nina się nie zachwyciła jej fenomenalną pamięcią. Nowa wersja artykułu podobała się i Ninie, i Andriejowi.

Po kolacji Nadia od razu poszła spać do przeznaczonych nam pokoi, Nina została w stołowym, a my z Andriejem zasiedliśmy w jego pracowni. Andriej przeglądał jakieś kreślenia i tabele, a ja - jego album ze znaczkami. Trwało to dosyć długo.

- Już lepiej idź spać powiedziałem Andriejowi. - Ranek bardziej sprzyja świeżości umysłu niż wieczór. I powiem ci takie stare przysłowie: "Czego się nie najesz, tego się nie naliziesz". Oczywiście nie trzeba tego rozumieć dosłownie.

- Jutro zabierz ten album ze sobą - powiedział Andriej. - Jeśli się cokolwiek ze mną zdarzy, weź go sobie. A jeżeli wszystko będzie dobrze, zwróć mi go. Wara od przywłaszczania!

- Dobra. Wezmę, niech tak będzie - odrzekłem. - I uczciwie zwrócę. Myślisz, że potrzebne mi te twoje ordynarne zwierzaczki!

- To mówi "portrecista"! Bij "portrecistów"! - Andriej poderwał się z fotela, schwycił z tapczana poduszkę i uderzył mnie w głowę. Złapałem drugą poduszkę - i zaczęła się kotłowanina, jak to się mówiło dawniej.

- Rozbrykaliście się jak dzieci! - z udaną surowością powiedziała Nina zajrzawszy do pracowni. - Cały dom się trzęsie.

- Nie przeszkadzaj, Nino, to jest bój między dobrem a złem! - krzyknął Andriej przyjmując mój kolejny cios poduszka i usiłując zadać mi rewanżowy.

Nagle ktoś zastukał do drzwi domu. Od razu domyśliłem się, że to jakiś mechanizm: Ludzie mieli prawo wchodzić bez pukania.

- Proszę - powiedział Andriej wyszedłszy do przedpokoju.

Drzwi się otwały i w kłębach mroźnej pary zjawił się URSUS.

- Pilna wiadomość - rzekł. - W super reaktorze Nr 3 odkryłem usterki typu alfa 321.

- Z tym proszę do EZOP-a *[* EZOP (Elektroniczny Zastępca Organizatora Produkcji) - dość dokładny w swoim czasie agregat, późniejszy EZOP-2.] - powiedział Andriej stanowczo. - Ile razy mam mówić, że problemy, których stopień ważności jest poniżej gradacji "W", mnie nie interesują!

- Tak jest. Idę do EZOP-a - beznamiętnie odrzekł URSUS i wyszedł starannie zamykając za sobą drzwi.

- Wyjątkowo bezsensowne są te URSUS-y - narzekał Andriej. Ciężko mi z nimi.

Kiedy się wreszcie uwolnimy od tej przedpotopowej techniki!

Nie upłynęła ani minuta, jak drzwi wejściowe znów się uchyliły i do przedpokoju wszedł drugi agregat. Był niewielki, wzrostu dziesięcioletniego dziecka, za jego plecami połyskiwały składane skrzydła.

- Czemu wszedłeś bez pukania? - spytałem go ostro. - Dużo tu, widać, dają wam swobody!

- Mnie pozwolono bez pukania - odrzekł z pewną urazą mechanizm i zwróciwszy się do Andrieja oznajmił: - Gromadzenie się substratu przebiega normalnie. W głównym korpusie, w węźle delta 117, odkryłem usterki typu A21.

- Już idę - odrzekł Andriej, a potem zwracając się do mnie dodał: - To EUROS *,[* EUROS (Elektroniczny Usprawniony Robot Opatrzony Skr[^]yd ami) - jeden z najbardziej doskonałych agregatów epoki przedakwalidowej. Dziś nie używany na Ziemi, lecz w zmienionej i udoskonalonej postaci, wykonany z akwalidu, pracuje na radioaktywnych płaskowyzach Marsa.] nowość naszej techniki. Ma pozwolenie wchodzić bez pukania. Nie chciałbyś obejrzeć głównego korpusu?

- Czemu nie, z przyjemnością - powiedziałem ochotczo, żeby sprawić radość Andriejowi.

- Pozwólcie mi iść z wami - rzekła Nina.

- Pochodzę, to może ramię przestanie boleć.

- Niezły sposób leczenia - mówiłem, narzucając Ninie na ramiona syntetyczne futerko.

- Medycyna na poziomie szamanów. Powinnaś po prostu wezwać lekarza.

Nina puściła mimo uszu moje słowa - to było w jej stylu.

Wyszliśmy z domu na mróz. Obrotowy projektor płonął na maszcie i cała wyspa była zalana czerwonym, niepokojącym światłem. Na przodzie milcząc kroczył dziwny agregat ze złożonymi skrzydłami. Czuło się w nim jakąś nieprzyjemną pewność siebie.

- Znamy dobrze drogę - powiedział mu Andriej - a w głównym korpusie trzeba włączyć światło.

EUROS lekko odbił się od ziemi, rozpostarł skrzydła i odleciał. Niebawem w głównym korpusie zajaśniały okna.

Kiedy weszliśmy do budynku, uderzyła mnie jego wielkość: na zewnątrz Główne Laboratorium nie wydawało się tak duże. Ogromna, jasno oświetlona sala biegła w dal. Po obu stronach przejścia stały jakieś dziwaczne maszyny i konstrukcje. Przy przyrządach, wpatrzone w tarcze cyfrowe, milcząco stały dyżurujące URSUS-y. W górze, pod przezroczystym dachem, gdzie przeplatały się tysiące kabli i rurociągów, bezgłośnie latały dwa EUROS-y.

Andrzej poszedł na odległy koniec sali i wkrótce straciłem go z oczu, zupełnie jakby się zagubił w tej zmechanizowanej przestrzeni. Nina podprowadziła mnie do pulpitu, na którym było mnóstwo kolorowych guzików; usiadłem w fotelu.

- Tu jutro będę pracowała - rzekła spokojnie. - Będę w określonym czasie naciskać guziki.

- A nie popłacze ci się? - spytałem.

- Nie, przecież jest schemat - i wyjęła z wyciąganej skrzyneczki wielką, naklejoną na tekturę, tablicę. - Tu jest wszystko pokazane. Nawet dziecko się nie omyli.

Rzeczywiście na tablicy były przedstawione te same guziki, co na pulpicie, i wskazany czas, kiedy należy wciskać każdy z nich.

- A co oznacza ten duży czerwony przycisk? - spytałem.

- To przycisk krytycznego spadku... Właśnie ten.

- I naciśniesz na niego?

- Nacisnę - uśmiechnęła się Nina.

- Wyglądasz na chorą - powiedziałem. - Bardzo cię boli ramię?

- Pobolewa - niechętnie przyznała się Nina. - Ale do jutra wszystko przejdzie.

- A jeśli nie przejdzie?

- Wtedy trzeba będzie wezwać ochotnika. Ale i tak zostanę na wyspie.

19. CZERWONY PRZYCISK

Rano obudziła mnie Nadia.

- Wstawaj i chodź na śniadanie! Ja już jadłam. Musimy przecież niedługo odjechać.

Wstałem i spojrzałem w okno. W ciągu nocy ociepliło się, padał śnieg. Na tle wysokiej jaskrawożółtej wieży osadnika był bardzo dobrze widoczny. Już świtało, ale niepokojący czerwony blask projektora obrotowego wciąż jeszcze rozświetlał wyspę mojego imienia. Było cicho.

Podczas śniadania uważnie przyglądałem się Ninie. Wydawała się zupełnie chora. Powiedziałem jej to wprost, ale ona zbyła moją uwagę milczeniem.

- Tak, trzeba będzie wezwać ochotników i wybrać spośród nich najbardziej odpowiedniego - mówił Andriej. - Wybrać takiego nie jest trudno, byleby to był człowiek o mocnych nerwach.

- A ja? - zwróciłem się do Andrieja.

- Co ty? - zdziwił się.

- Właśnie jestem takim człowiekiem. Co prawda nie znam się na technice, ale nerwy mam mocne.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to ryzykowne? - cicho spytał Andriej.

- Tak, zdaję sobie sprawę. Ale czemu kto inny ma ryzykować, a nie ja? Przecież najważniejsze jest, żebym właśnie ja podjął to ryzyko. Bądź co bądź - jesteśmy przyjaciółmi.

Andriej zamyślił się. Po chwili rzekł:

- Odpowiadasz mi bardziej niż ktokolwiek inny. Pulpity są dość daleko od siebie, a my obaj moglibyśmy prowadzić wymianę myśli. To jest wygodniejsze od łączności radiowej czy telewizyjnej.

- No więc wszystko się ułożyło - powiedziałem Ninie. - Możesz spokojnie lecieć do Leningradu razem z Nadią.

W tym momencie bez pukania otworzyły się drzwi i wszedł EUROS. Na jego skrzydłach lśnił śnieg. Śnieg topniał i ściekał na podłogę.

- Stawiłem się na rozkaz EZOP-a - powiedział agregat. - Pojemniki są wypełnione substratem. Za dwadzieścia trzy minuty trzeba koniecznie uruchomić system "A".

- Przyjąłem. Zrozumiałem - odrzekł Andriej.

EUROS wszedł zostawiwszy po sobie mokre ślady na podłodze.

“Nawet się nie otrzepał ze śniegu przed wejściem - pomyślałem. - Na ile jest wyspecjalizowany, na tyle rozpuszczony!” Poszedłem do naszego pokoju i powiedziałem Nadi, co postanowiłem. Usłyszawszy to Nadia zapłakała. Potem spytała:

- To ty wierzysz, że wszystko dobrze wypadnie?

- Prawdę mówiąc, nie bardzo - odrzekłem. - Andriej jest pechowcem. Na domiar złego miał już pechy małe, średnie i duże. Teraz prawdopodobnie czeka go ten największy, zupełna porażka. Ale kiedy przyjaciel jest w potrzebie, nie należy go opuszczać.

- Tak, masz rację - powiedziała Nadia przez łzy. - Ja jednak wierzę, że wszystko skończy się dobrze.

- Miejmy nadzieję - rzekłem. - Ale jeśli ze mną coś się stanie, postaraj się, żeby pracę nad STAW-em przejął godny następca. A co dotyczy korekty Antologii, to wszystkie nadzieje pokładam w tobie i twojej pamięci.

Wkrótce przybył lekkolot. Nadia odleciała nim sama. Nina odmówiła nie zważając na to, że jej obecność na wyspie mego imienia była teraz nie tylko niepotrzebna, a wręcz bezsensowna.

Kiedy Nadia usiadła w kabinie obok EOL-a, szepnąłem jej:

- Życz nam powodzenia...

- Połamcie sobie nogi! - zawołała Nadia.

- Wynoś się do diabła! - odkrzyknąłem.

Nina i Andriej popatrzyli na mnie ze zdziwieniem.

- To tak trzeba - wyjaśniłem im. - W tym przypadku to nie jest niegrzeczność, tylko coś w rodzaju zaklęcia...

Niebawem obaj z Andriejem poszliśmy do Głównego Laboratorium, a Nina do domu. Postanowiła położyć się. Wyglądała bardzo źle.

Za dziesięć dziesiąta siadłem przy drugim pulpicie. Andriej poszedł na przeciwległy koniec ogromnej sali, żeby zająć miejsce przy pierwszym.

O godzinie dziesiątej wdusiłem pierwszy przycisk. Był zielonego koloru. Cała sala wypełniła się głuchym, wibrującym buczeniem. URSUS-y, dyżurujące przy przyrządach, jak na komendę podniosły w górę swoje metalowe ręce na znak, że systemy funkcjonują normalnie. EUROS splanował spod szklanego dachu, gdzie splatały się niezliczone rurociągi i kable, i stanąwszy na sekundę przed pulpitem, rozpostarł skrzydła świecące zielonkawym światłem.

- Usterek w węzłach nie ma - oznajmił i znów wzbił się w górę.

Potem z okrągłego luku w podłodze wypełznął mechanizm, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie widziałem. Był długi, pokryty plastikową łuską i posuwał się jak żmija. Na ogonie miał haczyk. Płynnie podpełzł do podnóża mego pulpitu i podniósł głowę; zza metalowej siatki wokół głowy połyskiwało okrągłe zielone oko.

- Gospodarstwo podziemne funkcjonuje dobrze - zdał raport agregat-żmija. - Wpusty kabli elektroenergetycznych prawidłowe, kontakty grupy beta w porządku. Są polecenia?

- Skoro wszystko w porządku, to jakie mogą być polecenia? - odparowałem. - Możesz sobie pełznąć z powrotem.

Po ośmiu minutach od włączenia pierwszego guzika, zgodnie z leżącym przede mną schematem, nacisnąłem drugi, biały. Buczenie w sali przeszło w inną tonację. Za kryształową osłoną jakiegoś ogromnego agregatu, wmontowanego w podłogę niedaleko pulpitu, miały się niebieskie błyskawice.

W tym momencie usłyszałem sygnał myśli Andrieja.

- I co? - zainteresował się.

- Wszystko w porządku - odrzekłem. - W tej robocie rzeczywiście nie ma nic skomplikowanego. Nie jestem przeciw, ale czemu nie powierzyłeś tego zadania jakiemuś tam EUROS-owi czy URSUS-owi?

- Zadanie jest zbyt odpowiedzialne - odrzekł Andriej. - Co Człowiek, to Człowiek, a agregat jest tylko agregatem.

- Niezupełnie rozumiem potrzeby dublowania - powiedziałem. - Przecież masz identycznie taki sam pulpit jak ja. Tylko nie pomyśl, że chcę stąd iść sobie na cztery wiatry, jak to się dawniej mówiło. Po prostu dziwię się temu. A może to asekuranctwo z twojej strony? Było kiedyś takie pojęcie...

- Nie asekuranctwo, tylko strach - odrzekł Andriej. - Proces przekształcania, jak już mówiłem, trwa czterdzieści pięć godzin i trzydzieści dziewięć minut. W ciągu tego czasu któryś z nas może poczuć zmęczenie, zrobić jakiś błąd przez nieuwagę. Kiedy jest nas dwóch, błąd jest prawie wykluczony.

- To prawda, co dwie głowy to nie jedna - zgodziłem się. - Powiedz mi, jak się nazywa agregat-żmija, który przypełzał do mnie?

- SERPENT* - odrzekł Andriej. - To wszystko?

[* SERPENT (Specjalistyczny Elektroniczny Robot Podziemny Eliminujący Niedokładności Techniczne) - stary agregat, dawno już wycofany z produkcji.]

- Wszystko. Stop.

O godzinie dziesiątej dwadzieścia siedem naciśnąłem trzeci, niebieski guzik. O dziesiątej czterdzieści dziewięć - żółty. O jedenastej zero cztery - jakiś w paseczki. Wszystko szło jak po maśle - jak mówi stare przysłowie. Pomiedzy kolejnymi naciśnięciami przerwy trwały czasem tylko sześć do ośmiu minut, ale były i czterdziestominutowe, i nawet godzina i dziesięć minut. Podczas jednej z takich dłuższych przerw zdążyłem pójść do łazienki i wziąć tusz, podczas innej - zjeść z Andriejem obiad. Ponadto raz po raz do pulpitu przychodził SATTAS z kanapkami i gorącą herbatą. Niekiedy wymienialiśmy z Andriejem myśli, pokrzepiając się wzajemnie na duchu. Tak minął dzień i tak minęła noc.

- Przetrzyliśmy dobę, witam cię! - powiedział Andriej o dziesiątej rano.

- "Dobry początek - połowa roboty" odrzekłem przysłowiem. - Jak się czujesz?

- Dobrze. A ty?

- Też dobrze. A co z Niną?

- Przed chwilą rozmawiałem z nią wideofonicznie. Leży. Prawdopodobnie nie tylko potłukła się, ale i przeziębła się.

- Wyślij ją, póki jeszcze czas, na ląd - doradziłem przyjaźnie.

- Czyż ona posłucha! - odrzekł Andriej. - Przecież ją znasz... Wszystko?

- Tak. Przekazywanie skończone.

Minął znów dzień i nadeszła druga noc naszego czuwania. Było już mnóstwo wciśniętych guzików najróżniejszych kolorów i odcieni. O godzinie drugiej pięć w nocy wdusiłem czarny guzik. Następny był czerwony, ten, od którego wiele zależało. Miał być wciśnięty w dwadzieścia pięć minut po czarnym.

- I jak? - przekazał mi Andriej. - Jak się czujesz? Nie boisz się?

- Boję się - odrzekłem. - Ale co robić...

- Ja też się boję - rzekł Andriej. - Życzę szczęścia. Masz coś jeszcze do powiedzenia?

- Nic. Stop.

Nawet nie słyszałem, jak do pulpitu podeszła Nina. Była blada, ale nawet z tą bladością było jej dobrze. Dziwna rzecz - ze wszystkim jej było do twarzy.

- Chcę popatrzeć, jak wam tu idzie - powiedziała i lekkim ruchem zrzuciła syntetyczne futerko z ramion i położyła na barierce przed pulpitem.

- Wybrałaś akurat odpowiedni moment - zauważyłem nie bez ironii. - I jaką strojną masz na sobie suknię! Zupełnie jak na bal!

- Z trudem ją włożyłam, tak mnie boli ramię - uśmiechnęła się Nina. - Tak czy inaczej to będzie uroczyste wydarzenie. A u ciebie tu wszystko dobrze?

- Jak należy.

- I smok żelazny przypełzał?

- Masz na myśli SERPENT-a? Przypełzał.

- Jest bardzo śmieszny. Raz przyczepiłam mu papierek do ogona i tak popełznął z nim do swego podziemia.

- To brzydko naigrawać się z mechanizmów - poczyniłem uwagę. - Mechanizmy służą Społeczeństwu.

- Wciąż jesteś taki sam.

- Już jaki jestem, taki jestem - odrzekłem.

- Do widzenia - Nina przechyliła się przez barierkę i spiesznie pocałowała mnie. -

Bądź zdrow!

Potem poszła po błękitnych płytach podłogi na drugi koniec sali do Andrieja. Lekkim krokiem, w jasnopomarańczowej sukni, mijała URSUS-y czuwające przy niepojętych dla mnie przyrządach, przechodziła wśród tego diabelnego nagromadzenia techniki, wśród tego wszystkiego, co za kilkanaście minut mogło nas pozabijać.

Nadszedł wreszcie czas na wduszenie czerwonego przycisku. Położyłem na nim palec i pomyślałem: "Co za chwilę będę czuł? Pewnie już nic. Wszystko stanie się w okamgnieniu. W takich przypadkach ludzie przypominają sobie po raz ostatni kogoś czy coś. O czym ja powinienem pomyśleć - o Nadi i Antologii?" Nacisnąłem na czerwony guzik i przez ułamek sekundy wspomniałem Ninę. Oto stoi nad niewysokim piaszczystym urwiskiem odbijając się w cichej wodzie jeziora...

20. AKWALID - JEST!

Guzik został przeze mnie wciśnięty w gniazdko do oporu. Ale nic się nie wydarzyło. Tylko szum w sali stał się głośniejszy. Szedł falami, to się wznagał, to zamierał. Zdawało się, że wszystkie te niezliczone agregaty z trudem, ciężko dysząc, pną się gdzieś pod górę. URSUS-y, dyżurujące przy przyrządach, podniosły jak na komendę swoje metalowe ręce - na znak, że wszystko przebiega normalnie. Spod szklanego sufitu zleciał EUROS i złożył raport.

- Zespoły systemu omikron-2 zaczęły działać. Usterek nie ma.

Potem EUROS wzbil się w górę, a z luku wypełzła żmija i oświadczyła, że gospodarstwo podziemne funkcjonuje dobrze. Połączyłem się z Andriejem drogą przekazywania myśli i pogratulowałem mu, że niebezpieczeństwo szczęśliwie minęło.

- Tak, teraz wszystko jest jasne - odrzekł. - Akwalid będzie. Bardzo się zmęczyłeś?

- Wytrzymam. Przecież pozostały jeszcze tylko cztery godziny - powiedziałem.

Po jakimś czasie, zgodnie z wykresem, wcisnąłem ciemnoniebieski guzik, potem błękitny. I tak o godzinie siódmej trzydzieści dziewięć rano został wduszony ostatni - biały z zielonym wykrzyknikiem. Wtedy rzuciłem się na oparcie fotela i zdrzemnąłem się przy akompaniamencie niegłośnego szumu agregatów - ten szum był teraz jednostajny, usypiający. A potem poprzez sen rozróżniłem jakieś zupełnie nowe dźwięki. Gdzieś daleko, pośrodku sali, coś spadało w równych odstępach czasu - spadało z jakimś ni to metalicznym, ni to szklanym odgłosem. I nagle poczułem, że ktoś dotknął mego ramienia. Otworzyłem oczy. Przede mną stała Nina.

- Zbudź się, śpiochu - powiedziała. - Akwalid jest!

- Co jest? Gdzie jest? - nie zrozumiałem, wyrwany nagle ze snu.

- Ach, chodźmy już! Co za dziwak! Rozbudziłem się na dobre, spojrzałem na Ninę i dostrzegłem łzy w jej oczach.

- I znowu coś nie tak? - spytałem. - Płaczesz...

- Ach, nie, wszystko jest cudownie! Tak się cieszę, że Andriejowi się powiodło! A tu nawet zapłakać nie można...

- Zapłakać to trzeba było wcześniej - zauważyłem. - Jakies cztery godziny temu. - Wstałem z fotela i poszedłem za nią.

Długo szliśmy przez salę, potem skręciliśmy w jakiś zakątek. Tu pod ścianą zauważyłem dziwnie zmienione URSUS-y, jakby spały na stojąco. Ze złożonymi skrzydłami, przytulone do potężnych URSUS-ów niczym małe dzieci, spały EUROS-y. U ich stóp leżały bez ruchu, z pogasłymi soczewkami, SERPENT-y.

- Śpiąca rodzinka - powiedziała wesoło Nina i przechodząc koło EUROS-a, dała mu pstryczka w samo czoło. Chciałem jej zwrócić uwagę i przypomnieć, że mechanizmy to sługi Społeczeństwa i trzeba je szanować, ale zmilczałem to. Wiedziałem, że się tylko roześmieje w odpowiedzi. Taka już była.

Szliśmy w kierunku tych rytmicznych dźwięków z odgłosem spadania, które słyszałem poprzez sen przy pulpicie. Dźwięki te wciąż się przybliżały. Skręciliśmy w jakiś korytarz pomiędzy maszynami i tam zobaczyłem Andrieja. Jakby skurczył się, oczy mu wpadły. Wyglądał jak wariat. Stał przed niewielkim agregatem, z którego kwadratowej paszczy spadały z dźwiękiem do metalowej skrzynki jakieś podobne do lodu cegielki.

Jedną taką cegielkę miał Andriej i przerzucał ją z ręki do ręki, jakby się bał odmrozić sobie palce. Przemknęło mi przez głowę, że wszystko to jest jedną wielką omyłką, że zamiast sławetnego akwalidu Andriej otrzymał najzwyklejszy lód. Bojąc się wypowiedzieć głośno tę myśl, pochyliłem się i schwyciłem taką samą oselkę. Ale natychmiast ją upuściłem. Oselka przypiekła mi palce. Upadła ciężko z głuchym dźwiękiem na podłogę i nie stukła się.

- Proszę, weź moją, już przestygła - powiedział Andriej i wsunął mi w rękę swoją cegielkę.

Ważylem ją w dłoni - była dość ciężka. Potem obejrzałem ją ze wszystkich stron. To było podobne i do bryłki lodu, i do półprzezroczystego metalu, i do szkła, a w ogóle to mówiąc szczerze - do niczego nie było podobne.

- To znaczy, że to jest właśnie akwalid? - spytałem.

- Tak, to jest akwalid gradacji "A" - Można otrzymać różne postacie o innych właściwościach. Ale na razie będziemy ten poddawać doświadczeniom. Zaraz pójdziemy do KAIN-a*.[* KAIN (Katastroficzny Agregat Inhibitor Nadziei) - bardzo przydatny w swoim czasie agregat, stracił zastosowanie z chwilą odkrycia akwalidu. Dziś eksponowany w pośmiertnym Muzeum Andrieja Swietoczewa.] Do niego teraz należy ostatnie słowo.

Krytym przejściem skierowaliśmy się do sąsiedniego budynku. Ściany tego przejścia były przezroczyste. Widać było przez nie zasypane śnieżne. Kładło się na nich teraz zielone światło projektora obrotowego - stan zagrożenia minął.

Weszliśmy do hali, pośrodku której stał ogromny agregat. Sięgał daleko w głąb hali, dla nas widoczna była tylko jego przednia strona z dwiema wielkimi okrągłymi tarczami cyfrowymi. Nad nimi białął teleekran, a w dole czerniał kwadratowy otwór. Wszystko to przypominało twarz jakiegoś złego potwora.

- KAIN nie będzie szczędzić sił - powiedział Andriej i wrzucił oselkę akwalidu w kwadratową paszczę agregatu. Ten głucho zawarczał, potem zawył; poczułem, jak podłoga

drży pod moimi nogami. Dwie tarcze zapłonęły czerwonym ogniem. Na teleekranie widać było, co się dzieje z akwalidem w czeluści KAIN-a.

Na oselkę spadły stalowe młoty, próbowały wrazić się w nią diamentowe wiertła, chwytaly ją kleszcze z najtwardszych stopów. KAIN to rozpalał ją, to znów wrzucał w płynne gazy, oziębione prawie do absolutnego zera. Zanurzał oselkę w kwasach i zasadach, wciskał do kamery wybuchowej, poddawał niszczyielskiemu promieniowaniu. Strzałka na prawej tarczy zegarowej, wskazująca siłę próby, cały czas drgała na czerwonej kresce. Strzałka zaś zegara, wskazującego stopień uszkodzenia materiału, jak przedtem stała na białej kresce, nie przesuwał się ani o mikron.

Próba trwała długo. W końcu KAIN zawył jakby ze złości na swoją bezsilność i zamilkł. Z jego paszczy na podłogę wypadła oselka. Andriej podniósł ją. Akwalid był identycznie taki sam jak przed próbą. Nie było na nim nawet jednej skazy.

- Teraz można przekazać na ląd wiadomość, że akwalid jest - powiedział Andriej.

Po tym wszystkim poszliśmy do stołówki znajdującej się w centrum wyspy mego imienia. Usiedliśmy w trójkę przy stoliku w ogromnej pustej sali. Było tu tak cicho, iż na skutek zmęczenia i niezwykłości tego wszystkiego, co się działo, nagle wydało mi się, że śnię. Miałem ochotę uszczypnąć siebie, żeby obudzić się, ocknąć wreszcie w swoim gabinecie, gdzie leżą na biurku rękopisy i notatki do STAW-u, a na półkach stoją rzędy znajomych książek. Ale do stolika podszedł właśnie SATIAS i czekał na zamówienie, i wtedy się przekonałem, że to wszystko jest jawą.

- Może byśmy wypili szampana? - powiedział Andriej. - Co jak co, ale na butelkę szampana tośmy zasłużyli.

- Zaraz przedłożę życzenie SASOF-owi - powiedział SATIAS.

Odszedł, a ja napomknąłem Andriejowi, że tak to można się stać Człopijwinem; jeden raz szampan, drugi raz szampan...

- Drugiego takiego razu nie będzie - odrzekł Andriej. - Akwalid już jest, więcej nie mam czego szukać... - W jego głowie posłyszałem ukryty smutek, jakby mu było żal, że wszystko już dokonane.

Do stolika podszedł SATIAS z kielichami i owocami. Tuż za nim kroczył ciężki SASOF niosąc uroczyście butelkę szampana. Sam otworzył ją i nalał wina do naszych kielichów. Wznieśliśmy je i lekko uderzyliśmy jeden o drugi ("stuknęliśmy się" - jak to się dawniej mówiło), a potem wypiliśmy.

Kiedyśmy opuścili stołówkę, pożegnałem się z Niną i Andriejem i wezwałem lekkolot. Wiedziałem, że nie mam tu nic więcej do roboty, zaraz napłyną dziennikarze, korespondenci, uczeni. Rozprawiać z nimi to rzecz Andrieja. Było już całkiem jasno i widziałem lecąc do Leningradu, jak cała droga na wyspę była zawałona samochodami. Tłumy ludzi, niosąc powitalne plakaty, ciągnęły na Wyspę Matwieja, grzęzły w głębokim śniegu, lecz z uporem posuwały się naprzód. Takiego mnóstwa ludzi nigdy jeszcze nie widziałem.

Gdy wróciłem do domu, zapadłem w sen i przespałem czternaście godzin.

21. STATEK OPUSZCZA FLAGĘ

W ciągu następnych miesięcy, aż do lipca, z wyęczeniem pracowałem nad nowym dziełem historyczno-badawczym: Fantaści XX wieku w świetle współczesnych poglądów etycznych. Moi Czytelnicy, zaznajomiwszy, się w konsekwencji z tą znaczącą (śmiem sądzić - nie tylko ze względu na objętość) książką, ledwie by uwierzyli, gdybym im powiedział, że tę monumentalną pracę badawczą wykonałem w tak krótkim czasie.

Całkowicie pogrążony w pracy:, przez te wszystkie miesiące ani razu nie mogłem odwiedzić Andrieja na wyspie mego imienia. Ale doskonale wiedziałem, że mój przyjaciel jest żywy i zdrowy. Wystarczyło włączyć telewizor lub otworzyć gazetę - a od razu można było natknąć się na jego imię. Epoka akwalidu już się zaczęła. Na całym świecie powstawały zakłady produkujące Wszechmaterial i Andriej pracował teraz nad uproszczeniem procesu technologicznego.

Razu jednego, odbywając spacer, oboje z Nadią zatrzymaliśmy się pod pomnikiem twórcy Teorii Nieosiągalności - Nilsa Indeströma. Pomnik wznosił się wciąż taki sam ponury, tylko miedziana tablica z formułą Prawa była zdjęta z piedestału, jako że Prawo to zostało obalone przez Swietoczewa. Pomnik ten stoi taki do dziś.

Do szkół i instytutów wprowadzono program z dziedziny akwalidoznawstwa. Kurczył się przemysł metalurgiczny. Otwierano masowe kursy w celu przekwalifikowania metalowców, chemików, budowniczych, technologów drewna i wielu, wielu innych specjalistów. Na szczęście ja nie musiałem zmieniać swojego zawodu. W końcu czerwca wyszła z druku moja Antologia zapomnianych poetów XX wieku. Z żalem muszę powiedzieć, że nie spotkała się z zasłużonym przyjęciem. Wiele czasopism zdawało się jej w ogóle nie zauważać, a w innych ukazały się nieduże artykuliki, których w żaden sposób nie można było zaliczyć do obiektywnych i przychylnych. Ich autorzy z energią godną lepszej sprawy zarzucali mi wąskość spojrzenia i jednostronny dobór materiałów, i że jakobym zubożył poezję XX wieku. Ale tak czy siak Antologia wyszła w świat i byłem zupełnie zadowolony z tego wielkiego wydarzenia, pozostawiwszy sumieniu Krytyki jej niegodną napaść na moje kapitalne dzieło.

W przededniu pamiętnego i smutnego wydarzenia, o którym opowiem w tym rozdziale, Andriej połączył się ze mną myślami i zaprosił na następny dzień do siebie na wyspę mego imienia. Oznajmił, że będą prowadzone próby podwodnego tuneloukładacza. Nie chcąc zasmucać przyjaciela swoją nieobecnością, zgodziłem się przyjechać, choć droga mi była każda godzina.

Nazajutrz, wstawszy wcześniej, nie żałowałem, że przyjąłem zaproszenie Andrieja. Pogoda była przepiękna, na niebie ani jednej chmurki. Pożegnałem się z Nadią (tego dnia nie mogła mnie odprowadzić) i zabrawszy teczkę z egzemplarzem Antologii zadedykowanej Ninie i Andriejowi, skierowałem się na brzeg, który był na wyciągnięcie ręki od naszego domu. Tu zszedłem na pomost przystani dla łodzi, wybrałem sobie błękitną elektromotorówkę i zacząłem ją odcumowywać.

Natychmiast zbliżył się do mnie dyżurny SAMSON *.[* SAMSON (Specjalistyczny Agregat Meteorologicznej Służby, Obowiązkowy Niezawodnie) - stary mechanizm, uważany za nieprecyzyjny już w młodości Autora.] Zabuczał ostrzegająco, podniósł prawe ramię i na jego metalowej dłoni zapalił się czerwony ognek. To był znak zakazu. Drugą ręką SAMSON wskazał na brzeg, dokładnie - na kabinę, gdzie znajdowała się elektroniczna mapa pogody. Spojrzałem na niebo aż po horyzont. Nigdzie ani jednej chmurki! Doszedłszy do wniosku, że SAMSON się omylił, odczepiłem łódź i wsiadłem do niej.

Mój Szanowny Czytelniku! Nikt nigdy nie mógłby mi zarzucić naruszania jakichkolwiek reguł i do wszystkich mechanizmów zawsze odnosiłem się z należnym poważaniem, pamiętając, że służą one Społeczeństwu. Ale z tym SAMSON-em Nr 871 miałem osobiste porachunki. Jeszcze za czasów mego dzieciństwa SAMSON Nr 871 nie jeden raz popsuł mi humor zabraniając wsiadać do łodzi przy najmniejszej fali na morzu. Już wtedy ten agregat był stary i bezsensowny, i nawet nie posiadał zwykłego daru mowy. Teraz na dodatek zaczął ślepnąć i często dorosłego brał za dziecko. Dlatego postanowiłem zlekceważyć jego sygnały i włączywszy silnik odbiłem od brzegu.

Ujrzawszy, że go nie posłuchałem, SAMSON biegał po pomoście, buczał na trwogę, wciąż podnosząc rękę z czerwonym ognikiem i wskazując na budkę z mapą meteorologiczną. Ale za nic w świecie nie chciałem, żeby mój wolny dzień, jedyny od kilku miesięcy, był zepsuty z powodu starczej przekory, a możliwe, że i z osobistej nieżyczliwości dla mnie tego SAMSON-a Nr 871. Odpływałem od niego wciąż dalej i dalej na zatokę i wziąłem kurs na wyspę mego imienia.

Morze przede mną leżało gładkie, jak wypolerowane, bez jednej zmarszczki i zupełnie puste. Nie zauważyłem nawet jednego statku ani w pobliżu, ani na horyzoncie. Nie przypisywałem temu żadnego znaczenia, całkowicie pochłonięty swoimi myślami. A należało na to zwrócić uwagę!

Kiedy zbliżałem się do wyspy, zadał lekki wiaterek południowo-zachodni. Wydało mi się to nawet przyjemne, bo zbyt gorąco było do tej pory. Przywiązałem łódź i zstąpiłem na

wyspę mego imienia. Zdziwiło mnie, że jest zupełnie bezлюдna. Zatrzymałem przechodzącego URSUS-a i spytałem, gdzie się podzieli wszyscy ludzie.

- Wszyscy są na próbie, wszyscy są na próbie - odrzekł URSUS.

Zacząłem wypytywać, gdzie się odbywa ta próba, lecz ten ograniczony dryblas wciąż tylko sypał jakimis terminami, a sensownie nie potrafił nic wyjaśnić. Odprawiłem go i zwabiłem ku sobie przelatującego EUROS-a - wiedziałem, że te są mądrzejsze. Rzeczywiście EUROS zniżył się, złożył skrzydła i stanął przede mną jak źdźbło przed trawą - jak to mawiali nasi pradziadowie. Dość sensownie poinformował, że wszyscy ludzie udali się na Pole Doświadczalne, gdzie niebawem zostanie poddany próbie NEPTUN *[* NEPTUN (Nowoczesny Elektroniczny Podwodny Tunelo-Układacz Naukowszkoleniowy) - pierwszy agregat tego typu, wykonany z Wszechmateriału. Dziś znajduje się w Muzeum Andrieja Swietoczewa.] skonstruowany z akwalidu.

W obawie przed zabłąkaniem się wśród tych wszystkich korpusów, wież i innych niepojętych konstrukcji, poprosiłem EUROS-a, żeby wskazał mi drogę, co ten uczynił. Poleciał przede mną i po jakimś czasie znalazłem się na wielkim niebrukowanym placu na terenie wydartym morzu, tuż za budynkiem Głównego Laboratorium. Na placu tłoczyli się ludzie, a pośrodku stał zielonkawy potwór z piętnaście metrów długi i wysoki ze cztery.

- Czy to jest właśnie ten przesławny NEPTUN? - spytałem jakiegoś człowieka.

- Tak, to jest NEPTUN.

Wtedy podziękowałem EUROS-owi za uprzejmość i pozwoliłem mu wrócić do obowiązków, a sam, lawirując pomiędzy widzami, podszedłem trochę bliżej do NEPTUN-a.

Agregat przypominał gigantyczną jaszczurkę, tylko bez nóg. Był zrobiony z akwalidu. Całe ciało tego straszyciła było usiane malutkimi okrągłymi otworkami, a w dole, koło samego brzucha, było coś, co przypominało skrzela. Tułów był zakończony gibkim płaskim ogonem na rolkach. Tu na ogonie znajdował się nieduży pulpit z przyciskami, tarczami cyfrowymi jakichś przyrządów i wszelkimi innymi mądrościami techniki, a dalej biegło kilka rzędów siedzeń - coś w rodzaju ławeczek na trzy osoby każda. Ogólnie rzecz biorąc, NEPTUN wywarł na mnie wrażenie. Oczywiście, dzisiejsze agregaty podwodne są o wiele większe, ale przecież to był pierwszy agregat takiego typu.

Wkrótce zobaczyłem Andrieja. W asyście naukowców i dziennikarzy wyszedł z naprzeciwległej strony NEPTUN-a i zbliżył się do pulpitu, coś wyjaśniając swoim towarzyszom. Twarze wielu spośród tych ludzi były mi dobrze znane z książek, gazet, czasopism i telewizji. Znajdowali się tu wszyscy luminarze nauki naszej Planety, a także kilku

znamienitych Kosmonautów; przyczyna ich zainteresowania tym podwodnym potworem, przyznać muszę, nie była wtedy dla mnie w pełni zrozumiała.

Zjawienie się Andrieja wywołało powitalne okrzyki, ciżba obserwatorów zakotłowała się i tak się jakoś stało, że znalazłem się w pierwszym rzędzie. W tym momencie Andriej, oderwawszy wzrok od pulpitu, wyprostował się i spojrzał na obserwatorów, i wtedy nasze oczy się spotkały. Wyszedłszy z kręgu luminarzy nauki podbiegł do mnie, złapał za rękę i podprowadził do NEPTUN-a. Tu przedstawił mi swoich kolegów, a potem pociągnął do pulpitu.

- Jesteś w samą porę - rzekł. - Zaraz znajdziesz się pod wodą i nie zmokniesz. Będziemy wypróbowywać agregat. A co masz w teczce?

Powiedziałem, że w teczce mam egzemplarz Antologii z dedykacją. Ale chciałbym ją wręczyć im obojgu jednocześnie i spytałem, gdzie jest Nina.

- Pół godziny temu odjechała na wysepkę Nr 7 sprawdzić zapisy na przyrządach.

- Kiedy wróci?

- Może za półtorej godziny. Specjalnie ją tam posłałem. Chciała trochę popływać łódką dokoła naszej wyspy, więc powiedziałem: "Skoro masz pływać dokoła, to lepiej jedź na wysepkę Nr 7 i odnotuj dane".

- Czy tam są jakieś poważne przyrządy? - spytałem.

- Ach, nie, po prostu Nina jest znużona gośćmi. Niech sobie trochę od nich odpocznie, pobędzie dłużej na morzu. Goście nas zamęczają.

- Czy nie była ciekawa próby z NEPTUN-em? A może jest niebezpieczna?

- Zupełnie bezpieczna. A próbę już oglądała. Przeprowadziliśmy ją wcześniej, bez rozgłosu. Dziś będzie pokazowa, dla wszystkich.

Tymczasem lekki wiaterek, ledwie odczuwalny, kiedy lądowałem na wyspie mego imienia, stał się silniejszy. Z południowego zachodu nadciągnęła chmura. Jakiś dręczący niepokój zakradł się do mojej duszy.

- Na jakiej łodzi popłynęła Nina? - spytałem.

Andriej zdziwiony spojrzał na mnie, nie pojmując pozornego bezsensu mojego pytania. Po chwili powiedział:

- Zawsze pływa tą elektromotorówką, która stoi przy pomoście za naszym domem. Taka czerwona. Bo co?

- Łódź ma nazwę czy tylko numer?

- Ma nazwę. "Jutrzenka". Ale czemu pytasz o to? - w głosie Andrieja zabrzmiał niepokój.

A w mojej pamięci już błąkała się strofa bardzo dawnego, ale wiecznie żywego Poety:

“...a kiedy Eos różanopalca.....a kiedy Eos różanopalca...” Czemu mnie tak straszy to imię Eos? Przecież łódź Niny nazywa się “Jutrzenka”. No tak, Eos w starogreckim znaczy zorza poranna, czyli jutrzeńka!... ANTROPO w swojej przepowiedni pokazał czerwoną łódź, na której burcie widniał napis “Eos”...

- Andriej! Biegnijmy do kutra ratunkowego! Odwołaj próbę z NEPTUNEM!

Andriej zbladł. Widocznie moje zdenerwowanie udzieliło się jemu i też zaczął się lękać o Ninę.

- Proszę ogłosić, że próba NEPTUNA jest odwołana - cicho powiedział Laborantowi.

Pobiegliśmy do przystani. Tu dyżurny SAMSON Nr 223 podniósł rękę z czerwonym płomykiem na dłoni i nie chciał nas puścić na kukuter ratunkowy.

Ale nic sobie nie robiliśmy z zakazów SAMSON-a. Odbiliśmy od brzegu, włączyliśmy silnik na pełne obroty, i obraliśmy kurs na wysepkę Nr 7.

- O, tu zazwyczaj stoi “Jutrzenka”, na tej tu przystani - powiedział Andriej i wskazał na małe pomost niedaleko domu. Nie dyżuruje tam SAMSON, inaczej Nina by nie pojechała...

Tymczasem wiatr wciąż się wzmacniał. Zatokę pokryły fale. Już się na nich pojawiły białe grzebienie. Chmury powlekły całe niebo. Zrobiło się ciemno.

- Sam posłałem Ninę na spotkanie burzy - powiedział nagle Andriej. - Kiedy radziłem jej, żeby pojechała na wysepkę Nr 7, siedziałem przy biurku, a za plecami miałem elektroniczną mapę pogody. Nawet się nie obróciłem, i nie spojrzałem, jakiej pogody można się spodziewać na najbliższe godziny. Niebo od rana było takie jasne.

Niestety, niebo przestało być jasne. Hulał wiatr coraz większy. Na morzu szalały już nie fale, a wały wodne. Kutrem rzucało, zarywał się dziobem w wodę, woda chlustała, przelewając się przez nadburcie, na pokład. Krople deszczu i bryzgi wody siekły poziomo wprost w twarz, kłuły w policzki.

- Wezwę ALBATROS-y*[* ALBATROS (Aerolot Linii Bezpieczeństwa Ambitnie Tonących Ratujący Od Śmierci)-bardzo wytrzymały samolot, dużej mocy i możliwości manewrowych jak na tamte czasy.] powiedział Andriej. - Niech lecą do wysepki. - I korzystając z Przynależności Osobistej, wezwał dyspozytornię PSR *[* PSR - Powietrzne Siły Ratunkowe, działają do dziś na bazie unowocześnionej techniki.] i podał współrzędne. Dyspozytor PSR odpowiedział, że ALBATROS-y już wyruszają na poszukiwanie. I dodał, że natychmiast połączy się ze szwedzkimi i fińskimi PSR.

- Czemu Nina sama nie skorzystała do tej pory z Przyrzędu Osobistego i nie wezwała pomocy? - spytałem. - Może siedzi teraz na wysepce i bezpiecznie czeka, aż burza się uspokoi?

Ten jej przyrząd zawsze gdzieś się poniewierał na biurku - odrzekł Andriej. - I tym razem też go pewnie nie zabrała.

“Co godzina to nowina” - pomyślałem i nagle zauważyłem, że wciąż jeszcze trzymam w ręce teczkę z Antologią. Więc otworzyłem luk pomieszczenia kuchennego i wrzuciłem tam zmoczoną teczkę. “Czy będę mógł wręczyć Ninie tę książkę?” - pomyślałem z lękiem.

- A gdzie mieszka “sobowtór” Niny w łączności myślowej? - zapytałem. - Jak sobie przypominam, ta jej koleżanka była z Leningradu.

- Dawno już wyszła za mąż za marynarza i wyprowadziła się do Władywostoku - odrzekł Andriej.

- Wszystko się sprzysięgło... wszystko - szepnąłem cicho.

Wkrótce doniósł się warkot z nieba, słyhać go było mimo wycia wiatru sztormowego. Potem zobaczyliśmy pięć ALBATROS-ów. Leciały od strony Leningradu. Były to znakomite maszyny Drugiej Eskadry Bałtyckiej PSR. To zanurzały się w chmurach, to opadały, niemal muskając skrzydłami potężne fale. Swoimi sylwetkami ALBATROS-y przypominały “jastrząbki”, samoloty myśliwskie z filmów historycznych. Oczywiście tylko zewnętrznie, gdyż ALBATROS-y były wybitnie nowoczesnymi maszynami powietrznymi o dużych możliwościach manewrowania. Urządzenie sterownicze było podwójne. Obok EOL-a siedział Pilot-Człowiek. Jeśli Pilot wypadł z szeregu, EOL przejmował ster. ALBATROS-y niekiedy ginęły, stopień zagrożenia Pilotów PSR był o wiele większy niż Kosmonautów. Ale o miejsce każdego straconego Pilota natychmiast ubiegały się tysiące innych młodych ludzi. Na Pilotów PSR chętnie przyjmowano Kosmonautów zwolnionych za nadmierne lekceważenie niebezpieczeństwa. Przesadna bowiem odwaga na ALBATROS-ach nikomu nie zagrażała śmiercią oprócz samego Pilota, ale za to on, ryzykując własne życie, mógł uratować czyjeś. Piloci i cały skład osobowy PSR mieli swój sztandar i odzież przypominającą mundury lotników wojskowych z XX wieku.

Kiedy przeleciały nad nami ALBATROS-y i znikły w oddali, poczułem w sercu spokój. Ale teraz sami z Andriejem znaleźliśmy się w opałach. Sztorm rósł, rzucało nami i szastało, wolno posuwaliśmy się do przodu - nawet nie wypłynęliśmy jeszcze z farwateru. Nagle ogromna fala porwała nasz kuter i rzuciła go wprost burtą na boję. Straciliśmy szybkość. Poczuliśmy, że łódź przechyliła się niebezpiecznie na prawą burtę. Otworzywszy luk wszedłem do ładowni. Było tam dużo wody.

- Za pół godziny pójdziemy na dno - powiedziałem Andriejowi. - Może wezwiemy ALBATROS-y?

- Tam są bardziej potrzebne - odparł Andriej. - Silnik przecież pracuje normalnie. Jakoś przetrzymamy.

Poszedłem do pomieszczenia kuchennego. Wody tam było po kolana, pływała w niej moja teczka. "Przepadła książka" pomyślałem, ale choć to może dziwne, nawet nie poczułem z tego powodu większego żalu. Otworzyłem szafkę ścienną, wyjąłem dwa pasy ratunkowe i wyniosłem je na pokład. Jeden pas dałem Andriejowi, drugi położyłem obok siebie.

- Po co? - spytał Andriej.

- Stanie się coś, i pójdziesz na dno jak worek piasku - zażartowałem, żeby poprawić humor przyjaciela.

Ale mój niezbyt delikatny żart nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Andriej jakby go nie słyszał.

- Widzę coś przed nami - powiedział nagle. - Zdaje się, że to statek.

Spojrzałem. Starałem się przeniknąć wzrokiem deszcz i bryzgi piany i wkrótce wypatrzyłem zarys żaglowca.

- Wygląda na statek żaglowy - powiedziałem. - Ale co robi na morzu w czasie sztormu? Wszystkie statki stoją teraz w porcie, a tym bardziej żaglowce powinny.

Wyszliśmy już z farwateru i płynęliśmy otwartym morzem. Żaglowiec trzymał kurs w poprzek naszej drogi. Jego czarny korpus błyszczał wilgotno, ostry dziób z siłą pruł fale. To był ogromny trzymasztowy kliper. Powiewała nad nim holenderska bandera. Kliper płynął pod niepełnymi żaglami, ale jakież wariat postawiłby wszystkie żagle w taki sztorm! Wkrótce statek zwinął jeszcze część ożaglowania i zwolniwszy stanął z nawietrznej strony. Na pokładzie nie było nikogo. Potem ukazał się na nim MARS *[* MARS (Marynarz-Agregat Regularnej Służby) - nieskomplikowany, ale wystarczająco dobrze skonstruowany agregat XXII w.] Przechyliwszy się przez fałszburtę spuścił sztorm trap i zawołał:

- Zagrożeni! Zbliżcie się!

Zasłonięci cielskiem żaglowca, podprowadziliśmy kuter do jego burty i po sztormtrapie wdrapaliśmy się na pokład. Zdążyłem jeszcze złapać swoją teczkę. Właząc po trapie trzymałem ją w zębach, żeby mieć wolne ręce.

- Gdzie jest KAPITAN?*[* Przypominamy: KAPITAN (Konceptyjny, Antyawaryjny, Pierwszorządny Intelktualno-Techniczny Agregat Nawigacyjny) - stary agregat, dokładny jak na tamte czasy.] - spytał Andriej. - Muszę widzieć KAPITAN-a!

- KAPITAN jest stacjonarny - odrzekł MARS. - Mogę zaprowadzić do niego. Chodźmy.

Zataczając się od kołysania poszliśmy za mechanizmem. Szedł równo, jakby nie było żadnego sztormu; jego ciężkie nogi, z gumowymi przyssawkami na metalowych stopach, pewnie kroczyły po mokrych deskach pokładu. Tu jest KAPITAN - powiedział MARS zbliżywszy się do nadbudówki pokładowej, i nacisnął guzik otwierający drzwi. KAPITAN czeka, proszę wejść.

Weszliśmy do pomieszczenia, gdzie migotały przyrządy, gdzie jakieś czarne i niebieskie strzałki poruszały się na żółtych kwadratach wmontowanych w ścianę.

- Stańcie twarzą do mnie - powiedział KAPITAN.

Obróciliśmy się ku wielkiej czarnej tarczy z okrągłym okiem-soczewką. Stamtąd bowiem dochodził głos.

- Widzę was. Jesteście Ludźmi. Wyjaśniam sytuację: wiozę ładunek z Amsterdamu do Wyborga. Wpadłem w sztorm. Chcę przeczekać sztorm na morzu. Boję się zbliżyć do brzegu. Boję się roztrzaskać statek. Zobaczyłem was lokacyjnie. Zszedłem z kursu, żeby wam pomóc. Są życzenia?

- Pomóżcie nam! - powiedział Andriej i zaczął tłumaczyć KAPITAN-owi, czego od niego chce.

Po raz pierwszy słyszałem, jak mój przyjaciel z szacunkiem rozmawia z agregatem. To prawda, że elektroniczny KAPITAN nie był zwykłym mechanizmem, lecz agregatem agregatów.

- Przyjąłem, rozumiem. Szczególna sytuacja - rzekł KAPITAN. - Czekajcie na decyzję jedną minutę i siedemnaście sekund.

Nastąpiło milczenie. Usłyszałem nagle bicie własnego serca. Dotąd myślałem, że bicie swego serca słyszą tylko wydumani bohaterowie złych powieści. A wokół nas toczyło się tajemnicze życie. Wybuchały i migotały ogniki na przyrządach, bzykały jakieś agregaty. Cienka metalowa ręka wysunęła się ze ściany, pokręciła czarnym bębniem - i wypadła z niego tekturowa karteczka. Wessał ją od razu otwór w tejże ścianie, a nad otworem zapaliły się jakieś cyfry i znaczki... Wszystko dokoła poruszało się, ale poruszało się prawie bezgłośnie jak we śnie.

- Podjąłem decyzję - usłyszeliśmy głos KAPITAN-a. - Zmieniam kurs, idę według wskazanego przez was. Procent zagrożenia pięćdziesiąt siedem i trzy dziesiąte. Uwolnijcie mnie od strachu. Wyłączcie przekaźnik ostrożności.

Niebawem wszystkie przyrządy w kapitańskiej nadbudówce pogasły, a tylko na ścianie z prawej strony zaświeciła się szybka z napisem "Przełącznik ostrożności".

Andriej podbiegł, rozbił szybkę i wyłączył w KAPITAN-ie efekt strachu. Wszystkie przyrządy w nadbudówce znów się zajarzyły.

- Idźcie na bak celem obserwacji - rzekł KAPITAN.

- Czy znajdzie pan? Czy zauważy tę wysepkę? - spytał Andriej.

- Widzę dalej niż wy - odrzekł KAPITAN. - Wszystko widzę, wszystko słyszę, wszystko rozumiem.

Prowadzeni przez MARS-A poszliśmy z Andriejem na bok. Tymczasem przez otwory w pokładzie dźwignęły się rurowate konstrukcje teleskopowe, od nich rozgałęziły się wijące się zmiłowato pędy i popęzły ku rejom. Kliper przystroił się w żagle, zmienił kurs i poszedł z wiatrem. Dziób jego głęboko zanurzał się w wodę, obrzucało nas bryzgami. Korpus i takielunek wibrowały od naprężenia. Andriej patrzył przed siebie, nie odrywając oczu od morza. Z jego prawej ręki padały na mokre deski pokładu krople krwi: zranił dłoń rozbijając szybę ochronną przełącznika ostrożności.

"Trzeba by czymś zdezynfekować ranę" pomyślałem i zwróciłem się do MARS-A stojącego obok nas.

- Gdzie macie apteczkę? Są w niej lekarstwa?

- Ładunku, o którym pan mówi, na statku nie ma - odrzekł MARS.

Zrozumiałem, że moje pytanie było bez sensu: na statku, na którym nie ma Ludzi, nie może być lekarstw. Wyjąłem tedy z kieszeni swojej przemokłej kurtki chusteczkę i prowizorycznie przewiązałem Andriejowi dłoń. Ale on, zdaje się, nawet nie zauważył mojej skromnej pomocy medycznej.

Niewiele minęło czasu, a już w oddali ukazały się zarysy wysepki Nr 7. Wciąż się przybliżała. W istocie był to zwyczajny kawałek skały wystającej z morza. Krążyły już nad nią ALBATROS-y, były one z Drugiej Eskadry Bałtyckiej PSR, także fińskie o błękitnych skrzydłach i szwedzkie - białe, ze złotymi lwami herbowymi na powierzchni nośnej. Ale gdyśmy podpłynęli blisko do wysepki, już nad nią niczego nie było - ALBATROS-y odleciały do swoich baz. Tylko dwa z Drugiej Eskadry Bałtyckiej toczyły się po falach niedaleko brzegu.

W poprzek wysepki leżała jakaś budowla, widocznie obalona wichrem; coś w rodzaju wieżyczki. Obok tej powalonej wieżyczki ktoś leżał, a ktoś klęcząc pochylał się nad leżącym. Nie opodal nad samą wodą stał smutny Człowiek w mundurze pilota.

Klipper zwinął żagle i rzucił kotwicę. MARS spuścił szalupę. Obaj z Andriejem wsiedliśmy do niej i pokonując falę zbliżyliśmy się do wysepki. Pilot pomógł nam wdrapać się na brzeg.

- Co z nią? - spytał Andriej.

Pilot nic nie odpowiedział, tylko spojrzął w kierunku, gdzie Człowiek w stroju lekarza PSR klęczał pochylony nad kimś. Pobiegliśmy tam.

- Czy żyje? - zdyszany głosem spytał Andriej. - Czemu nie robicie jej sztucznego oddychania?

- Ona nie utonęła. Doznała urazu głowy przez uderzenie o występ wieżyczki. Proszę zobaczyć. - Lekarz odgarnął włosy na skroni Niny. Ranka była zupełnie mała, prawie nie krwawiła.

- To się zdarzyło w okamgnieniu. Śmierć była lekka - rzekł Lekarz pocieszająco, i żeby wszystko wysświetlić do końca, przyłożył ESKULAP do czoła leżącej.

“Zero jednostek chorobowych - orzekł agregat. - Przyczyna śmiertelnego zajścia według Charitonowa i Barmieja: pięć-beta prim-dwa ułamek trzy przy pełnej nieodwracalności. Śmierć nastąpiła 28 minut i 2 sekundy temu...” - Wystarczy - dotknąłem ramienia Lekarza. - Wszystko jest już jasne.

Obaj z Lekarzem odeszliśmy nad samą wodę, gdzie stał Pilot. Sztorm już mijał, wiatr ucichł. Statek cierpliwie czekał na nas. Nagle niepokojąco zawyła jego syrena. Potem zobaczyłem, jak spłynęła w dół flaga na grotmaszcie i tak pozostała opuszczona na znak żałoby.

“Wszystko widzę, wszystko słyszę, wszystko rozumiem” - przypomniały mi się słowa KAPITAN-a.

Po dwu dniach przyszedłem do Domu Pożegnań, do wielkiej sali o marmurowych ścianach. Obrządek pogrzebowy był zwyczajny, długie mowy nad trumną już dawno odeszły w przeszłość. Po krótkim słowie pożegnalnym poniesiono trumnę oszklonym przejściem ku Białej Wieży na podnośnik, który uniósł się w górę.

Blizsi krewni i przyjaciele, w tej liczbie i ja; wnieśliśmy się na otwarty szczyt Wieży, wstawiliśmy żałosny ciężar do płaskiego naczynia z ciemnego metalu i położyliśmy kwiaty. Potem zjechaliśmy w dół na dziedziniec wyłożony jasnym kamieniem. Skądś dobiegła cicha smutna muzyka, a nad Białą Wieżą uniósł się lekki obłok popiołu i opadł u jej podnóża, gdzie rosną czerwone i białe irysy.

Taki był koniec.

Do krewnych i przyjaciół podeszło kilka AUGUR-ów *,[* AUGUR (Agregat Uspokajający Głęboko Unieszczęśliwioną Rodzinę) - uznany za niepotrzebny, został wycofany z produkcji jeszcze za życia Kowrygina] ale ich odprawiono. Pozostających w wielkim cierpieniu agregaty te tylko rozdrażniały. Z wielu względów jestem skłonny winić współczesne pokolenie: i za zapalczywość, i za brak szacunku dla starszych, ale nie mogę nie pochwalić go za to, że odrzuciło niektóre niepotrzebne agregaty, stworzone w epoce nadmiernej fascynacji nowościami techniki.

Kiedy Andriej w milczeniu, ze spuszczoną głową, wyszedł z Domu Pożegnań, dopędziłem go i spytałem, czy nie mogę mu być w czymś pomocny.

- Nie - odrzekł. - Mnie już w niczym nie pomożesz... Sam ją posłałem na śmierć.

- Nie mów tak, Andriej! - krzyknąłem. - Nie jesteś winien.

- Sam ją posłałem na śmierć - powtórzył. - To moja wina.

Przyśpieszył kroku, więc podszedłem do matki Niny, żeby przekazać jej wyrazy współczucia.

To by się nie stało, gdyby była pańską żoną - przez łzy powiedziała matka Niny. - Z panem przeżyłaby spokojnie swój MIDŻ.

W głębi duszy nie mogłem się nie zgodzić z tym przekonaniem.

22. OSTATNIE ZWYCIĘSTWO

Minął jeden dzień i połączyłem się z Andriejem myślami. Byłem trochę zdziwiony, że znów jest na wyspie mego imienia, w Głównym Laboratorium. Wydawało mi się, że ból, który przeżywa, zmusi go do przzerwania pracy chociaż na krótki czas. - Cc robisz? - spytałem go.

- Dziś odbędzie się próba NEPTUN-a, która była odłożona. Przyjedź, jeśli chcesz. Początek o drugiej po południu.

- Dobrze, przyjadę - odrzekłem. - Stop. Przybywszy na wyspę mego imienia, skierowałem się od razu na Pole Doświadczalne, znane już mnie i Tobie, mój Czytelniku, i zastałem tam ogromny tłum miłośników NEPTUN-a. Tym razem tłum był milczący: wszyscy wiedzieli o nieszczęściu, jakie dotknęło Andrieja.

Przed rozpoczęciem próby Andriej posadził mnie pomiędzy sobą, a Laboratorium u pulpitu i nacisnął jakiś guzik. Potwór cicho posunął się do przodu, taszcząc nas na swoim ogonie.

Zrozumiałem niebawem, że NEPTUN wchodzi w ziemię. Wchodził w nią pod bardzo małym kątem i z początku pochyłość była prawie niezauważalna. Najpierw znaleźliśmy się jakby w wąwozie, a potem agregat wciągnął nas w wryty przez siebie tunel podziemny. Na agregacie zapłonęły lampy i ujrzałem okrągłe ściany tego tunelu. Były jakby wyłożone spieczoną masą podobną do ceramiki. Wiało od nich ciepłem.

Wkrótce monotonne buczenie, wydawane przez NEPTUN-a, przeszło w natężone wycie. Agregat zaczął drgać, jakby napotkał jakąś trudną do pokonania przeszkodę.

- NEPTUN wchodzi w wodę - powiedział Laborant.

Potem zaświtało słabe światło - ściany tunelu stały się przezroczyste. Widać było za nimi wodorosty. Nad naszymi głowami przepływały gromady ryb. Wolno, ale bezustannie poruszaliśmy się po dnie zatoki, oddzieleni od wody cienkim słojem przezroczystego akwalidu, który NEPTUN produkował z tejże samej wody. Wrażenie, trzeba przyznać, było szczególne, trochę niesamowite.

- Czy tunel ten wytrzyma ciśnienie wody? - spytałem Laboranta.

- Wytrzyma każde ciśnienie. Można go położyć choćby na dnie Rowu Mariańskiego, nic mu się nie stanie - odrzekł Laborant.

W tunelu tymczasem stawało się coraz ciemniej. Szliśmy w głąb. Potem Andriej nacisnął jakiś guzik - i NEPTUN zaczął wolno obracać się w prawo, zakreślając półokrąg. Znów pojaśniało i były widoczne wodorosty. Wkrótce znaleźliśmy się na tym samym Polu

Doświadczalnym, tylko w drugim końcu. Za NEPTUN-em, wynoszącym nas na swym ogonie ku światłu dziennemu, z tunelu zaczęli wychodzić ludzie; okazało się, że cały tłum szedł za nami, realizując podziemną i podwodną wycieczkę.

- To już wszystko - powiedział Andriej odchodząc od pulpitu NEPTUN-a.

- Co "wszystko"? - spytałem.

- W ogóle wszystko.

Nie wypytywałem go, co ma na myśli mówiąc "w ogóle wszystko". Otoczyli go Uczeni, Kosmonauci, Dziennikarze, więc odszedłem, żeby nie przeszkadzać w rozmowach o technice. Jednak słowa Andrieja wydały mi się wieloznaczne, toteż postanowiłem nie spuszczać go z oka. Kiedy tłum luminarzy nauki trochę zmałał, podszedłem do niego i powiedziałem, że odprowadzę go do domu, na co chętnie się zgodził.

- Chcesz? Podaruję ci swój album ze znaczkami - powiedział do mnie. - Dziś przeglądałem i porządkowałem rzeczy...

- Niepotrzebny mi twój album - odrzekłem. - Ale jeśli chcesz, wezmę go na przechowanie. Kiedyś może znów się zainteresujesz znaczkami, wtedy ci zwrócę.

Weszliśmy do domu. Jak nieprzytulnie i pusto było w nim teraz!

- Powinieneś gdzieś się stąd przenieść - doradziłem swemu przyjacielowi.

Wtedy usłyszeliśmy, że ktoś bez pukania otworzył wejściowe drzwi i wszedł do przedpokoju. Andriej poruszył się. Wydało mi się, że w jego oczach zabłysła jakby jakaś niemądra nadzieja.

Ale to był agregat, EUROS - przyszedł po polecenia. Złożywszy skrzydła stał w przedpokoju i czekał.

- Od dzisiejszego dnia ze wszystkimi sprawami należy zwracać się do Starszego Laboranta lub EZOP-a - powiedział Andriej. - Ja tu więcej nie pracuję.

- Wszystko zrozumiałem - odrzekł EUROS i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

- W pełni popieram twoją decyzję wyjazdu stąd - powiedziałem. - Ale nie chcesz chyba całkiem zerwać ze swoją pracą?

- Moja praca jest skończona. Teraz wszystko obędzie się beze mnie - odparł Andriej.

- A dokąd zamierzasz wyjechać? - zaciekawilem się.

- Będę mieszkał w tamtej chatce. Pamiętasz tę chatkę w lesie nad jeziorem?

- Oczywiście, że pamiętam. Ale jak tam długo wytrzymasz, przecież nie ma tam żadnych wygod?

Andriej nic na to nie odpowiedział, a odwozić go od tego zamiaru nie próbowałem - znałem jego upór. "To nic - pomyślałem - niech sobie pomieszka w lesie, w ciszy, niech się tam wypłacze i uspokoi." Co prawda niepokoiło mnie to, że nie tylko rozpacza po Ninie, ale uważa siebie winnym jej śmierci. Lecz wszystko czas wyleczy, myślałem.

Kiedy wróciłem do domu i położyłem na stole album ze znaczkami, opowiedziałem Nadi o swoim pobycie na Wyspie Matwieja i o rozmowie z Andriejem. Nadia przyjęła to bardziej tragicznie niż ja. Wziąwszy album do rąk i przekartkowawszy go, nagle zapłakała.

- Nie wróży to nic dobrego. Wkrótce stracisz swego przyjaciela...

Andriej porzucił miasto i osiadł nad jeziorem. Była o tym krótka wzmianka w prasie, taktownie nie przytaczająca zbędnych szczegółów. Gazety jak przedtem pełne były pochwał dla wynalazcy akwalidu, Andrieja Swietoczewa. Zachwyty te wzmogły się zwłaszcza po próbie NEPTUN-a. Pisano, że w drodze wyjątku Komisja Przedłużania Życia zaproponowała Andriejowi trzy MIDŻ-y (pomyśleć tylko trzysta trzydzieści lat!) zaś Komisja Nazewnictwa chce mianować jego imieniem jedno z nowych miast. Pisano też o projektach pomnika Swietoczewa i o medalach na jego cześć.

I nagle ukazał się w druku sławny list Swietoczewa. Choć jestem przekonany, że Czytelnicy moi znają go na pamięć, jednak dla pełności wrażenia i żeby nie naruszyć konstrukcji mej opowieści, przytoczę tu jego tekst:

Z powodu wiadomej mi przyczyny nie uważam, abym miał prawo żyć dłużej niż jeden własny MIDŻ, toteż rezygnuję z przedłużenia życia. Prócz tego proszę nie stawiać mi pomników ani za życia, ani po śmierci. Proszę nie dawać mego imienia miastom, ulicom, zakładom przemysłowym, statkom i kosmicznym środkom lokomocji. Proszę nie wspominać mego imienia w druku, jeśli nie zajdzie po temu ostateczna konieczność..

Z wyrazami poważania –

Andrzej Swietoczew

Ten list Andrieja uderzył mnie. Wiedziałem, że zdolny jest do najdziwniejszych i nieoczekiwanych posunięć, ale takiego jednak po nim się nie spodziewałem. Rezygnować z trzech MIDŻ-ów. Nie chcieć 330 lat życia na Ziemi!...

Nie mogłem sobie wytłumaczyć, a i teraz nie pojmują, także jego rezygnacji z pomników, z tego wszystkiego, czym w pełni zasłużenie chciało go nagrodzić Społeczeństwo. I do dziś dnia nie mogę zrozumieć, po co poszedł na to dobrowolne wygnanie, czemu osiadł

w starej chatce nad brzegiem jeziora. Wiem: przeżywał wielką rozpacz. Ale przecież każda rozpacz przemija...

23. RADOŚĆ I SMUTEK

A w moim życiu tymczasem zaszło coś radosnego: zostałem ojcem. Dzień przedtem odwiozłem Nadię na porodówkę na rogu Czternastej Linii i Wielkiego Prospektu i całą noc nie mogłem zmrużyć oka. O świcie usłyszałem pukanie do drzwi. Od razu się domyśliłem, że to jakiś mechanizm: przecież Ludzie zazwyczaj wchodzi bez pukania.

- Proszę wejść! - zawołałem z pokoju i z drzeniem serca zacząłem się wsłuchiwać w zbliżające się kroki z korytarza. Niedawne smutne wydarzenia tak podziały na mnie, że teraz oczekiwałem najgorszego. "A może to ASPIS?" [* ASPIS (Agregat Specjalny, Przekazujący Informacje Smutne) - stary mechanizm początku XXII w., dawno wycofany z produkcji.] - powstała w mej głowie straszna myśl.

Lecz do pokoju wszedł HONORAT [* Przypominamy: HONORAT (Hałaśliwy, Optymistyczny, Niosący Ojcom Radość Agregat Towarzyski) - stary agregat ustnej łączności, już wycofany z produkcji.] - i poczułem, ulgę. Agregat trzymał w ręce bukiet ciemnoniebieskich ogrodowych dzwoneczków - to oznaczało, że urodził się chłopiec.

- Jeśli się nie mylę, pan Matwiej Kowrygin, znany historyk literatury? gromkim, dziarskim głosem spytał HONORAT.

- Tak, to ja - odrzekłem. - Proszę siadać.

- E, głupstwo, postoję - z wesołą nutką w głosie wyrzekł mój dobry gość kładąc na stole bukiet. - Najlepsze życzenia z okazji urodzin syna.

Potem powiedział mi, że Nadia czuje się dobrze, podał wymiary noworodka, godzinę jego przyjścia na świat i pożegnał się. Pospieszyłem zaraz do domu urodzin, żeby przesłać Nadi kartkę z życzeniami.

Bardzo pragnąłem tego dnia połączyć się myślami z Andriejem i obwieścić mu, że zostałem ojcem. Jednak wydało mi się, że nie czas teraz na przesłanie mu takiej wiadomości, gdyż moje szczęście podkreśli tylko głębię jego nieszczęścia. Toteż zdecydowałem się odłożyć tę rozmowę na późniejszy czas.

We wrześniu posłałem Andriejowi myślosygnal. Natychmiast się odezwał.

- Chce cię odwiedzić - powiedziałem.

- Przyleć, kiedy tylko zechcesz - odrzekł Andriej. - To wszystko?

- Wszystko. Stop.

Tego samego dnia poleciałem do rezerwatu. Wsiadłem z aerolotu w tym miejscu, gdzieśmy wylądowali we trójkę przeszło rok temu. Poleciwszy EOL-owi wracać, wkroczyłem

na znajomy teren. Ogarnął mnie smutek. I pomyśleć, jak się wszystko zmieniło w ciągu tego czasu! Wtedy szliśmy tędy razem...

I pogoda była dziś inna niż wtedy. Teraz siał deszczyk, las spowijała mgła. Droga była usłana opadłymi liśćmi. A oto i dom Leśniczego. Zobaczywszy mnie przez okno, Stary Człopijwin wyszedł na ganek i gościnnie zaprosił do siebie. Staruszek jak dawniej był dziarski, wyglądał jak orzeł, a nie zmokła kura, jak to mawiali nasi przodkowie. Ale niestety, znów pachniało od niego samogonem.

- No, gadaj, jakie лихо cię tu przyniosło? - spytał, posadziwszy mnie na tapczanie obok stolika ze staroświeckim samowarem elektrycznym. - Pewnie przyjaciela postanowiłeś odwiedzić? Źle z twoim przyjacielem, oj źle... Żal mi go. Nie do życia już on...

- Jest chory? - spytałem.

- Gdyby był chory, to pół biedy. Jest zdrow. Tylko rozpacza mocno. Nie pożyje długo.

- Smutek po utracie bliskiej osoby jest udziałem każdego człowieka - zauważyłem słusznie. - Ale od tego się nie umiera.

- Jeden nie umiera, a drugi umiera. Ty, eciumpecium, wszystkich ze sobą nie równaj.

Te jego słowa wydały mi się niezupełnie taktowne, lecz nie zwróciłem mu uwagi, ponieważ był o wiele starszy ode mnie i w dodatku "pod dobrą datą", jak to się dawniej mówiło.

- No cóż, to pójdę już do Andrieja - powiedziałem.

- Patrzcie go, jaki prędko! - uśmiechnął się Leśniczy. - A strzemiennego by tak na drogę? Zobacz no, jaka plucha, w taką pogodę nawet psa nie wygonić! Jakże ja cię bez kieliszeczka wypuszczę?... Hej, Stara, przynieś tu nam trzy naparstki!

Zjawiała się żona Starego Człopijwina i postawiła na stole trzy wielkie szklanki i talerzyk z zakąską. Przywitałem się z nią, przedstawiłem się i czekałem na bieg wydarzeń.

- No to łykniemy sobie - powiedział Leśniczy podając mi szklankę. - Wypijmy za moje dwakroć brylantowe gody. Za cztery miesiące będzie sto pięćdziesiąt lat. jak jesteśmy z moją Starą razem.

Pomyślałem, że chociaż jubileusz to rzecz godna, lecz czy nie za wcześnie zaczynać obchody na cztery miesiące przed jego kalendarzową datą? Jednak do prośby Starego Człopijwina dołączyła się także jego żona, więc z szacunku dla kobiety byłem zmuszony wychylić do dna ten kielich, jak to dawniej mówiono. Zakąsiwszy solonym ogórkiem pożegnałem się z czcigodnymi małżonkami i poszedłem do Andrieja.

Szumiało mi w uszach, w głowie się lekko kręciło, ale nie czułem przyływu owej wesołości, która mną oświadczyła podczas zeszłorocznej wypitki. Teraz było mi ciężko i nieprzyjemnie. Budziły się wspomnienia niedawnej przeszłości. Tu koło domu Leśniczego siedziała wtedy na ławce Nina, jelonek ocierał się mordką o jej kolana, a ona głaskała go po grzbiecie. A tą leśną dróżką szliśmy wtedy w trójkę i świeciło nam słońce.

Wkrótce ze wzgórza roztoczył się przede mną widok znajomego jeziora i rzeczki wpadającej do niego, i pamiętnego mostu bez poręczy. ostrożnie przeszedłem na drugi brzeg po oślizłych od jesiennej wilgoci bierwionach i skierowałem się do chatki. Jakies pięćdziesiąt kroków od niej natknąłem się na znak samotności. Był przybity do pnia suchej olchy. Ale mnie to nie dotyczyło - przecież Andriej powiedział, że będzie rad moim odwiedzinom.

Wszedłszy do chatki zauważyłem, że Andrieja nie ma. Obejrzałem się dokoła. Izdebka miała wygląd zamieszkaney. Pod piecem leżały drwa, łóżko było zasłane, na półce stały książki. Uderzyło mnie zamierzone ubóstwo całego urządzenia - ani jednego agregata, ani jednego pomocniczego mechanizmu! Tylko naprzeciw zwykłego drewnianego stołu wisiała na ścianie elektroniczna mapa pogody - taka jak ta, a być może i ta sama, którą widziałem na wyspie mego imienia w pracowni Andrieja. Zacząłem patrzeć na tę mapę, nieprzerwanie mieniącą się światełkami. Z północnego zachodu wypływała szarawa plama. To znaczyło, że deszcz będzie jeszcze padał co najmniej dwie godziny.

“Po co Andriej powiesił tę mapę? - pomyślałem. - Przecież ona mu na co dzień i co godzinę przypomina ten smutny wypadek...” Nagle drgnąłem usłyszawszy jakies dziwne pofurkiwanie. Okazało się, że to jeź wyszedł skądś i powędrował w kierunku pieca, gdzie na podłodze stał talerzyk z jedzeniem. Jeź jadł, wcale się mnie nie bojąc - widać Andriej oswoił go.

Zrobiło mi się jeszcze bardziej smutno. To leśne zwierzątko podkreślało samotność, w której teraz żył mój przyjaciel. Ze smutnych myśli wyrwał mnie dopiero powrót Andrieja. Przyszedł w gumowych butach i nieprzemakalnym płaszczu z wędrówki po lesie.

Szczerze się mną ucieszył, a gdy powiedziałem, że mam syna i że oboje z Nadią postanowiliśmy dać mu imię Andriej - Andriej Nadieżdowicz, twarz mego przyjaciela ożywiła się i stał się teraz taki sam jak dawniej. Niestety, na krótko. Rozmowa nasza była długa i nie mogłem nie zauważyć, że mego przyjaciela interesuje ona coraz mniej... Znów wrócił do swych niewesołych myśli i czułem, że rozmawia ze mną tylko dlatego, żeby me zrobić mi przykrości.

- Andriej - spytałem go - po co powiesiłeś na ścianie tę mapę? Chcesz, to odwiozę ją do miasta.

- Był dzień, kiedy powinienem był na nią spojrzeć i nie spojrziałem. To niech teraz będzie zawsze przed moimi oczyma.

Nic nie powiedziałem na to: rozumiałem, że przekonywanie go jest bezcelowe. Wkrótce pożegnałem się z Andriejem, życząc mu siły i szybkiego powrotu do Lenigradu.

Mijały dni i miesiące, a Andriej wciąż nie wracał do miasta. Czasem wysyłałem do niego myślogramy. Odpowiadał, ale odpowiedzi te były lakoniczne.

A tymczasem nastąpiło lato. Zbliżała się rocznica śmierci Niny. Na kilka dni przed tym smutnym dniem połączyłem się z Andriejem myślami. Na moje pytanie, jak się czuje, odpowiedział: "Źle". Dotąd nigdy się na nic nie skarżył, więc bardzo mnie zaniepokoiła ta odpowiedź.

- Jesteś chory? - spytałem.

- Nie, zdrowy - odrzekł.

- Może cię odwiedzić?

- Nie, nie trzeba. W najbliższych dniach wybiorę się do miasta, to wpadnę do ciebie.

To wszystko?

- Wszystko. Stop.

Domyśliłem się, że Andriej chce w dniu tragicznej rocznicy, zgodnie z obyczajem, być u podnóża Białej Wieży.

Ale nadszedł ten dzień - a Andriej w Leningradzie się nie zjawił. Wieczorem postanowiłem dowiedzieć się, co się stało, czemu zmienił decyzję - to było tak bardzo do niego niepodobne. Posłałem myślosygnal, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Żywi zawsze odpowiadają na wezwanie...

Potem Stary Człopijwin, który często odwiedzał mego przyjaciela w jego samotni, opowiadał, że tego lipcowego dnia, wszedłszy do chatki, zobaczył Andrieja leżącego bez ruchu na podłodze. Natychmiast wezwał Lekarza za pomocą Przyrzędu Osobistego. Przybyły Lekarz stwierdził zgon na skutek ostrego ataku choroby sercowej. Stary Człopijwin jednak znalazł swoje własne medyczne rozpoznanie: "Na miłość nie ma rady. Tęsknił bardzo - i serce nadszarpnęło. Gdyby z żalości samogonkę pił - może by nie umarł, żalość by się z niego wysssała". Te słowa Starego Człopijwina do dziś bardzo lubią cytować biografowie Swietoczewa, znajdując jakiś ukryty głęboki sens w wypowiedzi dobrodusznego, lecz mało wykształconego i na domiar często nietrzeźwego Człowieka.

Kiedy rozeszła się wieść, że Swietoczew zmarł, na całej Planecie ogłoszono trzydniową żałobę. Natychmiast, kiedy tylko jego popiół opadł na kwiaty u podnóża Białej Wieży, na całej Ziemi rozległo się trwożne wycie syren Straży Kosmicznego Bezpieczeństwa. Do dziś pamiętam ten cienki, wibrujący, mrozący krew w żyłach lament. Syren tych nigdy przedtem nie używano. Tego dnia włączono je jakby na znak, że strata poniesiona przez Ludzkość jest ogromna i ma znaczenie kosmiczne.

24. EPILOG

Drogi Czytelniku!

Przeszło osiemdziesiąt lat minęło od zdarzeń przedstawionych w opowieści. Świat się przeobrażał na moich oczach, stawał się coraz bardziej niepodobny do tego, który tu opisałem. Ziemia wkroczyła w epokę Wszechsurowca, w epokę cywilizacji akwalidowej, której twórcą był mój przyjaciel Andriej Swietoczew. Ludzkość w pełni opanowała przestrzeń swojej Planety i śmiało podążyła w Kosmos. Ale moim zadaniem nie było porównywanie przeszłości z teraźniejszością - przecież przeszłość znacie z historii, a teraźniejszość oglądacie własnymi młodymi oczyma, które bystrzejsze są od moich. Jestem już stary, przeżyłem swój MIDŻ z okładem i bliski jest dzień, kiedy moje prochy opadną ze szczytu Białej Wieży na kwiaty rosnące u jej podnóża.

Zanim jednak zakończę moje Wspomnienia i postawię kropkę, pragnę powiedzieć parę słów o sobie.

Moje życie nie upłynęło bezpłodnie. Po Antologii wydałem niemało książek. Nie będę ich tu wymieniał, każdy bowiem kulturalny Człowiek, a tym bardziej Człowiek interesujący się XX wiekiem, powinien je znać.

Moja żona Nadia też się zestarzała, ale tak jak i ja cieszy się dobrym zdrowiem. Jej fenomenalna pamięć ocalała, co wydatnie mi pomogło w pracy nad tymi Wspomnieniami. Dochowaliśmy się oboje z Nadią synów, córek, wnuków i prawnuków. Prawie wszyscy oni, kontynuując tradycję rodzinną, zostali Humanistami, a jeden z moich wnuków, Walentin, poszedł wprost moimi śladami i zdobył tytuł historyka literaturoznawcy. To jego pióra jest kapitalna praca Miłość w powieściach XXI wieku w świetle współczesnej moralności. Niestety, książka ta nie spotkała się z należnym jej przyjęciem i wywołała napaść niektórych źle usposobionych krytyków. Zarzucają oni mojemu wnukowi tendencyjność w doborze cytatów, jednostronność i powierzchowność spojrzenia na historię literatury - i nawet "ograniczenie dziedziczne". Tak, dzisiejsza młodzież nie krępuje się w wypowiedziach. Ale jestem spokojny o los Walentina, wierzę w niego i szcycę się nim.

Pewne obawy wzbudza we mnie jeden z moich prawnuków. Zerwawszy z rodzinną tradycją został nie Humanistą, lecz Fizykiem, a na dodatek związał się z grupą Białoswietowa - młodego teoretyka, o którym teraz nazbyt wiele pisze prasa. Ten Białoswietow wraz ze swymi neofitami pracuje nad jakąś teorią Wielkiej Próżni, uderzającą każdego zdrowo myślącego człowieka swoją płonnością. Nie będę jej Wam wykladał w szczegółach, gdyż wszyscy ją, niestety, znacie - prasa dość wam trąbiła w uszy o niej. Powiem tylko krótko, jak

ja rozumiem sedno tej sprawy. Ten Białoswietow twierdzi, że jeśli w jakimkolwiek zbiorniku z absolutnie trwałego materiału (to znaczy akwalidu) stworzyć absolutną (wielką) próżnię, a potem czymś tam zadziałać na tę próżnię, to można otrzymać COŚ. To COŚ, zgodnie z życzeniem eksperymentatora, można będzie przekształcić we Wszechrzecz lub Energię. Oto do jakich to słupów heraklesowych niezdrowego myślenia dochodzą niektóre gorące głowy! Nasz świat jest oparty na akwalidzie, a im mało jest akwalidu, daj im NIC przekształcone w COŚ!

Wybacz, Drogi Czytelniku, tę naukowo-liryczną dygresję. Ale robi mi się gorzko ze względu na mego przyjaciela Andrieja, twórcę akwalidu, gdy słyszę te rozważania na temat Wielkiej Próżni - i to od kogo! Od własnego prawnuka! Już nieraz mówiłem mu, że niepotrzebnie wierzy w tego Białoswietowa, że w pustym stawie, choćby nie wiem jak chciał, ryb nie złowi.

No ale skoro już mowa o stawach, to odrzuciwszy fałszywą skromność wspomnę życzliwemu Czytelnikowi o moim STAW-ie, który w przeciwieństwie do stawów niektórych pseudo-uczonych nie jest pusty i wciąż się napęlnia. To prawda, że napęlnia się coraz wolniej, gdyż na Ziemi już wcale nie ma ludzi znających obelżywe słowa. Stary Człopijwin, od którego w swoim czasie zaczerpnąłem niemało mocnych powiedzonek i solidnych wyzwisk do wzbogacenia mego STAW-u, dziś niestety zamilkł na wieki. Mimo używania mocnych trunków przeżył dwa MIDŻ-y z dokładką i zmarł nie z powodu choroby, lecz na skutek nieszczęśliwego wypadku. Lecąc do miasta na naradę Leśniczych i będąc w nietrzeźwym stanie, próbował spoić EOL-a, zapomniawszy, że to nie Człowiek, tylko agregat. EOL stracił panowanie nad układem sterowniczym i wyrznął w ziemię. Teraz Leśniczym w rezerwacie jest syn Starego Człopijwina. To Człowiek niepijący. Lecz nie posiada tego bogactwa kultury ludowej, którym mógł się szczycić jego ojciec.

Od czasu do czasu odwiedzam rezerwat i chodzę nad jezioro, gdzie stoi chatka Andrieja. Z zewnątrz i wewnątrz tak samo wygląda jak za życia mego przyjaciela. Ale wszystko to - i sama chatka, i wystrój jej wnętrza - jest zrobione z akwalidu. Przecież drewno, kamień i metal niszczą, a akwalid jest wieczny. Na brzegu jeziora, nad urwiskiem, stoi teraz statua Niny. Jest bardzo ładna, stworzył ją wybitny rzeźbiarz Planety. W ogóle rzeźby wyobrażające Ninę można spotkać wszędzie, stoją w każdym mieście, w każdym parku. Jak wiadomo, Andriej prosił, żeby mu nie stawiać pomników, i to życzenie jest święte. Lecz wznosząc statuy Niny - Ludzie niejako pośrednio czczą także pamięć Andrieja. Rzeźbiarze i malarze, pragnący stworzyć wizerunek Niny, często konsultują się ze mną. Jednak, nie

zważając na konsultację, przedstawiają ją zawsze po swojemu i zazwyczaj o wiele piękniejszą, niż była za życia.

Niedawno zaproszono mnie do jednego z nowych podwodnych miast, któremu dano nazwę Ninoapolis. Miasto mi się podobało. Wszystko w nim zbudowano z akwalidu, a od oceanu oddziela je przezroczysta akwalidowa kopuła. Jechałem do tego miasta przezroczystym tunelem z akwalidu, położonym na dnie oceanu.

W ogóle akwalid tak dalece wszedł w nasze życie, że wielu nie wyobraża sobie, jak przedtem Ludzkość mogła bez niego istnieć. Raz jeden z moich prawnuków, ten najmłodszy, podbiegł do mnie i spytał:

- Dziadku, czy to prawda, że żyłeś wtedy, kiedy wszystkie rzeczy robiono z różnych materiałów? Domy z jednego, maszyny z drugiego, statki z trzeciego, meble z czwartego, książki z piątego...

- Tak, to prawda - odrzekłem - a pierwsza moja książka była wydrukowana nie na płytkach akwalidowych, lecz na papierze.

- A co to jest papier? - spytał prawnuk.

Wtedy wyjąłem z biblioteczki jeden z egzemplarzy Antologii i pokazałem go prawnukowi. Trafiłem akurat na egzemplarz z dedykacją, który nie został wręczony tym, dla których go przeznaczyłem. Od zamknięcia napis na stronie tytułowej się rozmył, ale słowa "Ninie i Andriej owi" były czytelne. Zrobiło mi się smutno.

- Nad czym tak się zamyśliłeś, dziadku? - spytał mnie prawnuk.

- Przypomniałem sobie swoją młodość - odrzekłem.

- To opowiedz mi o tym, jak byłeś młody - poprosił mnie.

- Długo by o tym mówić - rzekłem. - Wielu rzeczy nie zrozumiesz, a wielu rzeczom nie uwierzysz.

- To napisz o tym bajkę - zaproponował.

- Pomyślę o tym - powiedziałem. - Może i napiszę. Tylko że napiszę nie bajkę, lecz prawdę. Ale ta prawda będzie jak bajka.